


PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Nr 2 (37)

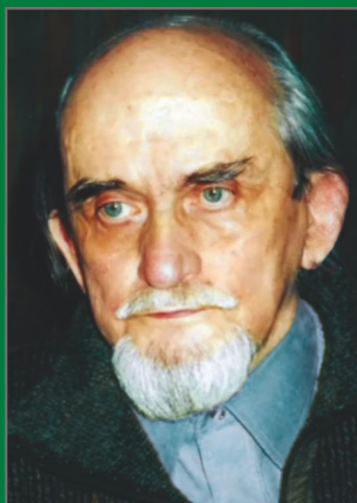
tom XI 2025



J. Andrzejczak
Mu Bai
M. Baczyńska
B. Baran
J. Bereżko-Kamińska
K. Beśka
J. Binkowski
P. Bitka Zapendowski
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
K. Choiński
S. Chwin
R. Częstochoński
D. Ćirić-Straszyńska
C.M. Dąbrowski
M. Dąbrowski
J. Dranczuk
D. Gałęcka-Krajewska
S. Gibaszek
J. Jarecka-Gomez
Huo Junming
E. Kasjanowicz
Yang Ke
P. Kitrasiewicz
A. Książek
A. Kulik
G. Kurylewicz



A. Lis
A. Majewski
J. Marciniak
D. Matijas
A.M. Mickiewicz
P. Müldner-Nieckowski
A. Nasiłowska
O. Olchowa
A. Onichimowska
J.A. Opasek
W. Oramus
A. Patey-Grabowska
M. Pękała
K. Piechowicz
M.K. Piekarska
K. Rudziński
O. Rybka
M. Sawka
K.S. Schreyer
J. Strękowski
A. Syska
K. Świegocki
E. Wojnarowska
O. Wójcik
Z. Zbikowski
M. Zelwan
I. Zielińska



Jerzy Ficowski

Bagnet na broń

Kiedy przyjdą podpalić dom,
ten, w którym mieszkasz – Polskę,
kiedy rzucą przed siebie grom,
kiedy runą żelaznym wojskiem
i pod drzwiami staną, i nocą
kolbami w drzwi załomocą –
ty, ze snu podnosząc skroń,
stań u drzwi.
Bagnet na broń!
Trzeba krwi!

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i z pieśni.
Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń podniesioną nad Polską –
kula w łeb!

Ogniomistrzu i serc, i słów,
poeto, nie w pieśni troska.
Dzisiaj wiersz – to strzelecki rów,
okrzyk i rozkaz:

Bagnet na broń!
Bagnet na broń!
A gdyby umierać przyszło,
z przypomnimy, co rzekł Cambonne,
i powiemy to samo nad Wisłą.

kwiecień 1939



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok VII Nr 1 (35) 2024

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelny

Małgorzata Karolina Piekarska

Zastępcy redaktora naczelnego

Zbigniew Zbikowski

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium i korekta

Krzysztof Bielecki

Sylwia Gibaszek

Piotr Müldner-Nieckowski

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Małgorzata Szyszko-Kondej

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, Ciurlionisa 4

<https://www.mcpdruk.pl/>

WSTĘP

Małgorzata Karolina Piekarska

Na dziesięciolecie,

czyli nowe otwarcie 3

Z ŻYCIA OW SPP

Anna Nasiłowska

Wspomnienie o Danucie

Ćirić-Straszyńskiej 5

Krzysztof Choński

Salon Pani Ireny 7

DRAMAT

Piotr Kitrasiewicz

Królewna i zalotnicy 9

Paweł Bitka Zapendowski

Paszport dla poetki 13

KRYTYKA-ESEJ-FELIETON

Joanna Jarecka-Gomez

Bezpieczeństwo cywilizacyjne.

Nie pozwólmy amputować

kultury. 21

Jerzy Marciniak

Cześć i Chwała żołnierzom 25

Piotr Müldner-Nieckowski

Anny Nasiłowskiej wiersze

bolesne a kojące 31

Kazimierz Świągecki

Powrót do klasycznej strofy 35

Alicja Patey-Grabowska

Dać świadectwo prawdzie 37

Olga Wójcik

Odsłony piękna. O różach, domu

i podróżach 39

Karnawał współczesny 40

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Wiersze 51

Maja [Maya] Baczyńska

Wiersze 53

Jerzy Binkowski

Mój proton 57

Ryszard Częstochowski

Zgliszcza 59

Cezary Maciej Dąbrowski

Wiersze z tomu *Mity* 65

Danuta Gałęcka-Krajewska	
Wiersze	70
Sylwia Gibaszek	
Wiersze	76
Eugeniusz Kasjanowicz	
Wiersze	79
Piotr Kitrasiewicz	
Wiersze	82
Andrzej Książek	
Aforyzmy i Wiersze.....	85
Adam Kulik	
Wiersze	91
Gabriela Kurylewicz	
Modlitwa.....	96
Adam Majewski	
Wiersze	97
Anna Maria Mickiewicz	
Wiersze	100
Piotr Müldner-Nieckowski	
Wiersze	102
Anna Nasiłowska	
Z tomu <i>Wiersze stacjonarne</i>	104
Alicja Patey-Grabowska	
Wiersze	108
Marek Pękala	
Wiersze	112
Krzysztof Piechowicz	
Wiersze	120
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Haiku Kobiety	124
Wiersze	125
Krzysztof Rudziński	
Wiersze	130
Olga Wójcik	
Niebieski konik / Little blue horse. .	133
Agnieszka Syska	
Poematy.....	135
PROZA	
Janusz Andrzejczak	
Podróż do domku	142
Tamara Bołdak-Janowska	
Krótki dialog Tamary i Tola.....	145
Krzysztof Choiński	
Tułaczka wrześniowa 1939.....	150

Stefan Chwin	
Dziennik życia we dwoje.....	160
Mój Gdańsk	163
Michał Dąbrowski	
Kilkanaście słonecznych dni	168
Joanna Jarecka-Gomez	
Niecodzienna propozycja.....	179
Agnieszka Lis	
Z nieistotnej perspektywy	183
Wiesława Oramus	
Wszystkie łąki	184
Alicja Patey-Grabowska	
Na poboczu.....	191
Małgorzata Karolina Piekarska	
Szalony księżyc.....	194

PRZEKŁADY

Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Jan Anastáz Opasek OSB.....	199
Zbigniew Zbikowski	
Huo Junming	201
Mu Bai	202
Yang Ke	202

KOLEKCJA LITERACKA Seria 4

Krzysztof Beśka	204
Paweł Bitka Zapendowski	208
Anna Onichimowska	212
Jan Strękowski	216
Elżbieta Wojnarowska	220
Marta Zelwan	224

Nie zabrałam z sobą radości

Wiersze poetek ukraińskich:

**Ołena Rybka, Dzwinka Matijasz,
Julia Bereżko-Kamińska,
Mariana Sawka, Olha Olchowa,
Jordana Dranczuk**

w przekładzie **Bogdana Barana
i Zbigniewa Zbikowskiego**

REKOMENDACJE OW SPP

Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Fala i piach	232

Na okładce: Jerzy Ficowski
Fot. z *Archiwum SPP*

Małgorzata Karolina Piekarska

Na dziesięciolecie czyli nowe otwarcie

Kiedy 36 numerów temu startował nasz Kwartalnik Literacki **PODGLĄD**, nie do końca przypuszczałam, że będzie to ważne wydawnictwo. Myślałam raczej, że będzie to coś, co pozwoli nam – pisarzom skupionym w Oddziale Warszawskim Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pokazać, nad czym pracujemy. Być może tym, którzy szukają wydawcy, pomoże go znaleźć. W końcu tekst wydrukowany w papierowej publikacji wygląda poważniej. Miało to też być wydawnictwo, w którym członkowie publikują także fragmenty tego, co ostatnio wydali drukiem w postaci książek czy tomików wierszy. Zamieszczona metryczka miała odsyłać zainteresowanego do pełnego dzieła naszego autora.

Dziś, gdy obchodzimy dziesięciolecie kwartalnika, jestem już pewna, że wymyślenie go to była jedna z najważniejszych moich idei wcielonych w czyn. Opatrzony bardzo celnym tytułem (pomysłu nieodżałowanego Grzegorza Łatuszyńskiego), który początkowo mylił się ludziom z „Przeglądem” – tytułem tygodnika społeczno-politycznego. Dziś już jest rozpoznawalny. Miłośnicy literatury odróżniają te nazwy, a to dla nas najważniejsze.

PODGLĄD jest ważny dla społeczności literackiej liczącego przeszło 400 członków oddziału. Nawet nie dlatego, że do obecnego numeru nadeszła rekordowa liczba tekstów, ale dlatego, że do naszej pocztowej skrzynki napłynęły zapytania z bibliotek, które w myśl ustawy powinny dostawać egzemplarze obowiązkowe: czy na pewno w ubiegłym roku ukazał się tylko jeden numer. To rozczarowanie Bibliotekarzy zdawało się mówić nie mniej niż entuzjazm autorów, którzy zaczęli „tłumnie” wysłać swoje utwory do redakcji. Ale o egzemplarze papierowe dopominają się też biblioteki naukowe, których ustawodawca nie wskazał jako odbiorców egzemplarzy obowiązkowych. Jakby tego było mało, **PODGLĄD** jest badany przez studentów

kierunków filologicznych, dziennikarskich i innych. Jednym słowem cały czas się rozwija.

Wprawdzie założenie kwartalnika było takie, że jego naczelnym jest zawsze Prezes Zarządu Oddziału, ale... sprawujący ponownie funkcję prezesa Zbigniew Zbikowski stwierdził, że jako pomysłodawczyni poprowadzę go lepiej. Zdecydowałam więc, że spełnię prośbę jego i całego Zarządu Oddziału Warszawskiego.

Witam więc czytelników i autorów znów jako redaktor naczelna. Przede wszystkim jednak witam w jubileuszowym roku naszego kwartalnika.

I zastanawiając się głośno, cóż to jest 10 lat, odpowiadam. Przeliczając na życie ludzkie, to właściwie IV klasa szkoły podstawowej, czyli koniec nauczania wczesnoszkolnego.

Dziesięciolecie to z reguły taki ktoś, kto jest samodzielny. My – jako kwartalnik – jesteśmy samodzielni. Na dodatek od tego roku ruszamy z wydawaniem publikacji naszych członków jako „Biblioteka Podglądu”. Wprawdzie nie mamy dotacji, więc i tu będziemy musieli skorzystać z darowizn od Członków, ale jesteśmy dobrej myśli. Pamiętamy bowiem, że stare polskie przysłowie mówi: ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka. Mam nadzieję, że już niedługo zaproszę do lektury pierwszego tomiku. A na razie zapraszam do lektury najnowszego numeru kwartalnika.

Małgorzata Karolina Piekarska

Anna Nasiłowska

Wspomnienie

o Danucie Ćirlić-Straszyńskiej¹

Danuta Ćirlić-Straszyńska (05.09.1930 – 25.04.2025) miała ogromny dorobek translatorski i była jedną z tych osób, które wskazują, że tłumacz jest także twórcą.

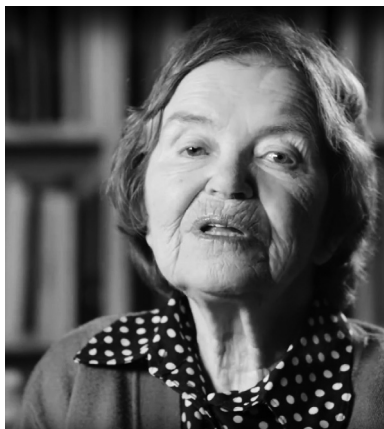
W latach 1967-2006 przetłumaczyła książki Danila Kiša, Miloša Crnajskego, Miodraga Bulatovicia, Borę Ćosicia i Milorada Pavicia, w tym (wraz z Elżbietą Kwaśniewską) słynny *Słownik chazarski*, jeden ze sztandarowych przykładów postmodernizmu w wersji słowiańskiej.

Przełożyła wiele słuchowisk radiowych, wiele opowiadań dla czasopism oraz sztuki teatralne Miodraga Žalicy, Danila Kiša, Gorana Stefanovskiego, Dušana Kovačevicia i Tomislava Zajeca.

Była wciąż czynną tłumaczką, gdy zaczęła się rozpadać Jugosławia. Nagle stała się – poszukiwaną, unikalną – specjalistką od bałkańskiej mozaiki, obejmującej wiele języków i odmiennych racji politycznych, wśród których potrafiła nawigować, rozumiejąc różnice, nie opowiadając się po żadnej ze stron. Tłumaczyła te racje, gdyż znała dobrze kulturowe i historyczne powody konfliktów.

Za swoje zasługi, za całokształt dorobku tłumaczki otrzymała w 2017 roku nagrodę Tadeusza Boya-Żeleńskiego, a także wiele nagród i dyplomów za osiągnięcia w tłumaczeniu literatury serbskiej i macedońskiej.

Współpracowała z tłumaczami literatury polskiej na języki południowo-słowiańskie, na przykład z Biserką Rajčić, członkinią honorową Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Danuta Ćirlić-Straszyńska, 2016.
Fot. Piotr Müldner-Nieckowski

¹ Zmieniona wersja przemówienia w Kościele Środowisk Twórczych, Warszawa 2.04.2025.

Danuta Ćirlić-Straszyńska była dobrym duchem naszego Stowarzyszenia.

Poznałam ją w latach 90., a potem współpracowałam z nią blisko jako przewodnicząca Komisji Kwalifikacyjnej. Danuta Ćirlić-Straszyńska, choć starsza od mojej mamy, sama zgłosiła się do pracy w komisji. Pomagała oceniać tłumaczenia, służyła swoim doświadczeniem.

Była długo czynna, ale od pewnego czasu wiedzieliśmy, że jest źle. Bardzo nas smuciły te wiadomości, mówiliśmy o nich w lutym tego roku, podczas naszego zebrania wyborczego.

Myśląc o tej wspaniałej Osobie, którą miałam szczęście znać, przypominam sobie przede wszystkim jej promienny uśmiech.

Nie było w tym uśmiechu niczego z łatwej akceptacji.

Była tolerancja, pogoda ducha, otwartość, ciekawość innego człowieka i życzliwość. I długa młodość, choć – niestety nikt nie jest obdarzony przywilejem młodości wiecznej.

Wносиła do swoich dzieł translatorskich nieomylny smak, wycucie stylistyczne i doskonałą polszczyznę.

Taką Osobę żegnamy.

Anna Nasiłowska

Krzysztof Choiński

Salon Pani Ireny

Są w życiu organizacji społecznych codzienne sprawy, żmudne zajęcia, których prowadzenie wymaga cierpliwości i czasu, a także umiejętności rozmaitego typu i dobrej pamięci. W przeważającej mierze, wbrew oficjalnym listom obieralnych funkcji, spada to na barki osób prowadzących biuro czy sekretariat, jakkolwiek określa się centralę życia organizacyjnego. Są to najczęściej panie, których stanowisko pracy zwało się przez wiele lat „sekretarką”, a później „kierowniczką sekretariatu”. Pracują na bardzo skromnych etatach, często mają tylko pół etatu, bo organizacje – pracodawcy nie dysponują zbyt obszernymi budżetami. Niekiedy już po osiągnięciu wieku emerytalnego panie te pracują nadal, wiążąc jakoś koniec z końcem, a zarząd główny czy zarząd oddziału terenowego bardzo długo nie może obejść się bez ich wiedzy, doświadczenia i zaangażowania. Są w gruncie rzeczy niezastąpione, wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, że ludzi niezastąpionych nie ma. Kiedy znikają, ich sylwetki bardzo szybko popadają w zapomnienie, a zasłona niewdzięczności okrywa ich dokonania, często przypisywane komu innemu.

Kiedy po zjeździe założycielskim Stowarzyszenia Pisarzy Polskich przyszedłem do Domu Literatury, żeby opłacić składki, w sekretariacie Zarządu Głównego na pierwszym piętrze powitała mnie miłym uśmiechem pani, która od tej pory miała być przez następne dwadzieścia lat duchem opiekuńczym naszej organizacji. Po opłaceniu składki wywiązała się rozmowa i tu od razu okazało się, że oboje mamy z kim i o czym rozmawiać. Był to początek długiej serii spotkań, które nadawały naszej siedzibie charakter salonu literackiego: załatwianie spraw takich jak składki, legitymacje, podania, przygotowania do zebrań stanowiło zawsze wstęp do interesującej wymiany zdań przy filiżance kawy czy szklance herbaty. Schodziliśmy się niezapowiedziani, często po dwie-trzy osoby i siedzieliśmy tak długo, jak na to pozwalała przyzwoitość, czyli do chwili, w której biuro trzeba było zamknąć, albo kiedy nasza gospodyni miała do wykonania jakieś pilne prace urzędowe. Miała pani Irena Zielińska liczne talenty, jak ten towarzyski, przyciągający ludzi żądnych rozmowy na ciekawe tematy i życzliwej, cieplej atmosfery, lecz także talent organizacyjny, wsparty wyjątkową pamięcią i wręcz napoleońską podzielnością uwagi. Komputer był

tylko swego rodzaju zapleczem, w którym gromadziło się informacje dla wszelkiej pewności, ale nasza nieoceniona kierowniczką biura i tak pamiętała wszystko, co miało jakąkolwiek wagę, łącznie z sytuacją bytową poszczególnych członków Stowarzyszenia (ta ostatnia sprawa była szczególnie ważna, gdy chodziło o zdobywanie zapomóg, haniebnie zresztą niskich, bo innych nie było). Dla każdego miała pani Irena uśmiech i ciepłe słowa, pomagając często przetrwać trudne chwile, a przecież jej własne życie nie układało się jak cudowna bajka. Oprócz godzin urzędowania, ogromnie dużo czasu zabierały zebrania Zarządu Głównego i imprezy literackie, zjazdy delegatów i żmudne wypełnianie formularzy sprawozdawczych, przysyłanych bez litości przez wszystkie możliwe instancje z groźną adnotacją „w nieprzekraczalnym terminie do...” – zwykle nierealnym. Pani Irena była zawsze na posterunku, uprzejma, życzliwa i uśmiechnięta, choćby nie wiem jak zmęczona, a trzeba dodać, że nie wszyscy goście potrafili zachować się w sposób właściwy: niektórzy luminarze naszego życia literackiego, przybywając na posiedzenia sądów konkursowych, przelatywali przez sekretariat niczym meteory bez bodaj zdawkowego „dzień dobry”. Poza tymi nielicznymi przypadkami atmosfera przypominała jednak salon literacki, przede wszystkim dzięki talentom gospodyni naszego biura.

Jedenaście lat temu straszna choroba wyrwała Panią Irenę z naszych szeregów, powodując stratę niemożliwą do naprawienia. Wspomnijmy czasem naszą Przyjaciółkę – pozwoli nam to przeżyć przez chwilę złudzenie, że nic się nie zmieniło i gdy zapukamy do drzwi sekretariatu, wewnątrz odezwie się melodyjny głos, a potem czekać będzie na nas filiżanka herbaty i długa, ciekawa rozmowa.

Krzysztof Choiński

Piotr Kitrasiewicz

Królewna i zalotnicy

Miniatura dramatyczna

Osoby:

Królewna
Szewczyk
Błazen
Narrator

Narrator

Za górami, za lasami, za siedmioma rzekami była piękna kraina. W niej stał piękny, stary zamek z siedmioma wieżami i głęboką fosą, a w nim żyła sobie królewna. Była młoda i piękna, marzyli o niej królewicze i książęta z sąsiednich krain, a także rycerze. Ci ostatni zjeżdżali do zamku z siedmioma wieżami w konkury. Aby zdobyć królewnę walczyli w turniejach, ucinali głowy smokom i śpiewali pełne tęsknoty pieśni przygrywając sobie na staroświeckich gitarach z trzema albo czterema strunami. Z każdym dniem rycerzy przybywało. W zamku było ich coraz więcej i służba zaczęła narzekać na tak obfitą liczbę gości. Ale nie tylko przybysze marzyli o wdziękach królewny. O jej rękę starał się też szewczyk zamkowy, który chociaż robił niezrównane buty, to klepał biedę pod okiem króla i wystrojonych dworzan. Klepiąc więc biedę oraz podeszwy trzewików oddawał się rozważaniom.

Szewczyk

A co, może jestem gorszy od tych pustaków w lśniących zbrojach? Gdyby nie ja, król musiałby sprowadzać obuwie z zagranicy: z Chin Ludowych albo z dalekiego miasta Łodzi, narażając skarbiec na poważne wydatki. Jego Wysokość ogłosił, że teraz ma być równość społeczna, więc ja też mogę zostać mężem królewny.

(Wchodzi Błazen)

Błazen

Witaj szewczyku, coś mówisz, chyba sam do siebie? Słyszałem...

Szewczyk

Żenię się, błaznie.

Błazen

Brawo! Od dawna podejrzewałem, że twemu męskiemu sercu ckni się bez białogłowy. Mogę wiedzieć kim jest twa wybranka?

Szewczyk

A co ci będę mówił, dowiesz się wkrótce. Zresztą, wiesz błaznie, zawsze ceniłem twą mądrość i umiejętność wnikliwego spoglądania w przyszłość spraw państwowych. Powiedz mi, proszę...Chociaż nie, nie, śmiać się będziesz!

Błazen

Nie będę, szewczyku, daję słowo. Żyję wprawdzie z rozśmieszania możliwych tego świata, ale to mój zawód, za to mi płacą. Ty jesteś biedny, nie zapłacisz mi przecież, tak więc nie muszę przy tobie dowcipkować. Mów śmiało.

Szewczyk

Ale nikomu nie powiesz?

Błazen

Nikommu.

Szewczyk

Dajesz słowo?

Błazen

Daję. Słowo błazna.

Szewczyk

Dobrze, posłuchaj więc...

(Wchodzi Królowna. Szewczyk urywa).

Królowna *(kokieterynie)*

Szewczyku, przyśniły mi się dzisiaj takie piękne ogrodowe sandałki. Opiszę ci jak wyglądały, zrobisz je dla mnie? *(Spostrzega Błazna)* O, i ty tu jesteś? Nie słuchaj. Szewczyku, powiem ci do ucha, jak wyglądały te sandałki *(chichocze i nachyla się do ucha Szewczyka. Błazen dyskretnie przybliży się i nasłuchuje).*

Królowna *(do Błazna)*

Nie podsłuchuj!

(Błazen wycofuje się, ale co jakiś czas zerka w ich stronę)

Królewna *(do Szewczyka)*

To co, zrobisz?

Szewczyk *(lekko zmieszany)*

Królewno, jeżeli takie jest twoje życzenie...

Królewna

Właśnie takie, tylko musisz... *(chichocze)* Musisz się postarać *(kokieteryjnie)* Postarać się tak jak tylko ty potrafisz.

Szewczyk

A jeżeli zrobię tak, jak sobie życzysz i zaspokoję twoją fantazję obuwniczą...

Królewna

Liczę na to, mój drogi.

Szewczyk

...to czy wówczas, czy wówczas...Ty zrobisz coś dla mnie?

Królewna

A co być chciał, hm...?

Szewczyk

Tak sobie myślę, królewno, że usiedlibyśmy sobie gdzieś, pod krzakiem bzu, na ten przykład, i powiedziałbym ci... powiedział ci... Jak bardzo cię...

Królewna

Nie musisz mi tego wyznawać, wiem jak bardzo mnie cenisz i szanujesz. Mój ojciec i ja doceniamy twoje oddanie, pracowitość i szewski talent. *(Chichocze)* Chodź błażnie, do ciebie też mam sprawę.

(Bierze go pod rękę i wychodzą. Szewczyk patrzy za nimi skonsternowany)

Szewczyk

Ona kocha, ale chyba tylko moje buty. O ja nieszczęśliwy!

Narrator

Dni mijały, a sytuacja pozostawała niewyjaśniona. Rycerze niecierpliwili się, szewczyk bezsilnie zaciskał zęby, a królewna pozostawała niewzruszona. W końcu jednak podjęła decyzję. Pewnego słonecznego poranka zeszła do sali biesiadnej, gdzie siedzieli rycerze, a szewczyk kucnął w kącie i oświadczyła:

Królewna

A gównu! Zostanę starą panną.

Narrator

Zasmucili się rycerze i powrócili do domów. Zasmucił się szewczyk i powrócił do butów. Tylko błazen zarechotał i zawołał:

Błazen

Brawo! Olewać równo z góry bogatych i biednych, utytułowanych i szaraczków, tych na wozie i pod nim! Oto demokracja!

Piotr Kitrasiewicz

Paweł Bitka Zapendowski¹

Paszport dla poetki

(fragment sztuki)

SCENA 13. LIST DO SOPHIE

Osoby: HALINA

(Pokój Haliny w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej w Krakowie)

HALINA (*pisze list i popija z kieliszka*)

Droga Sophie, co za klops. Nie przypalony kotlet, jaki dają nam w czwartki na stołówce, lecz zwyczajny klops, którego nie wiem jak połknąć. Mój zwierzchnik na uniwersytecie, od którego zależy cała moja egzystencja, zadurzył się we mnie. I pokazuje mi to na każdym kroku. Ten docent, że ograniczę się do inicjałów A.Z., nie przypomina żadnego z moich typów ulubionych. Jest mały, ma łysinę. Jest żonaty i dzieciaty. Co on myśli sobie, dziad jeden. Że tak wolno? Kombinuję jak mogę, aby nie być z nim sam na sam i co rusz powtarzam o mojej niedomodze, która skreśla mnie jako obiekt zalotów. A wywołuje to skutek przeciwny. Wciąż drecze za mną i prześladuje listownie.

Mam ochotę umawiać się z uroczym Lesliem, choć to bardziej kwiat – storczyk, poezja i tęcza, i nie dorósł jeszcze do łóżka.

Wczoraj docent A.Z. przypomniał mi ostro, że z doktoratem muszę ruszyć z kopyta, bo inaczej mnie usuną, a byłaby to dla mnie klęska. Zostanę bez środków do życia. Podejrzewam, że dopiero teraz zacznę mnie nękać. Bo ja, czarna reakcja, z zainteresowań fenomenologia – za

¹ Prezentacje *Paszportu dla poetki* odbyły się w 2024 r. w Domu Literatury w Warszawie i Domu Artystów Weteranów Scen Polskich w Skolimowie we współpracy z ZASP w ramach stypendium MKiDN.

Autor ma w dorobku dramaty o następujących twórcach: Georg Trakl – *Kokaina, Noc Trakla, Trakl nieskończony, Trakl. Blok X*; Tadeusz Kantor – *Kantor w Paryżu*; Jean-Michel Basquiat – *Basquiat – Czarny Picasso* (z Mirosławem Koniecznym); Leo Lipski (Lipszyc) – *Leo Lipski Story – Miłość na Miodowej*; Halina Poświatowska – *Paszport dla poetki*; Andrzej Wajda *Miałem wielkie szczęście* (monodram). W 2022 roku Teatr Polskiego Radia zrealizował słuchowisko *Leo Lipski Story – Miłość na Miodowej* w reż. Anny Skuratowicz z Jerzym Schejbalem i Grażyną Barszczewską.

W 2024 r. Paweł Bitka Zapendowski wyreżyserował *Leo Lipski Story – Miłość na Miodowej* na scenie Instytutu Teatralnego z udziałem aktorów z ZASP.

profesorem Ingardenem – i pochodzenie nie takie jakie trzeba: tatko rzemieślnik. On naturalnie jest w partii komunistycznej i uważa, że go nie toleruję tylko z tego powodu. Czarna rozpacz! Byłam w Ameryce, a dla niego to zgniły Zachód i wstrętny imperializm.

Pisanie idzie mi jak po grudzie. Wbrew temu, co będą pisać o mnie w biografjach, w ogóle nie jestem w tym całym pisaniu championem i najlepiej, gdybym się jeszcze trochę pouczyła. Z wykładów mam niewiele, bo niecałe tysiąc pięćset złotych. Dobre i tyle.

Wykłady, niestety, bardzo mnie męczą. Intelktualnie i fizycznie. Stanie przez godzinę przed nieuważną czeredą młodzieży przekracza moje siły. Uczę studentów przedmiotu, co nosi nazwę historia przemian myśli robotniczej. Na szczęście do marksizmu jeszcze nie doszłam.

SCENA 14. LITERAT

Osoby: HALINA, LITERAT (*wchodzi*)

HALINA

To ty, Tadeuszu? Wszedłeś tak cicho, że się przestraszyłam.

LITERAT

Czasy niepewne, to i cicho wchodzę.

HALINA

Czy musimy się ukrywać?

LITERAT

Ostrożność nie zawadzi.

HALINA

Zostaniesz? Czy... idziesz?

LITERAT

Halinko, wiesz, że cię kocham.

HALINA

Coraz trudniej kochać.

LITERAT

Halinko, żebyś wiedziała... Tak mi się w życiu... zakotłowało!

HALINA

Welcome to the club.

LITERAT

Ech... ty ciągle swoje. I co siedzisz w takiej ciemnicy? Otwórz okno, niech powietrza wleci. Ty się sama maltretujesz.

HALINA

Tadziu, możesz do mnie po miastowemu?

LITERAT

A ty do mnie po polsku. Po polsku!

HALINA

Przestań.

LITERAT

Jak se panienka życzy.

HALINA

Przestań!

LITERAT (*wyciąga papierosa i zapala*)

HALINA

Co z nami będzie?

LITERAT

Co będzie – to będzie. Ważne nie martwić się na zapas.

HALINA

Ja się nie...

LITERAT (*przerywa*)

Ta... Wyście tu hucznie balowali, a ja napisałem tego ze dwadzieścia kartek. Do przodu! Do przodu! Żebyś ty to umiała zrozumieć: że do szeregu trzeba wejść. I iść. Iść! Po swoje! Ja jestem ze wsi. Co chwycę – to moje. Jak mi nie dadzą, to wezmę sam. Inaczej nie idzie żyć.

HALINA

Jesteś mądry. Po prostu jesteś mądry...

LITERAT

Mądry, niemądry. Chyba głupi, gdy tu przychodzę. Kim ja dla ciebie jestem? Czy ja wróg?

HALINA

Nie wiem.

LITERAT

Chodź, Halinko, przytul się. Przytul się mocno. Najmocniej jak umiesz. Tyle z tego w życiu masz, co chwycisz w ramiona. My jesteśmy inteligentni ludzie. Czytamy tam, gdzie nie napisane. Ty nie masz poparcia. Ot, co. Jak nie ma poparcia, to nie ma siana. Jak pojedę do Warszawy, a dają mi stanowisko w redakcji, będę wracał. Będę wracał. Obiecuję. I do swoich wrócę. Tam gdzie łąka, gdzie sad. Powiem im, gdzie zaszedłem. Zabiją wieprzka i będziemy celebrować. Do Warszawy. I może ciebie tam ściągnę. Kto wie? Trzeba do świata. Do ludzi. Iść. Nie bać się.

Brać co swoje. No! (*wyciąga pieniądze*) Masz tu, z mojej zaliczki. I kup sobie. Ale nie jakieś duperele. Coś do życia. Co ci potrzeba.

HALINA

Unnecessarily, sir.

LITERAT

Weź.

HALINA

Nie.

LITERAT

Weź.

HALINA (*uśmiecha się*)

Dwadzieścia stron?

LITERAT

No, dwadzieścia. Albo i więcej. A teraz chodź i połóż się przy mnie. No, chodź.

(LITERAT *wychodzi*)

SCENA 17. WIZYTA

Osoby: HALINA, KPT. SURLIK

(*Zima. Do pokoju Haliny wchodzi KPT. SURLIK*)

KPT. SURLIK

Dzień dobry. Nazywam się kapitan Bogusław Surlik. Z Komendy Milicji Obywatelskiej.

HALINA

Dzień dobry panu.

KPT. SURLIK

Chciałbym pani zająć chwilkę. Może kwadrans. Przechodziłem Krupniczą i pomyślałem, czy nie wstąpić do młodej damy. Sprawę wyjaśnić. Gdyż sam jej nie rozumiem.

HALINA

Chodzi o mój paszport? Ale to już rok, jak go nie dostałam.

KPT. SURLIK

Czytałem odwołanie. Po co pisać, jak można porozmawiać. Spójrzeć sobie głęboko w oczy.

HALINA

I po to pan przyszedł?

KPT. SURLIK

Co pani otrzymała od nas?

HALINA

Pismo, że przekroczyłam ustawę paszportową. I nic z niego nie rozumiem.

KPT. SURLIK

Jest tyle spraw, podań, że mógł się trafić przypadek. Błąd w pracy. Co się zdarza.

HALINA

Proszę niech pan siądzie. Zrobię herbaty.

KPT. SURLIK

Dziękuję. Co więcej?

HALINA

Powiedziałam już wszystko. Wzywana byłam wiele razy. Odpowiedziałam na wszystkie chyba pytania. O Ameryce, o życiu. Najszczerzej, jak potrafię. Wiecie o mnie wszystko.

KPT. SURLIK

Chce pani próbować raz jeszcze?

HALINA

Tamta szansa zginęła bezpowrotnie. Przeżyłam zawód. Odchorowałam.

KPT. SURLIK

Są inne możliwości.

HALINA

Stypendium zagraniczne? Poprzez mój Związek. Nie wiem, jak by mi poszło w Związku Literatów? Czy mam tam odpowiednie poparcie.

KPT. SURLIK

Pani jest rokującą pisarką. Nawet lepszą od niejednej osoby zajmującej tam stanowisko.

HALINA

To źle.

KPT. SURLIK

To dobrze. I są tacy, co to doceniają. I mogą pomóc.

HALINA

W zamian?

KPT. SURLIK

Są sprawy, na które nie ma ceny.

HALINA

Studiowałam logikę. Istnieją przyczyny i skutki. Czyny oraz ich konsekwencje. Czyż nie? Czym więc zasłużyłam sobie na tę odmowę? Jaka była przyczyna, że napotkał mnie tak okrutny w swoich konsekwencjach skutek? Rozumiem wiele. Więcej, niż na to wyglądam. Ale tego akurat w żaden sposób nie potrafię zrozumieć. Proszę do mnie mówić wprost.

KPT. SURLIK

Wprost...? (*zmieszany*) Wiem, że jest pani patriotką. Że wróciła pani do Polski, by w niej żyć. Pracować dla ojczyzny. W moich oczach – chociaż moja osoba nie ma tu żadnego znaczenia – stawia to panią wysoko. To dowód dojrzałości. Ale zostaje jeszcze coś. Pewien dług.

HALINA

Dług?

KPT. SURLIK

Wdzięczności, który może pani spłacić. Swoją postawą.

HALINA

Jaki dług?

KPT. SURLIK

A kto panię leczył przez te wszystkie lata, zanim znalazła się na tym swoim Zachodzie?

HALINA

Profesor Julian Aleksandrowicz.

KPT. SURLIK (*śmieje się*)

A szerzej?

HALINA

Chodzi o innych... lekarzy?

KPT. SURLIK

Choćby...

HALINA

Ach... to, że sanatoria, lekarstwa?

KPT. SURLIK

Właśnie.

HALINA

Prześwietlenia? Klisze rtg?

KPT. SURLIK

Państwo polskie. Nasze państwo polskie. Polska Rzeczpospolita Ludowa.

HALINA

To prawda.

KPT. SURLIK

To za ledwie przyczyna, a skutek?

HALINA

Skutek?

KPT. SURLIK

Tak. Jaki będzie skutek?

HALINA

Wdzięczność.

KPT. SURLIK

Proszę?

HALINA

Jestem wdzięczna.

KPT. SURLIK

Jest pani młodą kobietą. Przed panią życie, praca, rozwój, awans.

HALINA

Choruję ciężko.

KPT. SURLIK

Awans na miarę możliwości. Przecież ten wyjazd się pani zwyczajnie należy.

HALINA

Tak pan uważa?

KPT. SURLIK

Bez dwóch zdań. Gdyby to ode mnie zależało, paszport byłby gotów... jutro.

HALINA

Ale nie zależy.

KPT. SURLIK

Niestety od innych czynników.

HALINA

Którym mam sprostać?

KPT. SURLIK

To duże słowa. Może za duże na ten moment. Wróćmy do codzienności.

HALINA

A konkretnie?

KPT. SURLIK

W tym ciemnym pokoju nie będzie pani mieszkać wiecznie. Tu się nie da myśleć pozytywnie. Ja sam miałbym chandrę. Polska się buduje. Buduje się Nowa Huta. Nowe mieszkania, przestronne, jasne. Dla pani

zdrowia jak znalazł. Balkony, loggie. Ogrody. W garażu nowe auto. To przyszłość. A teraz?

HALINA

Nie mogę wyjechać.

KPT. SURLIK

Być może przypadek. Albo niekoniecznie. Ostrożność? Zachód nie śpi. Walczy z naszym blokiem. Chce go rozsadzić od wewnątrz. Osłabić. Te wymiany kulturalne, festiwale, ta młodzież... Byłe rozmiękczyć, namieszać, przekupić. Co pani wie o mężu Lynn? Czy aby nie chciał wkraść się w zaufanie takiej pracownicy z uniwersytetu? Zaskarbić sobie ją, a potem narazić na coś, czego pani nie jest świadoma? Będą przysyłać paczki, a w nich znajdzie się któregoś dnia bibuła. Namawianie do strajku, do buntu. Chce pani wziąć w tym udział? Stać się narzędziem? Nasze sojusze są gwarancją pokoju. Warto to dawać się wciągać w konflikt, który przerodzi się kiedyś w coś niebezpiecznego?

HALINA

Nigdy o tym nie myślałam.

KPT. SURLIK

Wam literatom chodzi o sukces. Żeby mieszkać w Warszawie. Być na okładce w „Przekroju”. Plotkować z aktorkami z telewizji. Z Beatą Tyszkiewicz. A z tym sukcesem jest jak z wszystkim innym. Choćby te żyletki od rana. Myśli pani, że ja nie mam kłopotów? Pracuję w milicji i nie mam się czym golić. Bo nie ma żyletek. Sukces jest jak wszystko – reglamentowany. Osiągną go nieliczni. A pani zwyczajnie nie dopuszcza! Dlatego radziłbym jeszcze raz spróbować. I złożyć podanie o paszport.

HALINA

Co mam zrobić?

KPT. SURLIK

Złożyć podanie o paszport.

HALINA

A co potem? Jestem tylko poetką. Nie lubię pisać sprawozdań. Nie chcę chodzić na rozmowy, na kawę. Umawiać się z panami. Dajcie mi spokój. Przeczytać panu wiersz? O moim sercu. *(placze)* Puk puk... Puk puk... Puk puk...

(KPT. SURLIK wychodzi)

Paweł Bitka Zapendowski

Joanna Jarecka-Gomez

Bezpieczeństwo cywilizacyjne Nie pozwólmy amputować kultury

Jak Polska długa i szeroka, i – jak Europa – zjednoczona w swojej różnorodności, tematem odmienianym przez wszystkie przypadki jest bezpieczeństwo. Oczywiście głównie w pojęciu militarnym, jako że po osiemdziesięciu latach spokoju (nie licząc wojny na Bałkanach) spięta wspólnymi interesami i wartościami UE dawała gwarancje pokoju. Politycy i stratedzy biją na alarm, że czas się zbroid i przypominają wyświechtane nieco, ale wciąż aktualne powiedzenie, że jeśli chcesz pokoju to przygotuj się na wojnę. A więc powoli, nawet nieobyty z militariami widz czy czytelnik zaczyna identyfikować, co to Starlinki, co Patrioty, a co Abramsy. Europa ma już tego świadomość. Zbroi się i to ma sens.

Czy jednak w tym wojennym zapale nie ucieka nam inna sfera życia, którą też należałoby otoczyć opieką i ochroną? Chodzi o ducha i szeroko rozumianą kulturę, na której opiera się nasze bezpieczeństwo cywilizacyjne. Czy równoległe do determinacji, z którą wzmacniamy nasze możliwości bojowe nie powinniśmy starać się uzbrajać społeczeństwa do walki z toksyczną głupotą, która wylewa się z Internetu, z mediów społecznościowych

Joanna Jarecka-Gomez
Ewa i Europa
Wydawnictwo LTW,
Łomianki 2024
Stron 536
ISBN 978-83-60685-59-4



i powoli zaraża nasz świat, rozwała kulturę, dołuje twórców, którzy w większości klepią biedę. Jednocześnie rośnie liczba globalnych influencerów, którzy wierzą, że przyszłość należy do nich, a za bzdury połączone z reklamą mogą zbić dobrą kasę.

Niedawno belgijska RTL TVI wyemitowała reportaż o amerykańskich influencerach, z których jeden bierze systematycznie udział w konkursach, kto wpakuje w siebie jak najwięcej hot dogów. Nagroda dla zwycięzcy opiewa na sumę 1000 dolarów. Przypatrują się temu widowisku rzesze ciekawskich, gotowi płacić za spektakl, który, szczególnie w swojej końcowej fazie, jest co najmniej niesmaczny. Inny, zaskakujący i niecodzienny przekaz pochodzi od młodego influencera z Dakoty, ojca rodziny, który stając obok rury wydechowej swojego samochodu, wdycha z lubością CO₂, starając się tym udowodnić, że wszystkie alarmowe doniesienia o szkodliwości tego gazu są wysane z palca i służą jakiejś grupie interesu. Tak jak i ocieplenie klimatyczne, którego nie ma i nie będzie.

Mężczyzna prowadzi blog, ba nawet założył radio i wypuszcza w eter każdego dnia „inteligentne” recepty na szczęśliwe i dostatnie życie. W jednej z ostatnich na pytanie słuchacza „Co robić, kiedy inni ludzie nie zgadzają się z twoim zdaniem?” odpowiada bez cienia wątpliwości: „Ignorować ich i robić swoje”.

Trzeba uzbroić ludzi kultury w wiarę, że mają przed sobą misję i dać im na to środki. Inaczej skapitulują i pogrążą się w bylejakości. W niektórych środowiskach twórczych to się już dzieje. Niedawno usłyszałam od młodego scenarzysty, że nie wstydzi się braku ambicji, bo to, co ambitne trudno sprzedać. Pisarze, którzy nie są na etacie, nie mają za co żyć. Niedawno w Krakowie była zrzutka dla jednego z krakowskich poetów, z uznanym dorobkiem twórczym, kilkakrotnie nagradzanego. Czy tak ma wyglądać życie w godności?

Luki legislacyjne to jedno, a zagrożenie, które niesie ze sobą Internet i sztuczna inteligencja to drugie. Dumna ze swojej kulturowej wyjątkowości Francja, była w zeszłym miesiącu, za sprawą prezydenta Macrona, siedzibą mega konferencji na temat AI, która stała się dla środowisk twórczych okazją, żeby wyartykułować obawy o przyszłość kultury, którą ma tworzyć algorytm. Czy to „on” stanie się autorem? Nawet jeśli dzisiaj zdolności twórcze są wciąż jeszcze tylko domeną człowieka, przy tak niesamowitym rozwoju technologii, nie możemy być pewni, że stopniowo maszyna nie zepchnie twórców na margines, przy poklasku obywateli, których wymagania i oczekiwania artystyczne lecą w dół. Słyszałam od uczniów

z kilku francuskich i hiszpańskich szkół, że już nie czytają lektur, bo robi to za nich ChatGPT i podobno streszcza cały tekst lepiej niż sami by to zrobili, a w dodatku robi to w rekordowym tempie. Zapominają tylko, że przy tej metodzie sztuczna inteligencja będzie się rozwijać, a ta ludzka będzie się kurczyć. Nasz umysł się rozleniwi i będzie też coraz bardziej podatny na wszelkiego typu manipulacje. Zjawisko ogłupianych czytelników ma charakter globalny. Zmieniają się ich gusta, ich potrzeby i oczekiwania.

Mocno na tym cierpi dzisiejsza literatura.

Z rozmów z zaprzyjaźnionymi wydawcami wiem, że najlepiej sprzedają się dzisiaj kryminały z dużym ładunkiem *morbo* (z hiszp. chorobliwie mroczne i brutalne), powieści erotyczne szminkowane *voyeryzmem* i fantastyka. W Belgii niesamowitym sukcesem wydawniczym okazała się książka lekarza sądowego, który sam siebie nie nazywa pisarzem tylko „opowiadaczem” i dzieli się z czytelnikami swoim trzydziestoletnim doświadczeniem, odkrywając kuluary pracy nad ofiarami zabójstw, samobójstw i przemocy. Jego pedagogiczny, drobiazgowy opis z całą pewnością przynosi bezcenne informacje dla organów ścigania. Okazuje się jednak, że jest również bardzo atrakcyjny dla setek tysięcy czytelników, dzięki którym książka ta stała się bestsellerem.

Tego rodzaju zjawisko daje do myślenia i wzbudza pewien niepokój. Podobnie jak oferta telewizji, która faszeruje nas obrazami przemocy i gwałtu. Młodzi widzowie mogą się z tych filmów lepiej nauczyć, jak zabijać, niż jak ratować człowieka. To jest dramat.

A jeśli sięgnąć do komedii i rozrywki, to jakość programów rozrywkowych w większości państw europejskich, a mam tu na myśli głównie ofertę hiszpańskiej publicznej telewizji ostatnich lat, jest żenująca. Głupkowate skecze przeplatane wulgaryzmami i rechocząca widownia. Programy te cieszą się jednym z najwyższych wskaźników oglądalności.

Tymczasem z innego kąta robi do nas oko sztuczna inteligencja, która zachwyca szybkością reakcji, nieograniczonym dostępem do informacji i daje złudzenie, że nam wiernie służy. Pewnie w niektórych sferach życia tak jest, ale to nie znaczy, że tak zostanie. Dzień, w którym stracimy nad nią kontrolę, będzie tym właśnie końcem historii, o którym mówił kiedyś Fukuyama, ale wtedy to był tylko koniec odcinka serialu. Ten, który się dzieje na naszych oczach, jest w dużej mierze nieprzewidywalny.

Dlatego tak ważne jest, żebyśmy nie dali się zwariować modom, trendom, zakłębom, a hołubili to, co w nas ludzkie i niepowtarzalne, nie do skopiowania, a tych, co kopią i robią to bezkarnie, należy ścigać.

Musimy obronić literaturę przed intelektualnym kanibalizmem w internecie. Unia Europejska przyjęła szereg ważnych regulacji w tym zakresie, ale to państwa członkowskie są odpowiedzialne za ich wdrażanie i tu pośpiechu nie widać. A im dalej od Europy, tym gorzej. Mój chiński znajomy, krytyczny w stosunku do swojego rządu, zwykł mówić, że w opinii jego rodaków *copyright* znaczy tyle co *right to copy*. Śmieszne i straszne.

Dzisiaj jednym z artykułów deficytowych, który koniecznie trzeba promować, jest etyka i zmysł krytyczny, i żaden algorytm ich nie zastąpi. Chodzi bowiem o cechy typowo ludzkie połączone z intuicją, z wartościami, z doświadczeniem życiowym, których maszyna mieć nie może.

Myśląc o bezpieczeństwie, nie zapominajmy o tym, co dla naszej europejskiej cywilizacji jest jej „być albo nie być” – o kulturze i tych, co ją tworzą, dlatego, że mają talent, a to rzecz rzadka i cenna i należy ją chronić. Tylko tak uzbrojona Europa może się obronić!

Bruksela, 28 marca 2025

Joanna Jarecka-Gomez

Jerzy Marciniak

Cześć i Chwała żołnierzom... (*autocenzura*)

PisarzPrawnik od dawna, dawna był dumny ze swojej rodziny. Określając czas tak na oko, to gdzieś od swoich narodzin albo i kilka lat wcześniej. Wszyscy w rodzinie dobrze się uczyli. Wujek Rosjanin miał za sobą wielowiekowe tradycje wojskowe. A do tego i artystyczne. Babka PisarzaPrawnika, co prawda sierota i biedna jak mysz kościelna, ale szlachcianka herbowa z dobrymi koligacjami.

Sam PisarzPrawnik też nie prezentował się najgorzej. Nauczycielka w szkole podstawowej czytała w klasie jego wypracowania, szkołę średnią skończył z nagrodą, a na studiach prawniczych też nie pozostał w tyle. Praca magisterska na ocenę bardzo dobrą, egzamin magisterski na ocenę bardzo dobrą, a ogólny wynik studiów: dobry. W Szwecji ukończył podyplomowe Studium Reklamy i Marketingu, gdzie też szło mu dość dobrze.

Czy się chce, czy nie chce tego zauważyć i uznać, to rodzina PisarzaPrawnika jest aktualnie Największym Rodem Prawniczym w Polsce. On sam jest z wykształcenia prawnikiem, młodszy syn prawnikiem, bratanica prawnikiem w Londynie. Do tego ma innych prawników w rodzinie, z którymi co prawda jest skłócony, ale to niewiele zmienia w dość pozytywnym obrazie rodziny. Siostrzenica jest prawnikiem w Niemczech, bratanek adwokatem we Wrocławiu, jego żona prokuratorem w Kamiennej Górze, jej ojciec sędzią w Wieruszowie, kuzyn adwokatem w Bolesławcu i jego zięć adwokatem w Bolesławcu.

Można byłoby dorzucić tutaj i brata PisarzaPrawnika, który jest co prawda lekarzem w Kanadzie, ale i Legitymowanym Biegłym Sądowym. Często występującym w sądach w Toronto.

To wszystko dobre było, dobre było, ale do władzy doszedł Jaśnie Kochany Prezes i wszyscyutko jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki się zmyło. I na razie trudno się spodziewać, że dawne dobro powróci. Do władzy co prawda powrócili dawni, ale oni z polskością czy uczciwością, to... (*autocenzura*). Dobry zatem czas niedobrze się dla PisarzaPrawnika zakończył.

Ni mniej ni więcej PisarzPrawnik usłyszał w Polskim Radiu, z ust profesora Polskiej Akademii tzw. Nauk, że jego Ojciec – Inwalida Wojenny Ludowego Wojska Polskiego nie walczył w czasie wojny o wyzwolenie Polski spod okupacji niemieckiej, tylko razem z Najeźdźcami ze Wschodu, w Tak Zwanym Wojsku Polskim, wprowadzał nową okupację. Chwilami gorszą od dotychczasowej okupacji.

Za rany wojenne i utratę zdrowia do końca swoich dni został Ojciec PisarzaPrawnika awansowany przez Prezydenta z szeregowego na podporucznika. Co cieszyło rodzinę i podporucznika, ale gdy ostatnio okazało się, że on nie walczył o wyzwolenie tylko... Aż dreszcze szły po ciele jak o tym rodzina pomyślała. Nie wiadomo też, czy po odkryciu tej strasznej prawdy przez profesora Polskiej Akademii tzw. Nauk, nie zajdzie konieczność zwrócenia awansu.

Później z ust innego profesora Polskiej Akademii tzw. Nauk – patrz kompromitujące miejsca polskiej nauki i uniwersytetów w Rankingu Szanghajskim, PisarzPrawnik dowiedział się, że Ludowe Wojsko Polskie jest ludowym przez małe L.

Szkoła podstawowa w Kaliszu, gdzie PisarzPrawnik odnosił swoje pierwsze sukcesy literackie, nosiła imię Generała Karola – Waltera Świerczewskiego. Przy tablicy upamiętniającej tę postać, wiszącej przez lata tuż przy wejściu, Przyszły Literat trzymał w mundurze harcerek Wartę Honorową. Szkołę odwiedzał nieraz żołnierz-staruszek, który był w Bieszczadach, gdy Walter prowadził z pistoletem w dłoni żołnierzy do ataku na sotnię nieprzyjaciela.

Od dawna tej tablicy pamiątkowej nie ma, a do tego PisarzPrawnik po przejściu władzy przez Jaśnie Kochanego Prezesa, dowiedział się z publikacji prasowych, audycji radiowych, książek profesorów Polskiej Akademii tzw. Nauk i równie zdolnych naukowców z Instytutu Pamięci Narodowej, że trzymał Wartę Honorową przy tablicy upamiętniającej Pijaka Chorego Psychicznie i Zdrajcę Narodu Polskiego wysługującego się Niecywilizowanej Diczycy i Zbrodniarzom ze Wschodu.

Rodzina wujka Rosjanina była stara i dzieliła się na dwa odgałęzienia: wojskowe i trochę artystyczne. Jeden z przodków zasłynął w wojnie turecko-rosyjskiej. Walecznością i tym, że w niewoli tureckiej wszczął bunt oficerów, za co został stracony przez pluton egzekucyjny. Potem Związek Oficerów Guberni Chersońskiej wystawił mu pomnik na cmentarzu w Saratowie, który przetrwał do Rewolucji Październikowej. Po wejściu do

miasta żołnierzy Armii Czerwonej miejsce jego pochówku zostało zniszczone jako jedno z pierwszych.

Ojciec wujka – major Armii Czerwonej zaginął w Moskwie podczas Czystek Stalinowskich. Po dojściu do władzy Nikity Chruszczowa rodzina otrzymała informację o prawdopodobnym terminie jego procesu i przypuszczalnym miejscu pochówku.

Linia artystyczna wujka PisarzaPrawnika składała się z wielu osób, ale prawdę mówiąc, to jedynie dwie zapisały się godnie, chwalebnie i na wysokim poziomie dokonań artystycznych. Daleki krewny był tancerzem. Zadebiutował w wieku szesnastu lat w Teatrze Maryjskim w Petersburgu, rok przed Rewolucją Październikową. Za swój taniec na scenie, w jednym z ostatnich szeregów, dostał wiele pochwał. Po kilku miesiącach wystąpił w następnym spektaklu, ale Rewolucja Październikowa święciła już sukcesy. Na polu sztuki także, więc krewny szybko zadebiutował w innej roli. Jako drwał przy wyrębie lasu na Syberii. Debiut nie był chyba do końca udany artystycznie i politycznie, bo po kilku miesiącach debiutował jako górnik w kompanii karnej, na niskich pokładach w kopalni węgla. Spędził tam kilkanaście lat. Po wojnie jako weteran Armii Czerwonej zajmował się choreografią zespołów folklorystycznych na Dalekim Wschodzie. Szczęście uśmiechnęło się w końcu do niego, trochę półgębkiem, bo spotkał go tam choreograf Teatru Balszoi – dawny kolega z Teatru Maryjskiego i ściągnął do Moskwy, gdzie dawny tancerz został nauczycielem tańca klasycznego. Ostatnie lata upłynęły mu w domu starców dla artystów.

Lepiej poszło skrzypaczce, studentce Akademii Muzycznej w Petersburgu, pochodzącej ze wsi spod Grodna. Ojciec jej był organistą w kościele i skrzypkiem w orkiestrze wiejskiej. Stracił rękę i oko w pierwszym roku Wielkiej Wojny jako żołnierz Armii Czerwonej. Rok później zmarła jej matka z głodu podczas oblężenia Leningradu, więc studentka wstąpiła jako sanitariuszka – ochotniczka do Armii Czerwonej, by pomścić rodziców. Walkę zakończyła marszem zwycięstwa w Berlinie.

Specjalizowała się w Koncercie Skrzypcowym D-dur Piotra Czajkowskiego. I na dwadzieścia piątą gadowszczyznę PABIEDY nad Niemcami astas': Narodnyj Artist Sawieckawo Sajuza.

Wujek PisarzaPrawnika – porucznik Armii Czerwonej wyzwalający Polskę był bardzo dumny ze swojej rodziny.

PisarzPrawnik też był dumny z rodziny wujka Rosjanina. Był dumny, był, ale nagle... przestał być. Na stronie internetowej Radia Wrocław

przeczytał tekst *Złodzieje i Wenerycy*. Jasno na białym lub czarno na czarnym widniało, że Armia Czerwona, w tym jego wujek i dalsi krewni, to... *Złodzieje i Wenerycy*.

Czy autorka tekstu badała wujka PisarzaPrawnika pod kątem zakażenia Chorobą Weneryczną, nie napisano. Jednak za rządów Jaśnie Kochanego Prezesa media miały monopol na wyłączną prawdę, więc takie badania, wiele lat po śmierci tych niechlubnych bohaterów, Radio Wrocław na pewno przeprowadziło.

W stosunku do ojca skrzypaczki – ochotniczki Armii Czerwonej Radio Wrocław odniosło się oczywiście sprawiedliwie, ale i trochę bezpardonowo. Skoro stracił prawą rękę, to KRADŁ jedynie lewą, więc de facto mógłby występować w informacji radiowej jako PółZłodziej (czego jednak tekst nie zawierał).

Wiadomość, że ojciec skrzypaczki, ona – Narodnyj Artist i wujek Rosjanin, wszyscy pochodzący ze starych dobrych rodzin, byli chorzy wenerycznie zważyło PisarzaPrawnika z nóg. A do tego nie był pewny, czy sam nie ma choroby wenerycznej, bo przecież u wujka spędzał każde wakacje.

Badania u dermatologa nie wykazały co prawda przedmiotowej choroby u PisarzaPrawnika, ale nie cieszył się tym zbytnio, bo po ewentualnym powrocie Jaśnie Kochanego Prezesa do władzy, wyniki mogą zostać odczytane odwrotnie. I na stronie internetowej Radia Wrocław może zawisnąć informacja, że PisarzPrawnik to nie tylko pijak skłócony z Ministerstwem Kultury i teatrami, ale również chory na chorobę intymną.

PisarzPrawnik po tym ciosie z Radia Wrocław chwiał się na nogach i nie mógł dojść do siebie, a wkrótce okazało się jeszcze, że ojciec skrzypaczki, ona sama i wujek Rosjanin, członkowie starych rosyjskich rodzin, są... ZBRODNIARZAMI. Tę tragiczną dla PisarzaPrawnika prawdę wyjawiał prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Karol Nawrocki, podczas usuwania pomnika żołnierzy Armii Czerwonej w jednym z miast na Dolnym śląsku. I to w dodatku niedaleko Ścinawki Średniej, gdzie przez wiele lat wujek PisarzaPrawnika – Złodziej, Weneryk i Zbrodniarz mieszkał i gdzie był ogólnie szanowany.

Te straszne prawdy podane przez Radio Wrocław, profesorów Polskiej Akademii tzw. Nauk i prezesa Instytutu Pamięci Narodowej dr Karola Nawrockiego stawiają w złym świetle i Amerykanów. Narodnyj Artist koncertowała bowiem w wielu krajach. W tym i w Nowym Jorku, więc gdy teraz wyszło na jaw, że oni oklaskiwali Złodziejkę, Weneryczkę i Zbrodniarkę, to zazdrościć im nie ma czego.

Brat PisarzaPrawnika mieszkający w Kanadzie, właściciel przychodni lekarskich, a do tego zdolny i ceniony lekarz, był kilkakrotnie NAGRADZANY przez Parlament Kanady za wkład w rozwój medycyny. Teraz, gdy stało się bezsprzeczne, że jego Ojciec-Inwalida Wojenny służył w Tak Zwanym Wojsku Polskim, krewni byli ZŁODZIEJAMI, WENERYKAMI i ZBRODNIA-RZAMI, to oni w tym Parlamencie też chyba nie czują się dobrze.

PisarzPrawnik nie ma lekko w świecie literackim. Do teatrów praktycznie ma wstęp wzbroniony, jego syn profesor Szkoły Filmowej w Szwecji podobnie, nawet jeszcze bardziej wzbroniony. Do tego wulgaryzmy wykrzykiwane na nich w teatrach – co Ministerstwo Kultury nazywa Autonomią Artystyczną, też nie są czymś wyjątkowo słodkim. Ale... ale prawda jest i taka, że aktualnie NIE ma pisarza i pisarki w Polsce, który vel która WYGRAŁA tyle konkursów na sztuki teatralne, słuchowiska, opowiadania i wiersze co przyszyły Weneryk, Złodziej i Zbrodniarz. Czyli PisarzPrawnik.

Syn Inwalidy Wojennego Ludowego Wojska Polskiego przez małe L, mieszkający w Kanadzie, wystawił Ojcu pomnik na cmentarzu w Kaliszu. Niedaleko jest też grób wujka Rosjanina, na tym grobie również jest pomnik. Oba pomniki są i są, ale... Jeżeli do władzy powróciłby Jaśnie Kochany Prezes, to... Zresztą aktualna władza też nie jest od niego lepsza, a w rozkradaniu majątku narodowego i pozbawianiu Polaków banków to dużo, dużo bardziej wydajna, więc... Po wyburzeniu pomników żołnierzy Armii Czerwonej mogą zabrać się i za pomniki żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego przez małe L, bo przecież też wyzwalałi Polskę.

Złość władzy po upadku PRL-u w stosunku do Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego przez małe L jest wielka. NIE mogą darować ani jednym, ani drugim, że NIE zatrzymali się na linii Bugu i NIE pozwolili Polakom nadal pozostawać pod przyjacielską okupacją kochanych Niemców, tylko kochanych przepędzili i Polskę wyzwolili.

Stanęliby na linii Bugu, to dzisiejsi rządzący nie musieliby jeździć do Berlina z poddańczymi podziękowaniami za pomoc w rozkradzeniu polskiego majątku narodowego i przekazaniu w obce ręce banków, tylko dziękować kochanym na miejscu. w Warszawie lub Gdańsku.

Do tego żołnierze Ludowego Wojska Polskiego przez małe L, mogli przecież zachować się PATRIOTYCZNIE jak generał Władysław Anders, czyli przejść na amerykański biały chlebek i odmówić wyzwalań Polski. Dzisiaj ma on ulice swojego imienia w każdym mieście. Wyzwalałby Polskę, to nie miałyby w żadnym.

Historia nieraz się powtarza, a nieraz kołem się toczy, więc może się zdarzyć w dzisiejszej Polsce to, co stało się z tym pomnikiem na cmentarzu w Saratowie. Zresztą podobieństwo między Rewolucją Październikową a obaleniem PRL-u jest duże. Ta pierwsza cofnęła Rosję sto lat wstecz, a to drugie dokonanie historyczne Polaków o jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Z tym że aktualni patrioci ostatniego słowa jeszcze nie powiedzieli, więc szybko do setki mogą dobić.

Może więc niedługo zostanie puste miejsce tam, gdzie spoczywa ojciec PisarzaPrawnika i tam, gdzie swoją wędrówkę po ziemskim padole zakończył jego wujek Rosjanin.

Tymczasem, póki jeszcze nie jest to tak do końca zabronione, to:
Cześć Pamięci poległych żołnie... (*autocenzura*).

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Anny Nasiłowskiej wiersze bolesne a kojące¹

Nakładem wydawnictwa Biblioteka FONT / Profile z Poznania i pod egidą Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział w Poznaniu ukazała się książka Anny Nasiłowskiej pod tytułem *Wiersze stacjonarne*. Książka niezwykła, świetna w czytaniu i przeżywaniu.

Z pozoru jest to rzecz nieco poboczna (sam tytuł sadza w krzesło lub fotelu do czekania na coś ciekawego), która każe brać siebie do ręki i czytać. Ale jednak warto wstać, nie odbierać jej w pozycji przy stole. Każe się bowiem czytać w czasie chodzenia w kółko, jak w chwilach oczekiwania na wynik operacji. Łączy dwa totalnie zaburzone światy: po pierwsze ten wewnętrzny świat własnego ciała, emocji, miłości, smutku, z natury liryczny, więc osobisty, ściśle poetycki, ale druzgotany przez czynniki równie obce, co te ze świata drugiego, zewnętrznego, zakłócanego przez wpływy pozornie własne. Jedna wielka mieszanina przyczyn i skutków, ale nie tylko złych. Wszędzie czai się dobro.

Nic się w tym diagnostycznym opisie dwoistego tomu nie może trzymać jednego sensu, bo – jak się już na wstępie wydaje – przypisuje przeciwnym sobie obszarom przeciwne podejścia – co za paradoks! – jak do tej samej jedności. Jest więc choroba, która przykuwa do łóżka, do zagrożenia idącego z własnego ciała; z drugiej strony zagrożenie ogólne, światowe, a w każdym razie wieloludzkie, które nie tyle przykuwa do łóżka, ile każe wręcz biec, uciekać, znikać z obszaru zagrożeń atakujących wszystko: moją (naszą, autora albo czytelnika) osobę, ale i całość, ale kraj, świat. Na razie kraj obcy, a kto wie, może wkrótce mój, nasz.

Do tego trzeba podejść z lupą analizującą własne doświadczenie niemoicy, bólu, i zaraz potem (w drugiej części tomu) do doświadczenia ukształtowanego przez cierpienie ludzkości. W opinii pospolitej są to rzeczywistości osobne, krańcowo od siebie odstające, ale przecież, jak widać, bliskie, jeśli nie wręcz jednej natury, a to dzięki scalającemu umysłowi poetki, która obie sfery rejestruje niemal w tej samej chwili i dostrzega ich wzajemne przenikanie się z pewnym rodzajem wspólności doświadczeń.

¹ Anna Nasiłowska, *Wiersze stacjonarne*. Biblioteka FONT / Profile, Poznań 2024. Wydanie tomu promowane przez SPP. Patrz także: str. 86-89 niniejszego wydania „Podglądu”.

Tu łóżko, stół operacyjny, magiel fizjoterapii i rehabilitacji; tam Ukraina i brutalna, zbrodnicza wojna Rosji z nią, z krajem pełnym gruzu, spopielin, zwłok i kalek ludzi niewinnych, niemal tak jak ciało autorki zaatakowane przez chorobę, a przy tym przecież także nie zasługujące na nią.

Świat jest toczony przez robactwo czołgów antywyobraźni i niemoralności, inicjowanych przez narcyzm, podłość i pogardę dla życia. Łóżko zaś kryje niedoskonałość ciała, słabość systemu odporności i szarpaninę obrony tego, co dzięki sprawnym i chętnym ludziom (kto wie, czy również chorym) daje się uratować; i wobec tego analizuje przeraźliwość obrazów pól bitwy, która wchodzi do mieszkań, szkół i szpitali, zmiatając wszelkie wysiłki trwania:

*Widziałam z okna pociągu
Dwa psy ścigające się po polu*

– pisze poetka w jednym z wierszy podsumowujących zderzenia światów zniszczeń: destrukcji we własnym ciele z ruinami na rozległej powierzchni Ziemi. Oba wydają się przegrane, czekające na koniec, na śmierć. Oba też trwają nie tyle w jakiejś odległości, dającej perspektywę i miejsce na zamyślenie, ile ciężko pracują nad sobą, i to wspólnie, w jednym umyśle, obserwującym to wszystko, współczującym własną chorobę i potrzebę pokonania gigantycznego pomieszczenia wszelkich porządków i pojęć. Leżąc z konieczności z głową na poduszce. U autorki brzmi to jako:

*dużo śpię
nie czytam Tomasza z Akwinu
zgarniam z gazet pianę
zdjęcia spod Chersonia
obrazy wojny
zalane domy
skandale medialne
fotografię pięknej dziewczyny
zamordowanej brutalnie
na wyspie Hipokratesa*

Jest to zatem poetycka opowieść, punkt po punkcie o stanach i mechanizmach psychiki, które reagują na wchłanianą rzeczywistość i właśnie ją wsysają dosłownie ze wszystkich stron, a postrzegając własnymi zmysłami,

widzą jej patologiczny stan. Świat jest w chorobie, takiej jak moja, wydaje się szeptać poetka, kiedy w pewnym momencie mówi o swoich wierszach, że są stacjonarne, a więc uległe i chrome. W szpitalu jak w pociągu z Polski na Wschód, gdzie Rosja wdeptuje w bagnistą ziemię dorobek ludzkości i jeszcze samą ludzkość, na powierzchni żyjącą, niecałą w grobach.

No, a ktoś ci jeszcze mówi, że w tym samym szpitalu siedzisz lub leżysz nieruchomo wśród obcych. Uważa bowiem, że to źle, że w czymś przeszkadza, że ci zaglądamy nie tylko do łóżka i talerza, ale do gardła albo i głębiej. Przeciw takiej ocenie autorka protestuje, bo widzi sprawę dokładnie odwrotnie i łączy lęk z lekiem:

*A ja myślę
nie
to dobre
to lek
na lęk*

Wielość uczestników tragedii, towarzyszy niedoli, jak się ich nazywa w czasie upadku, kiedy brutalność nieliczenia się z życiem i bólem zakłóca tok widzenia, a z drugiej strony scena, obszar obserwacji i nadzieja, że wśród ludzi uwijających się tu i tam znajdzie się ktoś dobry, kto dotknie łagodnością, rozumieniem, zastrzykiem przeciwbólowym, opieką, i uspokoi – każe widzieć to, co jeszcze normalnego w tym świecie jest, a z czym się żyje szczęśliwie.

Kiedy czyta się te wiersze, na myśl przychodzą inne dzieła literackie o chorobie. Jest ich potężna biblioteka. Na przykład moje własne tomiki *Ludzki wynalazek* i *Opaska gazowa*, w sumie bardzo lekarskie, ale i fascynujące książki Mirona Białoszewskiego, Małgorzaty Baranowskiej czy Adriany Szymańskiej, mnóstwa poetów, a także – czemu nie – prozaików Alberta Camus, François Rabelais’go, Thomasa Manna, Archibalda Cronina. Pisałem niegdyś o nich w obszernym artykule *Postawy lekarskie w powieści*. Wszyscy nieodmiennie patrzą na chorobę i wojnę jako zjawiska osobne, a jeśli wspólne, to tylko na zasadzie zbiegu okoliczności albo brutalnego wywoływania udręki przez niszczenie, wojenne rzecz jasna.

Wbrew pozorom i jak w sumie daje świadectwo ta książka, rozważanie zła przynosi dobro. Poetka Anna Nasiłowska wyciąga wnioski mocniejsze, ciekawsze i owocniejsze niż inni mistrzowie badania patologii przemocy, dzięki własnemu doświadczeniu metafizycznemu, badaniu bytu jako

takiego w całości, a nie fragmentami typu „co innego tłum, co innego jedno ciało”. Czymże bowiem różni się choroba stawów biodrowych od chorego pokoju, a więc wojny, która potrafi niszczyć jeszcze głębiej, zrównywać stawy i jeziora z ziemią, a tam, gdzie ich nigdy nie było, tworzyć zbiorniki nowe, dziury w ciele ziemi zalewając wodą czerwoną od krwi.

Piotr Müldner-Nieckowski

*Nieco zmieniony tekst
artykułu pierwotnie publikowanego
na stronach <https://Pisarze.pl>*

Kazimierz Świągocki

Powrót do klasycznej strofy

Patrzę na ładnie wydany tom poezji Krzysztofa Saturnina Schreyera. Jest to wybór dość już obszernego dorobku tego autora. Już sam zewnętrzny wygląd okładki tej książki nasuwa myśl o klasycyzującej estetyce jej zawartości. Istotnie wypełniające ją wiersze prawie bez wyjątku skonstruowane są według tradycyjnej zasady poezji jako mowy wiązanej.

Poezja Krzysztofa Saturnina Schreyera stanowi prawdziwe wyzwanie dla współczesnej sztuki budowania wierszy i treści wypełniających ich formę. Patrząc na jej perfekcję w tworzeniu strof, wersów i zdań ułożonych z ogromną swobodą i lekkością pióra w układy regularne harmonijnego brzmienia i porównując ją ze współczesną poezją pod tymi względami można rzec, że jest ona w każdym calu zaprzeczeniem tej ostatniej. Poezja współczesna bowiem (nie tylko zresztą nasza polska, lecz i światowa, przynajmniej zachodnia) odeszła od zasad obowiązujących od wieków tę sztukę słowa. Radykalizując nieco, rzec można, że poezja współczesna rzekła się wszystkiego co było chlubą i troską poezji dawnej, cnotą naczelną czyniąc nieuznawanie żadnych reguł.

Tak jest w odniesieniu do formy wiersza, ale i w odniesieniu do treści zachodzi również podobny rozbrat. Współczesna poezja nie sili się na odkrywanie przed czytelnikiem jakichś szczególnych prawd, myśli, które by poszerzały naszą wiedzę. Nie są dla niej ważne również treści emocjonalne będące wyrazem życia wewnętrznego poety. Tak zwany podmiot liryczny zastępuje poetę. A podmiot liryczny to twór abstrakcyjny, więc nie przeżywający realnego świata, lecz raczej kreujący nowy świat na własną niejaką odpowiedzialność. Tymczasem w wierszach Krzysztofa Schreyera bardzo wyraźnie widzimy obecność osoby żywego poety, który wypowiada „żywe” prawdy dotyczące sztuki życia. Przekazuje więc określoną wiedzę w tym zakresie, a nie to, co nasuwa wyobraźnia lub spontaniczne uczucie. Daleko jej do romantycznych wzlotów wyobraźni i wybujałej uczuciowości. Przypomina za to poetycką sztukę epoki renesansowej, a bardziej jeszcze oświeceniowej z jej praktycznym racjonalizmem i swoistym naturalizmem. Uderzającą jej cechą jest jasność i wyrazistość treści. Czytając ją, wiemy o czym czytamy. Niepotrzebne są do niej komentarze i wydumane

interpretacje. Te by mogły raczej zagmatwać ich warstwę myślową, ideową niż ją odsłonić i uwydatnić. A treści w nich zawarte dotyczą nie jakichś wyдуманym sytuacji pseudolirycznych, lecz sztuki życia człowieka myślącego. O czym? O tym co dobre i piękne. A dobro i piękno stają się w wierszach poety treścią mądrości. Tak, poezja Krzysztofa Schreyera zasługuje w pełni na określenie jej jako poezji sapiencjalnej. Mówi ona o tym, co w życiu jest ważne, a co nie jest ważne bądź mniej ważne. Poeta sięga do renesansowej formuły humanizmu: *humanum sum, humani nihil a me alienum puto* – człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce. Te słowa rzymskiego pisarza Terencjusza doskonale oddają istotę problematyki wierszy naszego poety. Trudno zaś o lepszą uogólnioną charakterystykę ich tematyki od tej, którą znajdujemy w tekście od Wydawcy. Czytamy: „tematyka utworów Krzysztofa Saturnina Schreyera jest bardzo zróżnicowana, tak samo jak rodzaje wierszy od liryk przez wiersze psychologiczne, obyczajowe, filozoficzne, żartobliwe. Jego różnorodny klasyczny niedzisiejszy wiersz wyraża treści bardzo współczesne, a rymy i rytmy przez swą naturalność podkreślają emocje i myśli autora”. Te myśli – dopowiedzmy – tworzą subtelną tkanekę mądrości, która zaleca się do czytelnika wdziękiem i urodą klasycznej frazy, klasycznej strofy, jakby Schreyer próbował przywrócić poezji muzyczne brzmienie i swoistą elegancję. I czyni to z odwagą i talentem, nie bacząc na mody i obce mu tendencje.

Kazimierz Świągocki

Alicja Patey-Grabowska

Dać świadectwo prawdzie

Rozmowa z księdzem prałatem Zdzisławem Peszkowskim (1918-2007)

Do tej jakże dla mnie osobistej rozmowy przygotowywałam się z mieszanym uczuciami. O co pytać, skoro ksiądz już tyle powiedział i przekazał w licznych publikacjach i książkach? Co przeżyję, gdy stanę oko w oko z jednym z Nich? A może ksiądz znał mojego ojca, porucznika rezerwy Kazimierza Grabowskiego? Może go pamięta? Może był świadkiem jego „wymarszu” z obozu na śmierć? Przecież ksiądz Peszkowski był, tak jak mój ojciec, jeńcem w obozie w Kozielsku. Jak tam było? Jak? Czy ksiądz na te pytania mi odpowie? Czy w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać?

Moje zdenerwowanie i wszelkie obawy pierzchyły, gdy stanęliśmy naprzeciwko siebie. Wytworzyła się szczególna więź. Potoczyła się rozmowa ciepła, serdeczna jak między bardzo bliskimi sobie ludźmi. Patrząc na postawną sylwetkę księdza, podchorążego kawalerii, a później oficera Pierwszego Pułku Ułanów Krechowieckich, zadawałam sobie w duchu pytanie: dlaczego został duchownym, co go skłoniło do przyjęcia święceń kapłańskich?

Ksiądz wyprzedził moje niedyskretne pytanie:

– „To, że cudem uniknąłem śmierci, było jednym z głównych powodów przyjęcia święceń kapłańskich w 1974 roku. Jako kapłan, jedyny wśród uratowanych, który przyjął święcenia, mam większą możliwość obcowania ze zmarłymi poprzez modlitwę, celebrowanie mszy, jak również przez pośredniczenie duchowe między Nimi a rodzinami: wdowami, dziećmi, rodzeństwem. Szczególnie kontakty z dziećmi pomordowanych są źródłem wielkiego wzruszenia, zapełniają bowiem lukę w moim życiorysie. Pozwalają zrozumieć tęsknotę ojców za pozostawionymi maleńkimi synami i córkami. Potem, kiedy częściowo pustoszał główny obóz w Kozielsku, zostałem przeniesiony ze skitu, części obozu znajdującej się za głównym monasterem, z powrotem do tego obozu. Nie zapomnę nagłej pustki budynków, cerkwi, dziedzińców, jeszcze nie tak dawno tętniących życiem, huczących tysiącami głosów.

Teraz wiatr rozwiewał rozrzucone kartki, a w pustych budynkach przypominały o nich zostawione drobiazgi i worki pełne listów niewysłanych i tych, na które czekali, a których nigdy nie przeczytają.

Nie zapomnę radości mojego kolegi z obozu, podporucznika Ostrowskiego, który otrzymawszy list od żony z wiadomością o urodzeniu dziecka, płakał ze szczęścia. Ze łzami w oczach podzielił się tą radosną nowiną z doktorem Sadowskim.

Rosjanka, felczerka Olga, też zapłakała, ale z rozpacz. Płacząc, mówiła szeptem: «Oni was oszukują. Czeka was najgorsze...».

Gdy enkawudzista zajrzał do pokoju lekarskiego, doktor Sadowski przyłożył Oldze na spuchnięte oczy kompresy, aby ten nie domyślił się jej płaczu. Ale i tak Olga «gdzieś zniknęła».

Oficerowie do końca nie wiedzieli, że jadą na śmierć. Taka ewentualność w ogóle nie była brana pod uwagę. To przecież nie mieściło się w głowie! O sadyzmie i perfidii oprawców świadczy fakt, że na drogę dawano oficerom po trzy śledzie bez czegokolwiek do picia. Marzę o doprowadzeniu do beatyfikacji księdza Ziółkowskiego. To był niezwykły, święty człowiek. Ucalały z wigilijnego pogromu duchownych, on jeden na cały obóz pełnił posługę kapłańską. Naturalnie konspiracyjnie, bo modlitwy były zabronione. Był duchowym wsparciem dla wszystkich oficerów. Spowiadał, udzielał sakramentów, błogosławił i odprowadzał ich w ostatnią drogę. Wreszcie i on wyjechał do katyńskiego dołu śmierci. Dawać świadectwo prawdzie. Taki jest mój cel. Nie można zapomnieć o tej strasznej zbrodni. Nie można o nich zapomnieć. Naród musi o Nich pamiętać!”

I misje tę ów niestrudzony kapłan, cudem ucalały oficer, z największą gorliwością wypełnia. Każda wypowiedź księdza to przypomnienie. To reanimowanie Ich pamięci. Żegnałam księdza wzruszona i pokrzepiona na duchu. Mój ojciec ożył. W nim.

*Fragment autoryzowanej rozmowy
drukowanej w czasopiśmie „Inspiracje”
(wyd. Civitas Christiana) w 1996 r.*

Olga Wójcik

Odśtony piękna. O różach, domu i podróżach

(fragment książki, eseju)

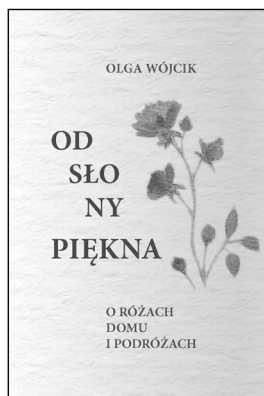
Trudna przyjaźń z różami czyli o patrzeniu malarskim jako wnikaniu w istotę przedmiotu i innych konsekwencjach tego aktu

Im dłużej maluję róże, tym bardziej poznaję ich naturę. Pewnego dnia odkryłam piękno i bogactwo ich łodyg oraz liści. Objawienie nastąpiło za sprawą światła, które z nagłą podświetliło gałązkę róży niejako od tyłu. Wtedy rozbłysły szczegóły urody róży. Ciepłym, miękkim światłem obłaskawione zostały jej kolce, które w szklanym naczyniu pełnym wody roziskrzyły się, pozbywając się kształtów drapieżnych. Józef Czapski pisze o wadze słowa „wizja”. Jest ona pewnym syntetycznym, jedynym widzeniem otaczającego świata. Artysta podkreśla, że chwile takiego widzenia spływają na człowieka nieoczekiwanie, jak łaska.

Oto maleńka gałązka róży okrywowej wstawiona do szklanki z wodą. Stoi na stole na tle okna, skąd pochodzi źródło światła.

Jeśli na świętej górze Tabor, gdzie Chrystus zajaśniał mocą Boga, nastąpiło też przemienienie natury, to gałązka mojej róży wpisywałaby się w tę przemianę. Zieleń jaśniała, pudrowy róż płatków prześwietlony był miodowym światłem, nerwy liści świeciły cytrynową barwą. Róża stała się nieziemską, jakby spadła z niebios jako odbłask widzenia pełnego, jasnego, obiecanego w Biblii.

Olga Wójcik
Odśtony piękna. O różach, domu i podróżach
Oficyna Wydawnicza imienia
Wacława Skwarczyńskiego, Warszawa 2024
Stron 108
ISBN 978-83-958431-1-2



Olga Wójcik

Karnawał współczesny

I

„...Nie można stale napinać łuku, nigdy nie wypuszczając strzały, ani też stale wypuszczać strzał, nigdy nie napinając łuku”

*Konfucjusz*¹.

Aby uświadomić sobie czym jest karnawał współczesny, warto przytoczyć definicje karnawału podane przez badaczy kultury dawnej. Stanowisko badaczy: Bachtina, Caillois, Głowińskiego co do pojęcia karnawału jest jednoznaczne. Przez karnawał rozumieją czas, w którym wszelkie normy, reguły ulegają zawieszeniu. Kultura średniowieczna miała świadomość, że jeśli wszyscy podporządkowaliby się jej regułom, surowym zakazom, doszłoby do wybuchu. Tak więc karnawał był niejako wentylem bezpieczeństwa, obniżał napięcia w społeczeństwie. W czasie karnawału ludzie zapominali o regułach porządku narzuconych przez kościół. Karnawał zawsze wypadał przed postem, czyli przed najbardziej rygorystycznym czasem w roku. W czasie postu ludzie znajdowali się w sytuacji zgoła więziennej. A zatem karnawał w dawnych czasach był częścią ładu świata. M. Głowiński tak pisze na ten temat: „(...) odchylenia od systemu zostały przez ów system zaprojektowane i zinterioryzowane, zostały weń wpisane”, „(...) odejście od normy było przez tę normę przewidziane i sankcjonowane”². Można by powiedzieć, że karnawał gwarantował higieniczny tryb życia ludziom średniowiecza. Karnawał – a więc zabawa, czyli udawanie czy „działanie – przeżywanie na niby” – miał swoje miejsce: „od – do” w roku. Można mówić o początku i końcu karnawału, co czyni np. Bachtin: „Otwiera go zwykły sygnał początku radości i błżeństwa”, „(...) tu tylko daje znak, iż każdy może wygłupiać się, szaleć ile chce (...) dozwolone jest prawie wszystko”³. Gdyby przyjrzeć się współczesnemu karnawałowi przez pryzmat tego, co do tej pory napisałam, można by powiedzieć, że mamy do czynienia ze zmierzchem karnawału, wszak w czasie Nowego Roku

¹ M. Bachtin, *Twórczość Franciszka Rabelais'go a kultura ludowa średniowiecza i renesansu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975, s. 125.

² M. Głowiński, *Mity przebrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990, s. 116, s. 117.

³ M. Bachtin, op. cit., s. 353.

do Środy Popielcowej nie odbywają się maskarady na tak wielką skalę jak w średniowieczu. Paradoksalnie: zmierzch karnawału spowodowany jest przez karnawał permanentny. Pisząc o karnawale, mam na myśli Bachtinowskie „światoodczucie karnawałowe”: zabawę, świat na opak czyli działanie odwrotne niż zwykle „(...) pełne uwolnienie się od powagi życiowej”⁴. W naszej kulturze da się zaobserwować nieustanny karnawał, to znaczy taki, z którego czyni się regułę. Karnawał dziś nie jest już częścią świata tak jak np. w średniowieczu. W dzisiejszych czasach nastąpiła zmiana jego funkcji. Stał się wartością samą w sobie. Człowiek XX wieku żyje w skarnalizowanym świecie lub ociera się o niego. Gdy tylko chce, może codziennie zanurzać się w karnawałowej rzeczywistości. Ma swobodę, nie żyje (tak jak człowiek średniowiecza) w czasie wyznaczonym przez dzwony kościelne. Współczesny człowiek sam decyduje, kiedy będzie się bawił, a kiedy nie. Karnawał współczesny to zabawa, która sama w sobie jest celem życia. Kultura masowa prezentuje karnawał jako naturalny stan świata. Człowiek bawi się i daje się zabawiać.

Oprócz zawieszonych praw, zakazów i ograniczeń utrzymujących porządek zwykłego, pozakarnawałowego świata Bachtin wyróżnia jeszcze trzy kategorie karnawałowe: ekscentryczność, mezalianse karnawałowe, profanacje. Gdy przedmiotów używa się wbrew ich przeznaczeniu, można mówić o karnawałowej kategorii ekscentryczności. Bachtin wspomina o wkładaniu wywróconych na lewą stronę ubrań, używaniu narzędzi kuchennych jako oręża. Jeśli zaś chodzi o mezalianse, to badacz pisze o ambiwalentnej naturze obrazów karnawałowych „Karnawał zbliża, łączy, jednoczy i w weselnym związku kojarzy świętość i świętokradztwo, wzniosłość i pospolitość, wielkość i nicość, mądrość i głupotę itp.”. „Swobodny, familiarny kontakt ogarnia wszystko: wartości, zjawiska, rzeczy”⁵. Góra „spotyka się” z dołem, twarz z zadem, głupota z mądrością, hołd z obelgą, młodość ze starością. Profanacja objawia się w karnawałowych bluźnierstwach i sprośnościach, w systemie odbrązowień i pomniejszeń. Ekscentryczność, mezalianse, profanacja, zawieszenie praw są wyznacznikami i karnawału – karnawału, który „głosi ucieszną względność wszystkiego na świecie”⁶. Sądzę, że zjawiska kultury współczesnej poddają się opisowi w kategoriach zaproponowanych przez Bachtina. Trzeba jednak pamiętać, że w średniowieczu karnawał był wyjątkiem, a teraz stał się regułą.

⁴ Tamże, s. 354.

⁵ Tamże, s. 189.

⁶ Tamże, s. 191.

Chciałabym jeszcze wspomnieć o dwóch kategoriach zabawy zaproponowanych przez Caillois, tj. o mimicy i ilinx. Istotą mimicy jest naśladowanie kogoś lub czegoś, a ilinx – oszołomienie. Caillois pisząc o mimicy, podaje przykłady gry aktorskiej i maskarady, maski. Sądzę, że zaproponowaną przez niego kategorię zabawy można by odnieść też do naszego pojęcia karnawału współczesnego. Mimicy – jak rozumiem – w swej istocie zakłada „nie bycie sobą”, oderwanie się od rzeczywistości, a wyobrażenie sobie innej. Człowiek współczesny może codziennie uczestniczyć w mimicy, chociażby zasiadając przed komputerem lub grając w Role Playing Games (o czym później) – a jeśli tak, to znowu mamy potwierdzenie tezy o permanencji karnawału.

II

„Cały rok odbywają się tu konkursy, festiwale i koncerty. Nie ma pełni sezonu, pełnia jest permanentna i niemal absolutna”⁷

Dziś karnawałem może być wszystko, zabawa trwa bez przerwy. Festiwale, koncerty, dyskoteki organizuje się na przestrzeni całego roku. Urządzenia techniczne wytwarzają obraz i dźwięk, można je włączyć w każdej niemal chwili i się zabawiać. Reklamy telewizyjne, radiowe i uliczne bombardują człowieka kuszącymi propozycjami różnorodnych przyjemności. Karnawał przeżywany co jakiś czas (np. w średniowieczu) nie był narkotykiem, od którego człowiek się uzależniał. Współczesne skarnawalizowane życie działa na ludzi jak narkotyk, a wtedy zabawa przestaje być zabawą, ponieważ trudno się z niej wycofać.

„Karnawału się nie ogląda, a ściślej mówiąc, karnawału się nie odgrywa – karnawał się przeżywa”⁸. Aby człowiek mógł przeżywać karnawał, musi dostarczyć sobie pewnych bodźców. Za chwilę spróbuję przyjrzeć się festiwalowi jako zabawie – uroczystości typu karnawałowego.

Folkfestival Dranouter (Belgia, 2/3/4 VIII 1996), w którym uczestniczyłam, posłuży mi za przykład ilustrujący atmosferę „ucieszonej względności światoodczucia karnawałowego”⁹. Ludzie zorganizowali sobie świąteczny plac. Aby nie było ku temu żadnych wątpliwości, ogrodzili go drucianą siatką. Wraz z przybywaniem uczestników zasięg skarnawalizowanej przestrzeni się powiększał. Hałas wytworzony przez gromady ludzi i muzyka

⁷ Z. Herbert, *Co myśli Pan Cogito o piekle*, z tomu *Pan Cogito*.

⁸ M. Bachtin, *op.cit.*, s. 188.

⁹ Tamże, s. 165.

wydobywająca się z kilku hał na placu rozlewały się daleko poza obręb wyznaczonego terenu. A zatem wioska Dranouter z centralnym miejscem: kościołem została niejako włączona w obręb zabawy. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi chaotycznie przemieszczało się z placu festiwalowego do centrum wioski.

Oczekując kolejnych koncertów, część młodzieży zaanektowała plac przykościelny i mur otaczający kościół. Dało się zauważyć puszkę po coca-coli pozostawione w tych miejscach. Ten obrazek dałby się opisać Bachtińską kategorią mezaliansu karnawałowego, wszak sacrum styka się z profanum. Puszka coca-coli znak współczesnej kultury masowej, odpadki, śmieć – łączy się z przestrzenią świętą i tak tworzy się dwójjedyny (puszka + mury świątyni) obrazek karnawałowy. Żywiolowy festiwalowy karnawał władczo rozchodzi się z jednego punktu, tj. placu na całą wioskę i okolice. Warto w tym momencie wspomnieć o placach – jarmarkach, gdzie toczyło się karnawałowe życie w średniowieczu. W Lyonie cztery razy w roku organizowano jarmark, który trwał piętnaście dni. Jarmark miał miejsce na wyznaczonym placu. Ten świąteczny plac stanowił „szczęśliwy drugi świat, istniejący wewnątrz średniowiecznego świata oficjalnego”¹⁰. Pozwalano sobie tam na kontakty z swobodne, rodzinne, na bezceremonialność, ale owo karnawałowe odczucie świata pod żadnym względem nie mogło wydostać się poza obręb placu wyznaczonego na jarmark. Poza placem panowały już hierarchiczne zasady obcowania, etykiety, normy przyzwoitości, np. w kościołach, pałacach, instytucjach, prywatnych domach. Plac w Draouter to plac o granicach rozszerzonych w nieskończoność, rozpasanie karnawałowe przeniosło się poza obręb wyznaczonego terenu, np. plac przykościelny. Tak więc żywiol karnawałowy może wtargnąć niemal wszędzie i o każdej porze roku. Ruch wywołany przez 60 tysięcy ludzi, trochę bezsensowny (wiem, bo uczestniczyłam w nim) omamiał ludzi. Ludzie przecinali festiwalowy plac w różnych kierunkach (ferment karnawałowy – „(...) roi się pstrokate mrowie, roi się wśród zgiełku”¹¹) lub zatrzymywali się, a wtedy ich ciała spletały się (karnawałowe rozpasanie ciała) czy układały się w różnych konfiguracjach. Ciała wyglądały jak strzępy czegoś porozrzucane byle gdzie. Głowa koło zgniecionego plastikowego kubka i nie dokończonych frytek z majonezem. A zatem widzimy świat przewrócony do góry nogami, pełny szaleństwa, gdzie trudno odróżnić rzeczy i ludzi od siebie.

¹⁰ Tamże, s. 165.

¹¹ J. Kaczmarek, *Wojna postu z karnawałem*, cyt. za: Jacek Kaczmarek, *Wojna postu z karnawałem*, Wydawnictwo S.R., Warszawa 1997, s. 14.

O pierwszej w nocy rozpoczął się w wielkiej hali oczekiwany przez rozentuzjasmowany tłum koncert zespołu The Wiskey Priests. Gdy zaczęli grać (?) rznąć, bębnić, siekać, można było stwierdzić, że traci się tożsamość. Kim się jest? Skąd? Dokąd? Imię? Brak odpowiedzi. Chodziło im o to, aby ludzie znaleźli się w takim stanie. Następnym krokiem „artystów” miało być uwolnienie publiczności od krępujących zasad i konwenansów (tak jak podczas karnawału). Jeden z nich beknął sobie do mikrofonu. Drugi skomentował, że to po belgijskim piwie. Zrobiło się swojsko, odważniejsi śmiertelnicy zaczęli wspinać się po metalowych rusztowaniach hal, aby dorównać swoim bogom – piosenkarzom. „Bóg” zaś (jeden z członków zespołu The Wiskey Priests) stoczył się po podniesionych rękach widzów i ponownie powrócił na Olimp. Wspinanie się „niższego rangą” a staczanie się „wyższego rangą” nasuwa myśl o karnawałowym zniesieniu wszelkich rang i pozycji. Obserwujemy całkowitą familiarność karnawałowej radości, zniesienie różnic między stojącymi wyżej i niżej. Każdy lekko traktuje to, co go dotyczy. Można mówić o wzajemnej bezceremonialności (bekanie do mikrofonu), swobodzie i „dobrym humorze”.

Formy przebierania miary należą do istoty karnawału. W hali koncertowej muzyka grała tak głośno, że nie słyszało się własnego szeptu. Zrobiło się gorąco i rozgorzał wielki hałas; pod nogami rozlane piwo, wokół mnóstwo rozkołysanych ciał. Z naprężonych mięśni przebijała wielka tęsknota za ekstazą, potrzeba wyładowania (Bachtin pisze o tej potrzebie w rozważaniach o karnawale). Atmosferę koncertu bardzo dobrze oddają słowa jednego z wokalistów rockowych: „(...) muzyka oczyszcza. Atmosfera gęstnieje. Tłum generuje wielką energię. Zapach ciał, ich bliskość, kołysanie wyzwala coś jakby... – skumulowane zmysły”¹². A jednak uczestnicy festiwalu szukają szczęścia. Czegoś trwałego w przerażająco nietrwałej rzeczywistości. Jutro rozmontują teren. Będzie cisza i pustka. Z pewnością gdzie indziej organizuje się kolejny festiwal. Można będzie od nowa przeżyć to samo, znowu znaleźć się w skarnawalizowanym świecie. Tak, w Dranouter było głośno (jak w piekle, o którym rozmyśla Pan Cogito), co jakiś czas rozlegał się dramatyczny głos piosenkarza *I'm dead*. Inny zaś pytał, czy jest ktoś, kto nie chciałby żyć po śmierci. Nie ma takiego – publiczność dała do zrozumienia. Muzyk zaczął śpiewać balladę o życiu po życiu. A w niedzielę opustoszały gotycki kościółek (z porzuconymi przed nim puszkami coca-coli) stał sobie na wzgórzu. A na dole u podnóża pagórka w miejscu ogrodzonym siatką byliśmy my. Nuciliśmy za muzykiem *We're dead*. A zatem

¹² Rzeczpospolita (Plus minus) nr 15 (4572) 18-19 stycznia 1997, s. 18.

mamy do czynienia ze zmianą funkcji karnawału w dzisiejszych czasach. Karnawał kusi człowieka, a ten może mu ulec lub nie. Może podjąć wysiłek rozumienia otaczającego go świata, próbować odpowiedzieć na pytania, „jakie każdemu z nas zadaje realna rzeczywistość”¹³ lub szukać innego świata, innej rzeczywistości w permanentnej zabawie.

Z przeprowadzonej powyższej analizy festiwalu wynika, że Bachtinowskie kategorie opisu karnawału pasują do opisu karnawału współczesnego. Puskę postawioną przed drzwiami kościoła można opisać przez kategorię mezaliansu, profanacji. Organizowanie takich festiwali świadczy o zawieszaniu norm i reguł. Postawmy jeszcze pytanie: czy żyjąc w kulturze fajerwerku respektujemy jakiś inny czas poza czasem karnawału? Samo postawienie pytania jest tu istotne.

III

„Ale mnie jest źle! Zabawa musi być!”¹⁴

Można by powiedzieć, że ten kto permanentnie uczestniczy w zabawie (bardzo szeroko rozumianej) i nie respektuje innego czasu poza karnawałowym, ma coś w sobie z postaci z obrazów Ensora. Przede wszystkim budzi wrażenie jakiegoś nieokreślonego niesmaku. Postawa zabawowa, którą reprezentuje, z jednej strony jest tęsknotą za stanem idealnym – permanentną przyjemnością, z drugiej czymś w rodzaju demonicznej namiętności. „(...) bizarren Formen, Ieeren Gebarden, schleichendem Unbehagen- ein unwirklick Drama, das ungreifbare Leidenschaften birg und nicht anderes als ein Vorwand fur die Lust am Malen sein will”¹⁵. Tak, te słowa dotyczące *Intrygi* Ensora równie dobrze mogłyby posłużyć do opisu zachowania ludzi podczas koncertu. Nie trzeba jednak chodzić na koncerty, aby odczuć niesmak obserwując niektóre zabawy ludzi; włączmy radio RMF FM:

„– To może...

– To może?

– Trzy w prawo.

– Trzy w prawo. Raz, dwa, trzy. Trzy w prawo.

– Jeden w lewo [tryk]

– Posłuchajmy, co tym razem będzie. Jest!

– Hurra!

¹³ Ks. Jan Sochoń, *Słownik pojęć zmistyfikowanych*, Wydawnictwo ŁUK, Białystok 1996.

¹⁴ S. Mrożek, *Utwory sceniczne*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1963, s. 185.

¹⁵ P. Haesaerts, *James Ensor*, Stuttgart 1957, s. 84.

- Ty to masz szczęście, kobieto!
- Hurra, hurra, super!
- Mama wygrała (...)¹⁶

Jest to spisany przeze mnie przebieg jednego z konkursów stacji RMF FM. Przypomnijmy teraz słowa Pana Cogito o piekle: „Cały rok odbywają się tu konkursy (...)”, „a najbardziej komfortowy oddział infernalny”¹⁷. Tak, w radiu RMF konkursy odbywają się codziennie, posłuchajmy reklamy tegoż konkursu: „Va banque czyli złoto dla zuchwałych. Wielki konkurs RMF FM. Każdego dnia między 15.00 a 19.00 łamiemy szyfr do sejfów w szwajcarskim banku”¹⁸. Na antenie radia RMF podczas konkursów (i nie tylko) chodzi o to, aby stworzyć swobodny i familiarny kontakt pomiędzy grającym a disc jockeyem – zauważmy – tak jak podczas karnawału. Słowa, które padają podczas konkursu, zlewają się w jeden wielki bełkot. To karnawałowy ferment w obrębie słów. Sądzę, że ten konkursik radia RMF jest jedną z przynęt, które świat nam podsuwa, aby odwrócić naszą uwagę od spraw naprawdę istotnych, głębszych w naszym życiu. Człowiek współczesny dając się zabawiać i bawiąc się, poddaje się jednocześnie różnym formom manipulacji. Uczestnictwo w tego rodzaju zabawach stępia myślenie i prowadzi do błęgiego samozadowolenia (hurra!). Według statystyk przeciętny Polak ogląda pięć godzin telewizji dziennie, gracze Role Playing Games skupiają się w specjalnych klubach na sesje nawet trzy razy w tygodniu. Czas trwania sesji waha się od 4 do 12 godzin. A zatem człowiek ucieka od realnej rzeczywistości. Kultura masowa jest często kulturą ucieczki, odrywania od rzeczywistości. Tworzy iluzję, choć nie zawsze buduje baśniową wersję świata. Człowiek wpisany w tę kulturę często nie bierze swojego życia na serio i jego życie ulega skarnawalizowaniu, a on sam może nawet nie zdawać sobie z tego sprawy.

Role Playing Games to gry polegające na odgrywaniu postaci, a co za tym idzie, możemy odnaleźć mimicry. Ideą gry fabularnej jest umiejętność wczucia się w rolę, utożsamienia się z bohaterem. „Wszyscy znajdują w grach fabularnych to, czego brakuje w codziennej rzeczywistości – przygodę, dreszcz emocji, odmianę”¹⁹. A jest to odmiana rzeczywistości głęboka, gdyż gracze stają się kimś diametralnie odmiennym – bohaterami stworzonymi na miarę własnych marzeń, żyjącymi w światach, gdzie wszystko jest możliwe. Uczestnicy wyobrażają sobie, że walczą z potworami, szukają

¹⁶ Nagranie własne z radia RMF FM.

¹⁷ Z. Herbert, op. cit.

¹⁸ Nagranie własne z radia RMF FM.

¹⁹ Skarżyńska-Szczepaniak, maszynopis.

skarbów, zadają rany, mordują, palą, gwałcą, kradną. Instrukcje do tego typu gier mówią, że im lepiej gracz czuje się w rolę, tym bardziej realne będą dla niego przygody i większa przyjemność czerpana z gry. Właściwie należy „zapomnieć” o zasadach gry, o kostkach stożkowatych z numerkami; mistrz ceremonii niemalże ma stać się tylko dodatkiem do zabawy w tym prawdziwym świecie wyobraźni.

Sądzę, że można mówić o pewnego rodzaju paradoksie związanym z RPG. Z jednej strony RPG to gra, zabawa, udawanie (tak jak karnawał), z drugiej zaś w RPG nie mamy do czynienia z zawieszeniem rzeczywistości, to bunt w imię buntu, łamanie norm, bo te istnieją. Trzeba zabijać, gwałcić i kraść, bo istnieją prawa zakazujące tego rodzaju czynności. Tak więc w skarnawalizowanej współczesnej rzeczywistości mamy gry, zabawy, które są psychologicznymi pułapkami. Grając w nie, można doznać uszczerbku na własnej osobowości, wszak gracz przyjmuje osobność, która często różni się od jego własnej. Uczy zabijać, gwałcić, torturować. Zauważmy, że w czasie karnawału (pisze o tym Bachtin) dozwolone jest prawie wszystko „za wyjątkiem bójek i nożownictwa”²⁰.

Pisałam o konkursach, telewizji, RPG, które tworzą skarnawalizowany obraz świata. Chciałabym jeszcze dodać, że karnawał wkrada się nawet w obręb pracy wykonywanej przez człowieka. Powtórzmy za Kaczmarskim: „(...) praca stała się zabawą” i „oszalało miasto całe, nie wie starzec ni wyrostek, czy to post jest karnawalem, czy karnawał postem”²¹. Myślę, że rozumienie pojęcia pracy uległo skarnawalizowaniu, np. w firmie Amway. Pojęcia związane z pracą takie jak: wysiłek, poświęcenie zostają zawieszane przez prezenterów Amwaya. „W Amwayu nie mówi się o pracy. Mówi się o biznesie. Pracą, drodzy państwo, jest to, co robiliście do tej pory. Ale w życiu nie o to chodzi. Można łatwiej i przyjemniej. Można robić biznes”²². Pojęcie pracy kreowane przez tę firmę zostaje jakby zastąpione pojęciami zabawy – wszak bawiąc się też człowiek jest zajęty. Wspomnijmy jeszcze o tzw. Seminariach dla dystrybutorów Amwaya. „Nawiedzony przywódca, wprowadzający wykrzykiwaniem sloganowych haseł kilkusetosobowy tłum w stan ekstazy, jakieś zupełne oderwanie od rzeczywistości. (...) chodzi o sprzedaż artykułów chemii gospodarczej”²³. Znowu mamy szaleństwo, przeżycie, uwolnienie się od powagi życiowej, tak jak na koncertach. A zatem współczesny permanentny karnawał da się niemal odnaleźć we

²⁰ Bachtin, *Twórczość Franciszka Rabelais’go...*, op. cit., s. 353

²¹ J. Kaczmarski, *Wojna...*, op. cit., s. 14.

²² Tygodnik Powszechny, 15 stycznia 1997, s. 6.

²³ Tamże, s. 6.

wszystkich dziedzinach życia ludzkiego. Karnawałem może być wszystko. Dlaczego adresat tego rodzaju pokus im ulega? Jest mu źle? Pustka? „Coś być musi”²⁴. Zakończony cytatem: „Po granii nie ma co ze sobą zrobić – tłumaczy Michał Urbaniak, muzyk. – Musisz spuścić powietrze. No to albo walium, albo seks, albo alkohol – coś musi być”²⁵.

IV

„...Z niewielkim dodatkiem duszy”²⁶ – istoty cielesne

„(...) Wiek, w którym żyjemy, jest zaborczy i liberalny. Chce nasycić się cielesnością, która bywa (jakże często) nadużywana. Stała się nawet towarem reklamowym. Spójrzmy na dzieła sztuki filmowej. Zasadniczo traktuje się w nich nagość jako element gry, zabawy mającej na celu samozadowolenie „samospokojenie, moment przewagi, siły. Nie ma żadnych ograniczających form. Wszystko, co zwiększa atrakcyjność doznań, wzmacnia przyjemność, jest dozwolone, a nawet konieczne”²⁷.

Można by znaleźć mnóstwo przykładów ilustrujących sens powyższej wypowiedzi. Weźmy tekst piosenki zespołu „Big Cyc”:

„Padła idea;; nakręcmy pornola

Pornola, kręcmy pornola (...)

Oto pierwsza nasza scena

Szwagier Zenka się rozbiera

Dziadek wchodzi do chałupy

Kaśka szybko ściąga buty

Babcia w kuchni lata nago

Józek goni ją z szufladą

(...)

Gośka się w łazience modli

(...)

Towarzystwo już rozgrzane”²⁸

Wszystko jedno czy tekst piosenki jest głęboko ironiczny, czy nie. Ważny jest sam fakt kulturowy: oto piosenkę tę można usłyszeć w bardzo popularnych młodzieżowych rozgłośniach radiowych, emitowana jest też wraz z teledyskiem w telewizji. Wynika z tego wniosek, że z jednej strony

²⁴ Mrozek, *Utwory...*, op. cit., s. 178.

²⁵ Rzeczpospolita, op. cit., s. 18.

²⁶ Bachtin, *Twór Słownik...czość...*, op. cit., s. 162.

²⁷ J. Sochoń, op. cit., s. 57, 58.

²⁸ Nagranie własne z Radia Wawa.

mamy duże zapotrzebowanie odbiorców na tego rodzaju teksty, z drugiej – środki masowego przekazu przyczyniają się do propagowania karnawałowego światoodczucia. Nagość to tylko element gry i zabawy, wartości (tu: modlitwa) zostają zawieszane, sparodiowane. Propagowanie postawy zabawowej, hedonistycznej przez media i prasę ma wielką siłę oddziaływania. Opinie skarnawalizowanych gwiazd, modelek, sławnych i tych zwykłych ludzi „są czytane, zapamiętywane, a może nawet bezwiednie powielane”²⁹. Oto kilka cytatów z prasy: sławny postmodernistyczny reżyser – Greenway mówi: „mocno wierzę w zasadę przyjemności i jej skuteczność”³⁰. Czytelniczka magazynu Elle: „traktowałam Elle jako przyjemny koniec nużącego dnia, relaks, zabawę”³¹. Modelka: „Ciągle mnie fascynuje obserwowanie, jak moja twarz zmienia się pod dotknięciem zaczarowanych pędzli mistrzów makijażu”³².

Jeśli mamy mówić o ciele, wspomnijmy jeszcze o operacjach plastycznych. Te operacje da się opisać kategorią mezaliansu karnawałowego, w którym młodość łączy się ze starością. Czytamy: „Aktorzy nagle odkryli, że mają zmarszczki, worki pod oczami (...)”. „Wszystko jest możliwe”³³ – pisze autorka artykułu w Elle (zgadza się, podczas karnawału niemal wszystko jest możliwe). Dalej autorka dodaje: „sześćdziesięcioletnia Sophia Loren wygląda dziś najwyżej na 35 lat. (...) nigdy nie była tak piękna. Nawet gdy miała 35 lat”³⁴. Przez kategorię ekscentryczności opiszmy wizerunek modelek prezentowany na łamach czasopism dla pań. Czerwone, pomarańczowe włosy – czyli kurioza karnawałowe są często prezentowane w tych magazynach. A teraz przytoczmy fragment listu nadesłanego do Elle: „Mieszkam w małej wiosce (...). Oglądam zdjęcia, stosuje się do porad”³⁵. A zatem zabawa – bo nią właśnie jest czytanie Elle (to słowa jednej z czytelniczek) – przestaje być zabawą, a staje się życiem, permanencją. Czasopisma te uznają tylko czas karnawału. W numerze z marca (ludzie epok dawnych przeżywali wtedy post) każda strona jest bardziej kolorowa od poprzedniej, pisze się tylko o kolorowych włosach, operacjach plastycznych, świecidełkach, ozdóbkach.

* * *

²⁹ Rzeczpospolita..., op. itc., s. 18.

³⁰ Tamże.

³¹ Elle, marzec 1996, s. 9.

³² Tamże.

³³ Tamże.

³⁴ Tamże.

³⁵ Tamże.

Pisząc o różnych aspektach współczesnej kultury, takimi jak festiwale, koncerty, telewizja, radio, gry, biznes, praca, próbowałam zilustrować tezę o permanencji współczesnego karnawału. Dowodziłam, że karnawał epok dawnych był częścią ładu świata, a teraz stał się istotą świata, czyli dokonała się zmiana funkcji karnawału. Środki masowego przekazu prezentują karnawał jako naturalny stan świata, a co za tym idzie, człowiek XX i XXI wieku często nie wie, w jakiej żyje rzeczywistości. Być może mamy do czynienia ze zjawiskiem, w którym ludzie tracą świadomość tego, kim są i do czego są powołani. Karnawalizacja to ważny fakt antropologiczny w dużej mierze wpływający na świadomość ludzi.

Na zakończenie chciałabym wspomnieć jeszcze raz o Ensorze. Malarz żyjący na początku XX wieku jakby przepowiedział „karnawał współczesny”, malując liczne obrazy o tematyce maskaradowej. Gdy przyjrzymy się uważnie twarzom postaci z obrazu „Intryga”, stwierdzimy, że nie noszą one masek (choć tak właśnie jest pierwsze wrażenie), ale ich twarze to maski. Ten obraz i obraz kultury współczesnej są do siebie podobne, ponieważ oba wskazują na nieprzerwalność, permanencję karnawału. Karnawałowa maska (pod tym pojęciem rozumiem te aspekty kultury, o których pisałam wyżej) może „przyłgnąć” do twarzy człowieka i stać się nim samym. Tak więc maska zastępująca ludzką twarz jest zjawiskiem świadczącym o degradacji człowieka.

Olga Wójcik

Janusz Andrzejczak

V, jak...

Przez szkło patrzę
w okna zimne oczy

Tak bym wyszedł
tak bym szedł
przez lasy, przez pola
doliny, rzeki
aż do gór smoczyc

A smoki?
by się do mnie łąsiły
i bym przy nich odpoczywał
i zbierał siły

Więszym niż zawsze
naprzeciw horyzontu
ku anielskim góróm
bym stanął
może anieli by wyfrunęły
ze wszystkich kątów
o V rano

Skąd się bierze księżyc

A księżyc
skąd się bierze księżyc
no skąd

Bierze się sponad
drzew i wieżyc

Każdy jeden płatek śniegu
jest Wszechświatem

Lepi chłopiec
ze wszechświatów kulkę
i rzuca nią w gwiazdy

W tym czasie dziewczynka
w mgłę się zaplątała
w srebrnych niciach cała
omotana runem
pozwijała tę mgłę
w Lunę

Gdy umrę

Gdy umrę
pochowajcie mnie
po różnych kątach

Może ktoś kiedyś
będzie kąty sprzątał
przecierał odkurzał

Rozsypie się w pył
zasuszona róża
powypadają z zielnika
podróżne zioła
aż cała podłoga
w upadłych aniołach

Na paczce listów
rozplącze się kokardka

Spośród stu
jedna wypadnie
ode mnie
pożółkła pusta
kartka

Janusz Andrzejczak

Maja [Maya] Baczyńska

Inne dezyderaty

dedykowane Kazimierzowi Dąbrowskiemu

My, którzy nie mamy domów,
ani nic, co można by wymienić
na coś równie prostego i bliskiego
jak kwiat drzewu, miękki kwiat czereśni;
którzy żyjemy pozornie bez korzeni,
choć co dzień mówimy do zmarłych,
którzy współczujemy bardziej niż można,
choć mówią nam, żeśmy naiwni, głupi,
którzy znamy smak gorzkiej czekolady
i mimo to wręczamy ją dzieciom bez końca,
którzy chodzimy po betonowych pustkowiach
i niemal zawsze odnajdujemy dzikość wnętrza,
choć też zawsze w zewnętrznych neonach,
którym wmawia się, że są podlegli i poddani,
„spsiali”, mimo wilczej dumy, buntu, zaradności,
że idealni, aczkolwiek niechciani, nieproszeni
i niewysłuchani; tacy pomieszani, niepotrzebni
inaczej niż w stroju uszytym na miarę:
za jedno potknięcie żółty czy niebieski papier,
a przecież to właśnie my, tacy bezdomni,
pozbawieni wszystkich i wszystkiego
przynajmniej na co dzień, bo od święta
i na odpustach przecież tłumy... to my właśnie
patrzymy w Wasze serca-nibyserca,
stajemy się nimi, płaczemy wraz z nimi,
unosimy je ku słońcu jak najlżejsze pióra,
my, co śmiemy każdą iskrą:
nienormalnie wyrażać gniew i radość,
nienormalnie kochać i oddawać się,
nienormalnie płynąć ulicami, placami,
(rynsztokiem też) i w bezkres pola użyźniać,

(uświęcać, zmieniać)...
nie prosić o resztę za okruszek chleba,
wpatrywać w żurawie rozlane niebem,
my, tacy piekielnie nienormalny, bo nienormalnie wrażliwi...
ci od pieśni, ci od wierszy
i od wycierania gęb starszym plemiennym,
przebaczyć nam wszystko, czego dać nie możecie,
odejdźcie daleko i nie proście o to, co i tak dostaniecie.

Offline

powiedz mi
czy mam mówić zawsze szeptem
czy nawet ten szept będzie zbyt donośny
i zrani cię istnieniem
powiedz mi
ile jeszcze warstw mam zrzucić
by mój piasek pod stopami cię nie uwierał
by uświęcić cię i spokornieć
w imię współlistnienia

Social media

a gdybyśmy tak spalili za sobą mosty
zbudowali tylko jeden a może milion nowych
uznali, że ksiądz, mistrz zen, terapeuta, rodzic, były szef
i absolutnie wszyscy mają rację
(i znaleźli sposób na towarzyską integrację)
i gdybyśmy tak wzięli naraz wszystkie tabletki świata
i przeprosili za wszystkie kiepskie piosenki
i wszystkie prawie dobre wiersze
i gdybyśmy jeszcze przez wiele tysięcy zmieniali awatara
ukończyli miliardy kursów, szkoleń, studiów podyplomowych
zadali nieokreśloną liczbę pytań i nieokreśloną liczbę razy
na nie nie odpowiedzieli

odpuścili absolutnie wszystko, co tylko nie jest
codzienną przemianą materii
i szczęśliwi przeglądali się w szybie, strojąc głupie miny
i gdybyśmy tak śpiewali sobie, że życie jest piękne
a eutanazji dokonuje się dla innych i tylko na krótko
a w każdym razie w bardzo określonym świecie

Forum dyskusyjne

Nikt i nikogo i nie brak odwagi
i tylko nie chciej już słuchać, jak jeszcze
można naprawić świat spinaczem

Ojciec Google

Póki istnieją na świecie frytki z serem,
nic nie może być naprawdę groźne.
Co najwyżej tłuste i toksyczne.
A więc prawie ludzkie, prawie swojskie.

Streaming

Zastanów się po co, jak, a może
dlaczego
– pępowina jest długa i płacze się
między nogami stąd do wieczności,
gdy przetniesz, kasujesz wizję
jakieś siebie;
ekran potem cały drży
jak VHS po ulubionym filmie,
przewijasz więc do początku
i znów znasz na pamięć
każdą kolejną kwestię,
cała nadzieja w tym, że
obudzisz się i wprowadzą

na rynek DVD z menu
Twoich marzeń
a może nawet całodobowy
streaming

Stand by

pożegnasz wielu mistrzów
i zostanie ci tylko jeden:
Twój kapelusz
– zdjąć czy włożyć

Maja [Maya] Baczyńska

Jerzy Binkowski

Mój proton

*Grzegorzowi Sobolewskiemu –
miłośnikowi fizyki i poezji*

Moja ty elementarna cząstko
której niby nie widać i niby nie słyszać
a przecież czytałem miliony razy
więc miliony razy widziałem

to słowo

i brzmiało mi w uszach
a więc tryliony razy słyszałem
anielską muzykę tego słowa
moja elementarna cząstko

miłości

protonie mój i pratonie
kocham cię miłości moja
jądro atomowe mego życia
w galaktyce drogi mlecznej

w czasie i poza czasem
miłość jest albo jej nie ma
na parterze na piątym piętrze
i trzydziestym piątym
jest podobna i niepodobna
i czy można zmierzyć moc tej

miłości

nie ma narzędzi i nie ma miary
miłości Stwórcy i stworzenia

jest oczywiście że JEST
a przecież jakby jej nie było

bo jest inna w Kongo i Maroko
w Harbinie i całych Chinach
inna wielkopolanom i kaszubom
i można NIC rozumieć

moja nieoznaczoności
mój poetycki protonie
mój sensie ukryty
nadziejo

trwaj

Jerzy Binkowski

Ryszard Czesłochowski

Zgliszcza

Samotność

Nagle zostałem bez ojczyzny
 mam ją tylko w sobie
 Życie wśród tego narodu stało się udręką
 Obcy wśród rodaków wyrzucony poza granicę niczym dwulatek
siryjski
 W push-back'u ja jestem z Polskiej tolerancji i dobra
 Norwida Tuwima Baczyńskiego Miłosza Tokarczuk Grechuty
Niemena Demarczyk
 w obcym kraju czuje się niczym
 Moi przyjaciele umarli
 Został ostatni adresat Bóg
 Do niego zadzwonię żeby mnie stąd zabrał

Czesłochowski

Zrobiłeś tyle dobra co zła podobnie jak każdy
 Bilans trudno ocenić
 Nie zawsze chciałeś żyć
 Pierwsze myślenie o śmierci miałeś w wieku piętnastu lat
 Z depresjami zmagaleś się pół wieku
 Niczym zabytek kruszałeś
 Innym razem twardniałeś
 Bo po śmierci nie wiadomo co z tobą
 Ciąg dalszy nastąpi lub nie
 Dlatego zostałeś kamieniem

Goście z tego świata

Piękne łabędzie płynące po jeziorze
Czy podziwiają przyrodę
Skupione na jedzeniu zielska
Głupie pytanie
Ciągle jesteś dzieckiem zdziwionym tym światem
I tak zostaniesz

Pasażerowie wieczności

Jesteśmy pasażerami samolotu którego kapitan dawno wyskoczył
Jesteśmy pasażerami którego załoga odpłynęła szalupami do brzegu
Jestem kierowcą autokaru który ledwo widzi i co chwila zasypia
Za kierownicą bo znużyło go życie
Ale ma nadzieję że dojedzie do dobrego motelu i po prysznicu
Stanie na nogach

Matnia

Świat jest hospicjum
Żal mi tej naszej ludzkości głupiej
Bo sam jestem głupcem
Boli mnie wasze cierpienie i umieranie
Współczuję nawet mordercom
Roztrzaskującym niemowlęta o mur
Zabijanie innych pozwala im przeżyć
A każdy chce żyć
Dlatego zabija innych żyjących
Jesteśmy potworami
Nie ma w nas litości
Stworzono nas okłamując od dziecka

Obrzydliwe słowo

Na początku było słowo zło
Bierze się z gadania
Trzeba się oszukiwać żeby było przyjemnie
I pięknie żyjąc w piekle

Szczęśliwy człowiek

Sensu życia szukacie
A sensem życia jest cierpienie
Macie go pod dostatkiem
Marnując czas na szukanie szczęścia
Ile dni miałeś szczęśliwych a ile cierpiałeś
Skupcie się na przeżywaniu cierpienia
A będziecie szczęśliwi

Melancholia i pożądanie

Zaczynacie poznawać świat
Masturbacjami
Kończycie też masturbacjami
Między id a super ego rozgrywa się wszystko czym zostajesz
obdarowany i to w zasadzie cała głębia
Rozczarowanie jest pięknie diabelnie smutne
Brzydota wiadomo przypadkiem się zdarza

Eschatologia zapisana na tatuażu

Kolega z młodości zacytował mój wers
Piję tylko w knajpach z których widać kościoły
W zasadzie ukradł nie podał że to moje
Miałem rację
Życie to strata czasu

Teraz wiem nic nie było do zrobienia
Oprócz zarobienia na jedzenie i dach nad głową
Dla rodziny nawet dwa dachy
Siedzę w luksusowej restauracji z widokiem na rzekę Brdę
Patrzę sobie na czas
Jedząc najdroższe danie z menu
Tak zostaną aż kelnerka z napisem eschatologia na czole
Poda rachunek za głód wieczności

Lato '64

Jedziemy do chmielnik z mamą i bratem
Mam lat siedem
Ojciec odsypia nockę po dancingu
W zodiaku gdzie do rana grał w karty
Na plaży oranżada pomidory jajka na twardo
Lody truskawkowe
Cały dzień pływam w jeziorze jezuickim
Jestem najszcześniejszym dzieckiem
Na kuli ziemskiej
Lato dwa tysiące dwadzieścia cztery
Ledwo widzę i chodzę
Umrę dzieckiem

Lindos

Patrząc w zatoce na akropol w pierwszej stolicy Rodos
Dowiedziałem się od pilotki że rzeźba ich tyrana
W Grecji nie ma znaczenia pejoratywnego
Lecz świadczące dobrze o gospodarzu
A moja żona wyzwała mnie wiele razy
Od tyranów
Mam teraz alibi dla wszczynania głupich awantur
O kosmetyki na stoliku przed telewizorem
One burzyły moje pragnienie harmonii

Pefkos

Na plażowym leżaku w pefkos zostawiłem
pod parasolem
ręcznik z napisem *Bałtyk*
pewnie sprzątacze wrzuci go
do hotelowej pralni i jakiś Grek
pomyśli o łysem morzu bez gór
kamieni i palm
po wejściu do którego
człowiek dostaje dreszczy
i krzyczy o matko
może nawet poleci
to dziwactwo zobaczyć
będzie w szoku
zrozumie chłodne polskie serca

Lardos

W Lardos stało się ze mną to co z
Henry Millerem w jego
Ostatniej powieści
Utrata nadziei
Na wieczność i
Pogodzenie z losem liścia
Biologia jest poza dobrem i złem
Bogiem prawdziwym
A nie zmyślonym
Przez ułomnych ludzi
Dla jałmużny

Nie wiemy nic

Żyłem jak głupia ćma
setki podróży i hoteli

żadnego zakorzenia
dwanaście domów
szukanie trwałego
szczęścia
a jego nie ma
czy na końcu
wszyscy będziemy
płakać
czy jednak nadal
jak kamienie
rzucone do nieba
mamy dzieci
a żadni z nas ojcowie
zawodzą
ludzie nic nie wiedzą

Ryszard Czesztochowski

Cezary Maciej Dąbrowski

Mity *

Karolowi Szymanowskiemu

Czymże jest głos, którego nie nazwało słowo...
 A czym jest łaza niepokonana pieśnią
 Bliżej do gwiazd z mokrą od potu głową
 Bliższy jest piach on jest prawdziwym siewcą

Struna jak dreszcz a skrzypce jakieś dziwne
 Mówią co jest jak rzecz stopiona w chwilę
 Zaklinacz słów rzecznik metamorfozy
 Tym bywał wiersz a echo jeszcze tworzy

Snuje się wiatr po pustych drogach dziejów
 Mit ciągle śni czarnosrebrnemu niebu
 Na gronach słów słońce dopała złości
 Jesteś tu znów a smutek stał się wzniosły

Zaplótl się deszcz w zieloną serpentynę
 Tłucze się człek w bezkresnoznójnej niwie
 Zamroził strach przegonił ludzką wrzawą
 Utopił krew wraz z każdą lepszą sprawą

Gdzie ostał Mit – z nieszczęścia śpiewa dusza
 Jak to jest z nim – opowie ci muzyka
 A gdzież to jest – a nie wiesz? W grobie leży...
 A skąd ten wiersz? – z nadziei i pacierzy.

Czymże jest głos, którego nie nazwało słowo...
 A czym jest łaza nie pokonana pieśnią
 Bliżej do gwiazd z mokrą od potu głową
 Bliższy jest piach on jest prawdziwym siewcą

17 lipca 2023 r.

**Mity. Trzy poematy na skrzypce i fortepian* op. 30 – kompozycja Karola Szymanowskiego, powstała wiosną 1915 roku, dedykowana Zofii Kochańskiej, żonie wirtuoza skrzypiec Pawła Kochańskiego. Tytuły części: *Źródło Aretuzy, Narcyz, Driady i Pan*.

Baczyńskiemu Kresów *

Rozszarpali cię poeto niczym sfora psów
 Nie zważali na Twój geniusz dając upust złu
 Porosiła się czerwienią ziemia Twoich snów
 Tam gdzie kłosa się rumienią a wiatr tuli kurz

Nie ujęły się za tobą przebite na pół
 Dwie jak serca bliskie mowy
 Gdzie wróg i gdzie swój
 Nie pozdrowi cię pokoleń zaczytanych głos
 Tam gdzie Rosa spadła kroplą wyrósł krwawy wrzós

Patrzysz dziecię tej-krainy oczętami bżów
 Na te pola na równiny gdzie chadzał i Bóg
 I spoglądał na swe dzieło roniąc rzeki łez
 Gdzieś jest wieszczu Ukrainy
 A głos poniósł step

18 lipca 2023 r.

* Zygmunt Jan Rumel (1915–1943) – nazywany „Baczyńskim Kresów”, polski poeta (porucznik Wojska Polskiego), absolwent słynnego Liceum Krzemienieckiego (polonistykę studiował w Warszawie). W wierszu zatytułowanym *Dwie Matki* wyznawał: „Dwie mi Matki-Ojczyzny hołubiły głowę...”. Został bestialsko zamordowany przez ukraińskich nacjonalistów (UPA) na Wołyniu.

Dumka

A jakby a jakby nic się nie zdarzyło
 A jakby a jakby triumfowała miłość
 To też byś poeto swoje wyczarował
 Łęki pośród zwykłych losu zawirowań

Dojrzałbyś zawczasu to co przyjdzie potem
 Jakimś to przecuciem jakimś to łoskotem
 A to by ci żarna powiedziały nie kładź

A to by ci kosa oznajmiła przebacz
 A to by ci gwiazdy czerwienią spływały
 Jakimś mrozem słońce biłoby na ściany

Chałupa by strzygą jawiła po nocy
 Że tam jest upiornie że tam leżą zwłoki

Poeto ruczaju poeto pamięci
 Co w tobie się budzi co się w tobie wierci

Nie umiesz ty pisać o miłości rzewnej
 Wymyślać romansów śpiewać o królownie
 Poeto Kresowy śniesz potęgę miecza
 Kiedyś cię historia tym mieczem usieczce

A kiedy a kiedy klekoczą bociany
 A wtedy a wtedy krew chluśnie na łany

Poeto tęsknoty i poeto strachu
 Poeto szarości poeto rozmachu
 Poeto cierpienia na słowiańską nutę
 Po co ci ta dumka przecież pachnie trupem

A jakby a jakby nic się nie zdarzyło
 Tak jakby a jakby triumfowała miłość
 To też byś poeto swoje wyczarował
 Lęki pośród zwykłych losów zawirowań

23 lipca 2023 r.

Post mortem – tren

Skamieniała Niobe* grobów nie odwiedza
 powstał Nowy człowiek – jego nowa wiedza

Skamieniałej Niobe łzy nie ciekną z oczu
 wyprawili pogrzeb – w rowie na poboczu
 Skamieniała Niobe nie rwie włosów z głowy

gdzie stała wieś cała – tam się pasą krowy

Skamieniała Niobe nie żąda współczucia
tu stał kiedyś Dworek – a dziś stoi Huta

Skamieniałej Niobe ze łzami do twarzy
napisał poeta – Nobel mu się marzy

Skamieniała Niobe zna wiersze Sebyły**
a jej ulubiony ma w tytule – *Młyny****

19 lipca 2023 r.

* Niobe – w greckiej mitologii królowa Teb, której dzieci zamordowano. Zrozpaczoną matkę Zeus zamienił w płaczącą skałę.

** Władysław Sebyła (1902–1940) – urodzony w Kłobucku polski poeta, podporucznik Wojska Polskiego. Rozstrzelany przez NKWD w Charkowie.

*** *Młyny* – utkany barwami słów egzystencjalny poemat Władysława Sebyły, poety przedednia katastrofy, autora profetycznego wiersza: *I znowu tupot nóg soldackich...*

Pamięci Władysława Sebyły

Nic nie ujmuje tak w poezji,
jak czystość uczuć i pieśń głębi.
Ty to widziałeś; młyny płoną,
anioły kruszą skrzydła z lodu.

Tak bardzo mało przekazałeś,
pozostał rys, zaledwie skaza
na diamentowym nominale,
nie odcisnąłeś piętna Zdania.

Lecz ten „początek” – ach, ta fraza,
którą na próżno bada miernik,
ona śmiertelnym się nie zdarza,
prawda – ty jesteś nieśmiertelny.
Choć ci wystrzelił kulą w splot
i sarkastycznie splunął w ziemię

łotr, jakiego posłał ci w podzięcie
za twoje skrzywienie – potwór-Los.

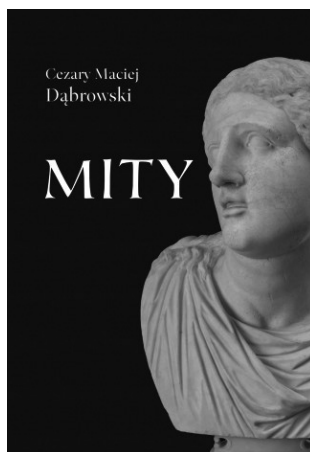
Poezjo kresu – skrzyj się-skrzyj,
wirują mroźni aniołowie,
niech szkliste młyny ziemia śni,
aż Mit wymusi pieśń... o Tobie.

3 sierpnia 2023 r.

Cezary Maciej Dąbrowski

Wiersze wybrano z tomu *MITY. Opowieść nie tylko o Kresach* (LTW 2024).
Były prezentowane przez autora podczas Konferencji Literackiej XXIV edycji
Dialogu Dwóch Kultur, 12 września 2024 roku w Muzeum Józefa Piłsudskiego
w Sulejówku.

Cezary Maciej Dąbrowski
Mity. Opowieść nie tylko o Kresach
Wydawnictwo LTW
Łomianki 2024
Stron 90, oprawa twarda, A5
ISBN 978-83-7565-852-1



Danuta Gałęcka-Krajewska

Dygresje

Myślałam
(czas przeszły, dokonany)
że był dobrym ojcem
Nikt i nic nie zastąpi
pas de deux
rodzicielskiej troski
i dojmującej winy
po dowolnej stronie
Poeta powinien uważać
na strome stopnie
swoich sentymentów
„na które wszyscy chorujemy”
a bolesne napięcia
między słowami
leczyć podręczną ciszą
Aha!
I nie pytać na próżno
dlaczego karał syna
czekaniem na mrozie
lub staniem twarzą do ściany
(on tak się wstydzi – wyjaśnił)
bo bezdusność
czyli oznaka słabości
to rdza sumienia
i jako taka
nie podlega transformacji

W tłumie

Wciąż daleko nam do siebie
 – do wspólnej modlitwy o przebudzenie
 Jest pewien Świat
 (lub świat nie jest pewien)
 gdzie drogi poznania
 szukają się
 wykluczają
 a potem łączą
 w bezdroża sygnałów
 zostawiając czerwone plamy
 na przelomie dnia i nocy
 Idę więc nieuchronnie
 na widzenie
 z honorem gatunku
 Przed rozprawą była nadzieja
 na uniewinnienie
 – nic z tych rzeczy
 DOŻYWOCIE to tylko kwestia czasu
 Mówię: – Trudno pojąć nagłe zatracenia losu
 albo mówię: – Kondycja wiary w nieśmiertelność
 ma się dobrze
 Wreszcie wołam: – Słuchać umieranie złudzeń!
 A jednak rośnie potrzeba wymiany ognia
 tego syna gniewu
 który tylko czyha
 na chwilę nieuwagi
 by zmienić tapetę
 podróży do rajów
 w obraz rodem z *Zabaw dziecięcych* Bruegla
 I jeszcze owa natrętna myśl poety
 rzucona lwom równości na pożarcie:
 „Bo wolnym bywa się
 w świecie myśli
 Ale w świecie ludzi
 liczą się cierpienia”¹.

¹ Cytat z: Jerzy Górzanski, *Wszystkim kieruje błyskawica*, Przedświt, 1982.

Self-esteem

Poczucie wartości własnej poetów
ma się dobrze
Obserwuje się
pojedyncze przypadki
samobójczych zdań
wyrzuconych z wyobraźni
jak z katapulty strachu
zdań samozapłonowych
bez szans na ciąg dalszy
i nadziei na happy end
Wielcy poeci
trzeba przyznać
mają coś z kultury odrzucenia
własnego miotu –
Punktują wiersze z którymi
nie mogą się pogodzić
„ani ich wyrzec”
lecz przyjmą je po latach
w efekcie przyciągania
na dobre i na złe
w jednej chwili
która zjednoczy pasma słów
tuż przed ostatnim
tchnieniem frazy
Inni przyznają pewnym wierszom
własnego chowu kategorię „D”
(to cenięj najwyżej)
konstatując że „wata też musi żyć”
choć trudno to przyznać
przy pełnej sali
bo nikt nie lubi
gdy mu jakiś intruz
unosi wieko metafory

Gabaryty metafory

Wiersze Białoszewskiego
ulepiły ze mnie poetę
– wyznał pewien rzeźbiarz słów
z kolei jego wiersze
pchnęły mnie na drogę
z której nie ma powrotu
do milczenia
choć tak wiele
wyszeptano
powiedziano
wykrzyczano
w tym i tamtym świecie
Niezbadane są bowiem wyroki
poetyckiego impulsu
Od czasu wycieku
atomów niepokoju
z reaktora przeszłości
mam lęk wysokiej metafory
sny zarzucone śladami wspomnień
i puste miejsca w zdaniach
które powoli wypełnia
android pamięci pokoleń
Nieuchronne spotkania
odrębnych myśli
suną tymczasem slalomem
wśród cierpkich komunikatów
wszechstronnej obojętności

Niedosyt

Gdy uwolniona myśl
zabrzmi znajomo
czyli gdy będę z poezją
po słowie
zadam jej kilka pytań

Może stanie się wtedy światło
i ucichnie głos zza ściany
lub zakwitnę w biegu
ryzykując przedwczesną
śmierć metafory
Gdy jednak przejdę
do spraw osobistych
spróbuję wyjaśnić
gdzie zaczyna się życie
a przemija sen
i dlaczego trwanie
liczy czas którego nie ma
który nie współ-czuje
nie słucha skarg
na niski poziom
metafizycznej temperatury
lecz pozwala się trwonić
– przesypywać w klepsydrze wydarzeń
z miejsca na miejsce
od drzwi do okna
i prosto na zdumiony beton

Przydrożna rapsodia

Słońce zachodzi bezceremonialnie
robi się cicho
– gaśnie poświata dnia
Słońce zachodzi
otulając ciało zmierzchem
i chowa nieco ironiczny grymas
za ścianą skulonych drzew
Słońce zachodzi też we mnie...
Spod zmrużonych powiek
widzę jego długi cień
który mogę łatwo ominąć
ale to mój cień
– strach na wróble

targany wiatrem wydarzeń
Jeśli to jednak zmowa milczenia
światła i mroku
to wolę zejść jej z drogi
i wstrzymując oddech
lekko chodzić po kroplach
uprzejmego deszczu

Danuta Gałęcka-Krajewska

Sylwia Gibaszek

Abonent czasowo niedostępny

zgubić się na mapie
pośród ścieżek o znikomym znaczeniu
zniknąć w czeluściach Kolonii Unin
albo Borowia
przypuszczając że nikt nas nie znajdzie
w drewnianej chacie ze starą łasicą na strychu
rozgościć się poza siecią
pałac szyszki w piecu
świece z krzywym knotem

być totalnie unplugged
delektować się jak koniakiem
brakiem zasięgu

Awers i rewers

(sceny z zimowego życia przyrody)

Taki był mróz w Międzyzlesiu
a obok nas locha wyprowadzała na spacer
sześć pasiastych warchlaków
między lasem a cmentarzem
stałam z awersją do przemocy
patrzę teraz przez oszronione okno na głodne mewy
kunę co przemyka odśnieżoną ulicą Radomską
pod zaparkowanymi autami
sikorki na parapecie
te co uwielbiają słoninę jak Ferdynand Kiepski mocne piwo
tak jak on z dziką rozkoszą oddają się degustacji
zanurzając malutkie dzioby w tłuszczu

sikorki zimą naprawdę potrafią delektować się życiem
ukradkiem zawitać do dziupli nietoperza

który zapadł w zbyt mocny sen
rozkosznie stukać w jego czaszkę
aż z wdziękiem i gracją wydziobią mózg na kolację

nie śpij bo cię okradną
brzmi ludowe porzekadło

nie trać czasu na sen
bo nawet czaszka w dziupli po tobie nie zostanie
dla skostniałej z zimna popielicy szarej
na śniadanie

Nie być

być nikim
niczym fale odpływać
przyplýwać przypadkiem
w przyczółkach pianą osiadać
białą nicością bez ambicji zazdrości
nienawiści miłości ludzkiej małostkowości

być kropką nad chmurą
niemą kroplą

być bezsprzecznie
ze wszech miar bez koniugacji
wszelkich spacji na wylot
na wieki oceanów

Przesady na odejście

Kiedy umierasz przepadasz
rozkładasz się a może rozpraszasz

podobno – jak pisała Urszula Kozioł
rzucony na pastwę ciemności

czarno w grobie
widać nic
ziemia jest szara brunatna albo jak nawóz naturalny

gówno prawda
może wpadasz właśnie w sam środek jarzeniowego światła
nic cię wypala jak w hucie stali
może świecisz niczym rafineria gdańska
elektrycznymi lotosami
stajesz się czystym lśnieniem
radioaktywny cieplejszy niż wulkaniczna lawa
przelewasz się z pustego w próżne
nagrzany mocniej niż wewnątrz słońca
przetaczasz się przez jego układy arterie
a żyły planet czerwienieją jak spirale
w farelkach grzejnikach olejowych piecykach
rozkręconych butlach z gazem

nie trzeba zapalnika

Sylwia Gibaszek

Eugeniusz Kasjanowicz

* * *

Ernestowi Bryllowi

Daj mi wiersz swój otwarty – oddam Ci go
 Serca drgnieniem...
 Albo – daj myśl głęboką i strzelistą
 Ona – promieniem

Twa myśl nie zmieni się choć świat się zmienia
 Ona – nie kłamie
 Jest światłem na ciemnych drogach
 Ona – to ramię

Innym wydaje się że jest źdźbłem trawy
 Liściem na wietrze
 A ona płynie – jak krew po cichu w nas
 Bije serdecznie...

*Na motywach wiersza
 Cypriana Kamila Norwida*

Hokeista

*Wiesławowi Jobczykowi –
 – wybitnemu polskiemu hokeiście*

Czeka na swój moment
 jeszcze poprawia kask rękawice
 nagle wyskakuje z boksu
 niczym z katapulty
 szybki jak błyskawica
 polski wojownik
 w rękach
 złoty sztucer hokeja
 puk puk puk

słysząc odgłos krążka
jedna bramka...
druga...
trzecia
na 63 sekundy przed końcem
koledzy rzucają się na niego
nie widać Wiesława
kibice szaleją
śpiewają „Sto lat”
naszym kadrowiczom
a jemu serce
bije tak mocno
jakby cała Polska
wygrała ten mecz

*Mistrzostwa Świata w Hokeju na Lodzie
Grupy A, Katowice 1976 r.
Mecz Polska – ZSRR, 6:4 dla Polski!*

*Wiersz został wręczony przez autora
Wiesławowi Jobczykowi
podczas Jubileuszu 70-lecia Hokeja na Lodzie
w Siedlcach 1953-2023.*

Siedlce, 13 października 2023 r.

* * *

Wiesławowi Borucowi

Zostaje bez Ciebie
cisza taka samotna
aż połykamy łzę słońca
i przychodzi Chrystus
z cierniową koroną
podaje ramię
by nam łżej było
i byśmy jeszcze raz

uwierzyli w miłość
że znowu się spotkamy
jak dawniej
przed domem
Pan zdejmie z nas krzyż
i cierniową koronę
zawiesi jak wieniec
na niebieskiej ścianie...
a tutaj
grudka snu nad Tobą
obłok z Twoją twarzą
stukanie gołębi
w puste okno...

Eugeniusz Kasjanowicz

Piotr Kitrasiewicz

Krople

Spał na boku
lewym albo prawym
wszystko jedno ale
coś go zbudziło
poczuł na policzku
dotknął było lepkie
spojrzał do góry
czerwone krople

kap
kap
kap

nad nim niewiadoma przestrzeń
zastanowił się
skąd się biorą
dlaczego czerwone
zagadka

kap
kap
kap

to sok z buraka
coca-cola
może wino czerwony szampan
albo cabernet

kap
kap
kap

ktoś się wygłupia

komuś się wylało
może ma miesięczkę
nie zauważyła i łązi
kręcą thriller albo horror
wampiry atakują
zombie nadeszły i robią swoje

kap
kap
kap

niech kapie
a co tam
ułożył się ponownie
na boku lewym albo prawym
zaczisnął powieki
udał że śpi

kap
kap
kap

po chwili rzeczywiście zasnął
śniły mu się krople
czerwone

kap
kap
kap

Archimedes

Biegłeś ludną ulicą
Syrakuz w słońcu
Wrzeszcząc wniebogłoso
Bez listka figowego

Ani innej rzeczy świadczącej
O przynależności do kultury helleńskiej

Zaskoczeni świadkowie
Bogowie i przechodnie
Przerwali na chwil parę
Swoje nieziemskie i całkiem przyziemne
Działania i dysputy

Twój chłodny umysł całkiem na przekór emocjom
Powoli odmierzał myśli
Słowa i obliczenia
Szykując dla potomności
Nowe zasady fizyki
Jak wszelka jasność
Zrodzone w kąpielu

Na kamienistym stoku
Padłeś wyczerpany
Dopał cię służący
I zakrył nareszcie tkaniną
Nagość
Powód wygnania z Edenu
Osobliwy stan fizyczny
Oczekujący ciągle na swoją
Eurekę

Piotr Kitrasiewicz

Andrzej Książek

AFORYZMY

Jeśli coś jest dobre, jest dobre od zawsze i na zawsze, mimo że nikt tego dobra nie dostrzegł, docenił, doświadczył. Nawet jeśli pogląd ten stoi w sprzeczności z opinią pospólstwa, które ma demokratyczną większość, decydującą i rozstrzygającą.

Życie bez udziału świadomości jest na poziomie biologii bądź fizjologii, które sprowadza się do prostych czynności. Niewarte, by je przeżyć.

Tak niewiele trzeba, aby zejść na psy. I tak wiele, żeby z tego wyjść.

Nie wiadomo, kto jest zdrajcą, a kto bohaterem. Kto geniuszem, a kto kretyńcem. Role te mieszają się, przemieszczają, tworząc chaos aksjologiczny na niespotykaną dotychczas skalę.

Konkurencja, rywalizacja jest słabszą stroną walki, w którą wpisane jest ludzkie życie jako byt przyrodniczy. Bez zasad, reguł przeradza się w bijatykę wszystkich ze wszystkimi. Ludzie niszczą się wzajemnie bez głębszego sensu, bez jakiegokolwiek celu. Zniszczenie dla samego zniszczenia.

Czasu nie cofniesz, historii nie odwrócisz, śmierci nie unikniesz. Co zatem zostało? Chwila. Życie chwilą.

Większość współczesnych artystów, chcąc zaistnieć, uprawia nie sztukę, ale jarmarczne sztuczki podobne do tych prestidigitatora. Aby zaszokować, zadziwić. I nic ponadto.

Nie ma na czym się oprzeć, nie ma do kogo się odwołać. Dziwny jest świat, biedni są ludzie, którzy w nim żyją.

Głupców zawsze było więcej niż mędrców. Dlatego świat wygląda tak jak wygląda.

W przestrzeni społecznej mędrców nie ma. Są eksperci z tytułami naukowymi, którzy grają rolę mędrców.

W słabości ducha bez empatii, współczucia, szacunku, ale za to w zażdrości, gniewie, agresji wobec innego. Innego niż inni.

Prostacktwo zalewa niczym mityczny potop. Jest prostactwo przed studiami i po studiach. Niewykształcone i wykształcone.

Jest tylu wykształconych i głupich, że można mówić o klęsce urodzaju.

Nie ma obiektywnej narracji historycznej. Narody fałszują prawdę historyczną. Punkty widzenia nie tworzą linii ciągłej. Znoszą się, tworząc chaos epistemologiczny.

Mówienie prawdy jest czynnością bardzo niebezpieczną. Na tyle niebezpieczną, że głoszących ją zamyka się w miejscach odosobnienia.

Racje mają biali, czarni, hetero, homo, żydzi, chrześcijanie, muzułmanie... itp. Wszyscy po trosze mają rację i nikt jej w całości nie ma.

Kto jest właścicielem stacji telewizyjnej, radiowej, gazety, portalu informacyjnego w internecie, tego jest prawda. Taka jest prawda. Żałosne.

...żeby coś wiedzieć o miłości, trzeba być zrodzonym z miłości.

Żyj tylko dziś. Wczoraj nie wróci. Jutro niepewne.

Mamy jedno życie..., ale żyjemy, jakby ich było wiele.

Nie myśl o śmierci. Śmierć sama się upomni.

Jesteśmy jak studenci, którzy malują z modelu. Każdy widzi inaczej. Każdy widzi inne złudzenia.

Andrzej Ksiązek

WIERSZE

Droga ku słońcu

Coraz mniej ludzi łączy.
Coraz więcej dzieli.
A przecież.
Z wielości jedno.
Z różnorodności odmian.
Rodzajów.
Odcieni.
Ten sam kolor.
Ta sama droga.
I liczne ścieżki które prowadzą
do niej.

Źródło

Miłość jednoczy.
Inność różnorodność
odmienność
powoduje.
A powodów jest wiele.
Pogodzić sprzeczne.
Z pozoru wykluczające się
opierając się na twardym podłożu.
Fundamencie
na którym można budować
mieszkać.
Wreszcie zaznać spokoju.
Wytchnienia.
Czerpiąc ze źródła
radość
przyjemność.

Historiozofia

Różnie interpretowano świat.
Odmieniano przez szczegółowe przypadki.
Idąc za ciosem zmian
których dotąd nie było.
Zatriumfowało prawo silniejszego
nad rachityczną siłą argumentów.
Rzeka po powodzi.
Po zalaniu łąk i pól
znów wróciła do starego
koryta.
Historia zatoczyła koło.
Do punktu z którego wyszła.

Przeznaczenie

Wyprzedzić fakty.
Wydarzenia.
Zmienić tor przeznaczenia
dając do zrozumienia
że los jak lejce
trzymam w swoich rękach.
Nie dać się ponieść falom.
Stanąć w poprzek.
Na przekór.
W rozkroku.
Mając do wyboru między
możliwościami.
Potencją a aktem
właśnie się aktualizującym.
Samospełniającym.
W myśl życzenia.
Czarodziejskiego zaklęcia.
Ucieleśnienie marzenia.

Prognozy

Upadły imperia.
Upada imperium Gutenberga.
Opustoszałe miejsce wypełniają
wizualizacje komputerowe.
Nadchodzi nowe.
Nowy człowiek.
Nowe społeczeństwo
dla których planeta Ziemia
to za mało.
Kurczy się przestrzeń.
Czas który coraz szybciej biegnie.
Sprawdzają się przepowiednie.
Nagle zmiany niczym zmiany klimatyczne.
Jedno kliknięcie myszki komputerowej
potwierdzą przypuszczenia.
Czarny scenariusz oświetlony jest światłem
jupitera.

Dobre intencje

Idee są puste.
Wyprane z treści.
Realne rzeczy wypełnione po brzegi
dostosowują się do status quo.
Sen o potędze umysłu nad
rzeczywistością która wymyka się
przez oczka zarzucanych sieci.
Są rozbieżności w protokole.
Jest przepaść która dzieli.
Dobra intencja
u podłoża.
Od fundamentów.

Dramaty

Znaleźć klucz dla upływającego
czasu
w którym chwila występuje jako
jednostka miary
wieczności
która zapisuje dane w ogniotrwałym
materiale
opierając się przeciwnościom
losu.
Pokusom przeciwstawiającym się
przeznaczeniu
które przechodzą w coś niesamowitego.
Co jedni nazywają tęsknotą.
Inni przemijaniem.

Poza i ponad

Co może doprowadzić do adekwatnego stanu
rzeczy ?
Odpowiedniego poziomu wody w rzece.
Jakie czynności przedsięwzięcia ?
Aby mógł zapanować porządek.
Według kryterium skali hierarchii.
Odwołując się i mając na uwadze
najwyższy punkt na firmamencie.
Zgodności między myślami a emocjami.
Intencją a czynami.
Stroną lewą a prawą.
Znosząc sprzeczności paradoksy na
plan dalszy.
Poza świat nam znany.
Powszechnie przyjętej narracji.

Andrzej Książek

Adam W. Kulik

Donnafugata – sen wyspy

cierniste krzewy w skwarze południa
złudne jest życie książąt
jeśli nie opisze go poeta
marmurowe tumby w zielisku
w kącie ogrodu
bez śladu imienia
a były przecież na wieczność

sam widzisz – książę
potrzaskane kolumny
zatarte aleje
skwar – melancholia lata
sen

twój pyszny zamek w połowie bytu
nierealne wieże dźwigów
łaty cementu
kamienia
jakbyś dopiero co zszedł
plastrami schodów ze strzelbą przez ramię
jeszcze słycać psy

dlaczego tak smutno
książę
budowałeś dla kochanek
może dla dzieci
jeszcze tłą się rozmowy
jeszcze kamień w malignie słońca
pamięta zapach tamtych perfum

nie mogę zapomnieć tego ogrodu
cierpienia zamaryłych fontann
radości opuncji – wątpliwego daru Hiszpanów
zwalisk kamienia który przestał być
wizją

Donnafugata, lipiec

kiedy już tak

kiedy już tak
nie do zniesienia
biorę pióro papier
i...
zapewne do kogoś w tym czasie
przychodzi natchnienie
w rytm myśli i obrazów
w krzyku słów i nakazów
niesłyszalnych
jak aksamitny strumień
płynący obok w jądro światła

w oknie nic
nic coraz bardziej natarczywe
bolesne
rytm coraz bardziej gorący
i oczy jak ze szkła
nagle córeczka która niczego nie wie
bo ma tylko sześć lat
chce się bawić przy mnie
i mnąc w piąstkach kartkę papieru
idzie do mnie
jak ja w jej wieku
do psa

Ortygia

wyspa ma strukturę kryształu
jak wiersz
tu każdy kamień opowiada historię
w wierszu słowo
niegdyś
upokarzała Ateny i Kartaginę
decydowała kto ma być bogaty
kto klepać biedę wokół morza
muskularne łapy Rzymian
dały radę i jej

na agorze
w katedrze Ateny
modlisz się jak u siebie
zostało wszystko
kanelury pilastrów
mur celli fajerwerki arabesek
i normańskie blanki stłumione
nachalnym barokiem

w uliczkach jak witki różańca
w gotyckich podwórkach
w mirażach pałaców bazylik
usiłuję zrozumieć

nad źródłem Aretuzy
tak cicho
słyszałbym najcichszy dźwięk
aulosu

nic
płacz skrzypiec
szept fali

pożegnanie z Sycylią

zachód słońca nad Ragusą
pożegnanie z Sycylią
barokowe meandry uliczek
spokój równo ciętych portali
kafejki sklepione ciszą
od niechcenia
odpryski gotyku w Casuzze

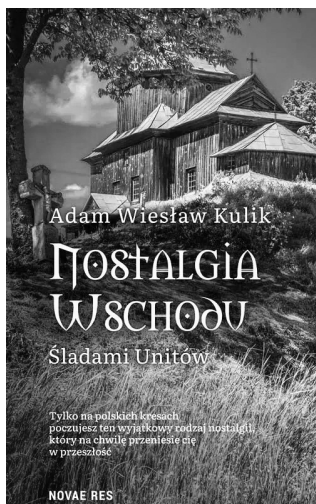
wśród oleandrów i hibiskusów
Ana piecze pizzę
do czerwonego wina
powinienem dojechać jak najszybciej
lecz musiałem tu przyjść

jaskólcze domy
w uskokach
krużganki donikąd
ślepe portale
szczęśliwych przejść
i święty Giorgio

trzeba się zbierać

Pycha

pycha rozpiera pychę
mury Dionizosa
które obudziły
Greków
Archimedes igrający z flotą
Rzymian przez dwa lata
gotyckie katedry – lśnienia światła
lecz jak zrozumieć podboje
Macedończyk był tylko chłopcem
biegającym bez celu po świecie



Autor: Adam Wiesław Kulik
Tytuł: *Nostalgia Wschodu. Śladami unitów*
Wydawca: Novae Res
Wydanie: Gdynia 2023
oprawa: miękka ze skrzydełkami
Format: A5
Stron: 556
ISBN: 978-83-8313-383-6

Ucho Dionizosa

Serce bije mocniej, Rajskie Kamieniołomy. Ślady toporów, klinów, którymi odrywano skałę – byli naprawdę, nie jest to baśń w kręgach fiołkowych i białych oleandrów.

Teatr Hierona przykryty deskami, równe wybiegi dla konferansjerów i pańienek zachwalających wciąż te same suknie. Amfiteatr – już tylko gruzowisko. Sarkofagi na koronie puste: po człowieku nie zostaje nic, oprócz tego co napisze lub zrobi dla innych.

W grocie, w której dręczono Kartagińczyków żarliwa skarga: wysokie sklepienie natęży modlitwy pokonanych. Złamane nogi, sińce na ramionach i biodrach, wybite oczy, rozłupane rękojeścią miecza twarze. W tę piwnicę cierpienia, wkracza królowa Demarete, pogodna, dumna, współczująca. Uśmiechem przywraca nadzieję. Służebnice niosą chleb i wodę.

Ten sam przejmujący szept budzi córeczkę śpiącą na moich rękach.

– Gołąb! – mówi zdziwiona.

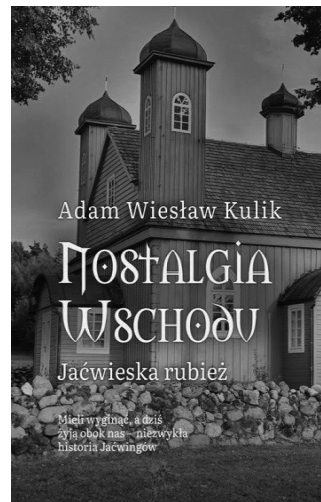
– Gołąb! – zadziera twarzyczkę szukając echa.

Tylko widok z korony na zatokę ten sam i droga śmierci z głęboko wyjeżdżonymi koleinami...

Syrakuzy, sierpień

Adam W. Kulik

Autor: Adam Wiesław Kulik
 Tytuł: *Nostalgia Wschodu. Jaćwieska rubież*
 Wydawca: Novae Res
 Wydanie: Gdynia 2025
 Oprawa: miękka ze skrzydełkami
 Format: A5
 Stron: 324
 ISBN: 978-83-8373-486-6



Gabriela Kurylewicz

Modlitwa

Ogromny Boże,
nie chcę marudzić.
Jestem obdarowana
po uszy
i dalej niż zasięg wzroku.
Za miłość do morza
najszczerszą
wystawi mi rachunek
reumatyzm,
co prawdopodobne.
Jednak proszę
o niżkę serdeczną,
za poezję.

1 X 24

Adam Majewski

* * *

Zadzierasz głowę do góry, choć stopy
dotykają miążskiego gruntu. Planeta biegnie wokół słońca,
kręci się wokół osi. Oddala się, co ustalili fizycy,
od punktu początkowego Wszechświata.

Dzień gaśnie z powodu nocy, a głębię nocy rozświetla
nastanie kolejnego dnia. Tak jawi się ziemski czas,
wprowadzony w ruch przez siły pierwsze. Jest jak
piasek w renesansowej klepsydrze.

Wibracje kosmicznego mechanizmu docierają za sprawą nóg
do miednicy, kręgosłupa, potem do głowy.
Powoduje je rozedrganie materii w locie ziemskiej kapsuły
przez wszystkie niewyobrażalne wymiary.

Świat drga. Myśli go objąć usiłują, ale oczy
patrzą w górę, nie pod nogi, i nic pewnego nie odnajdują.
Ziemia jest taka bliska, taka daleka. Jak ziarnko piasku
na dnie kosmicznego oceanu.

Czarny marzec

1.

Tak tylko się wydaje, że słowa,
które wirują w powietrzu, precyzyjnie trafiają w cele.

Wkraczasz w fazę bezsenności, a co widzisz w internecie,
ładunki pojęć w kształt nie scala.

Po tamtej stronie ekranu kłamstwo —
schowane w okopie powagi. To garnitur kamuflażu.

Po tej stronie strach i karabin w rękach —
bohaterowie biją się do ostatniej kropli życia.

2.

Zapisujesz teraz te słowa, aby przeczekały wojnę znaczeń,
niebezpieczeństwo obłądnych trajektorii zdań.

Do czasu, kiedy z okopów, schronów i piwnic wydostanie się
sens ofiary ostatecznej.

luty–marzec 2022

Nie patrz pod nogi

Spójrz w górę, jak wiatr rozgarnia miejski smog, rozprasza
zawiesinę pyłów z portu i pestycydy z pól na dalekich przedmieściach,
rozpuszcza brudny oddech dróg i stęchliznę zamkniętych przestrzeni,
odsłania betonowe ornamenty krajobrazu

Spójrz w górę: miliardy kryształków lodu tworzą stado chmur
spędzanych przez gorliwego psa wiatru do niewidzialnej zagrody,
miliony kropel deszczu, kwaśne łzy, powodują erozję elewacji i murów

Spójrz w niebo: wiatr jak czas, ślizga się po szklanym blacie teraźniejszości,
zgarnia kurz, pył nieistnienia przedmiotów i miejsc,
oczyszcza pole odwiecznej bitwy, bo hordy czekają u bram,
w samochodach, w uniformach, w pełnej gotowości, za sześć tysięcy

Wzdłuż głównej alei w Gdańsku każdego dnia toną w powodzi czasu
samochody, w ludzkim pośpiechu gubią się chwile ważne i najważniejsze,
wszystkie drogi prowadzą do amnezji, a może apatii?

Wyładowania

To było na początku lata, kiedy po raz ostatni
patrzyłem na zatruty owoc miłości —
obrócony z każdej strony. Czego szukałem
na delikatnej, woskowanej skórcie?

Elektryczne palce trzymały soczystą kulę powietrza.
Wtedy wyczerpany wyjrzałem przez okno:
słońce chowało się za budynkami, drzewami, wzgórzami.
Nie odejść, nie przekroczyć granic tamtego
świata ani burzy czasu —

nie udało się. Letni podmuch przyniósł bicie
kropel deszczu. Słowa jak pomruk, który
podąża za rozbłyskiem.
Po burzy ulga.

Adam Majewski

Anna Maria Mickiewicz

ziemia płonie

dymiąca trawa
porzucone gorzkie zioło
ocean zmienił kolor na brunatny
objął podwodne siedlisko

wzrasta w sztormowej fali

kuszący
ostry
ciernisty

Sokrates
Zagubił się w niepokoju

to wina zawirowań
i dzisiejszego chłodu filozofii

a ziemia zaczęła płonąć
gorącą wojną

kadr słońca

piaskiem umorusana
dzieckiem roześmiana
stopą zakołysana o drobiny...

obok szedł ojciec
stopą przekopywał miękko ścieżynę
kadrem słońca letniego rzeźbioną

zostaliśmy
idziemy...
obracając
klepsydrę jeziornego piachu

Londyn 2013

Anna Maria Mickiewicz

Piotr Müldner-Nieckowski

Streszczenie raportu prokuratora

Bandyta zabił Jana na ulicy
Kasia żona Jana rozplakała się
z radości że znów jest wolna
i powiedziała to przyjaciółce Ani
która kochała ją od czasów
dawno przedszkolnych
usiadły w parku na ławce
i uczciły to flaszką
siarkowanego wina marki „Wino”
Kasia była żona byłego Jana
już nie jest wolna
zajął się nią były mąż Ani
którą sam zabił na ławce
w parku znanym Kasi dobrze
od wielu wielu lat
a następne jej dzieci
nadal przychodzą na świat
Co z tym począć?
patrzy prokurator Jacek
na swój elaborat i sięga
po następną butelkę wódki
wie dobrze że wszystko co pisze
już jest w jego życiu
i tylko spisuje kolejny wariant
tych oczywistości

Dla Adriany Szymańskiej

Co wiesz, Adriano?
Niebo to nie-bo... bo to i tamto,
nie-byt, próżnia fizycznie Boska
i pustka, chemicznie i w pojęciach,

tylko dlaczego tak bardzo niebieska
z serią białych przetarć?
Skoro ma kolor nie biesa, lecz oczu anioła,
co dolatuje ze wzrokiem do mózgu,
to może ta pustka tak próżna nie jest,
lecz wyogniona do pełna,
gdy twoje spojrzenie jaśnieje?

Tak agresywnie lgną do nas
nagie przejęzyczenia,
męcząca jazda na skrót przez słowa,
że w szafie przed wyjściem szukamy
niezbędnych części bielizny.
Lecz ciała nie da się okryć,
ciało jest wszystkim wiadome.

Tak, niebo jest białe,
tak mocno się czerwieni,
że ciało stałe, które w nas uderzy,
wycieka, ulatnia się do piekła,
sublimuje do postaci wiersza.
Lecz dyktatorzy nie chcą w to wierzyć,
dlatego jeden po drugim czezną.

Och, Adriana
jest jak Ariadna,
na Ziemi zbłąkana,
w poezji zaradna.

Piotr Müldner-Nieckowski
Wiersz napisany w czasie Biesiady Literackiej SPP w Warszawie
19.03.2015

Anna Nasiłowska¹

drogi Hamlecie...

być albo nie być
to nie jest pytanie
ale sprawa
do załatwienia mimochodem
którą trzeba upchnąć
pod kołdrę
albo do kąta
żeby nie pytać
nic i nie
trzeba schować
i to nie kłamstwo
to zabieg konieczny
żeby zajmować się tylko
zdrowieniem

noc szpitalna

wiele się dzieje
po korytarzach niosą się
kroki i jęki
straszy mężczyzna krzyczy
poprzez ciemność demencji
Ela! Ela!

jak Eli, Eli...
jego bogini nie przychodzi
jakim ją wezwać imieniem
by ukazała się
straszna i zbawcza
kojąca ból i samotność

¹ Wiersze z tomu *Wiersze stacjonarne*, Biblioteka FONT / Profile, SPP Poznań 2024.

Ela była w realnym życiu
żoną lub kochanką
uwierzył w jej obietnicę
że będzie z nim zawsze
rozproszy ciemność
i pokona zło

Elu, Elu czemu go opuściłaś?
ukaż się choć na chwilę
Elu
miej litość
pozwól nam spać

sala

sześć łóżek
wszystkie zajęte
przez kobiety po operacjach
w wieku różnym
ta spod okna puszcza z telefonu
koronkę jasnogórską
i rozpoczyna głośne odmawianie
w połowie wpada salowa z basenem
i głosem oskarżycielskim zwraca się do łóżka numer dwa:
„a wypróżniała się już po operacji?
Nic? Nic zupełnie?
będzie cewnik”
ta spod okna syczy z dezaprobatą
salowa wzrusza ramionami:
„ja nie mam czasu
drogie panie”
a potem dodaje
„bez sikania nie ma życia”
profanum miesza porządek sacrum
życie upomina się o basen

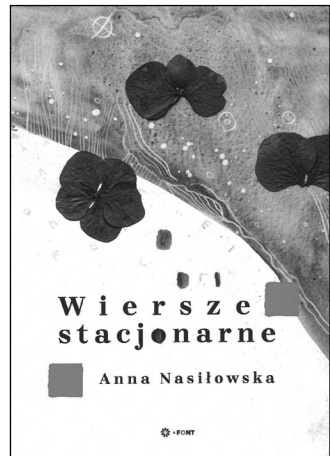
dziewczyny w wieku starszym

fajna nam się sala trafiła
trzy biodra
trzy kolana
trzy – wyższe wykształcenie
trzy – niższe
ale wspólnych mianowników jest wiele
łączy nas na przykład
oburzenie na pielęgniarza
który zamiast pomóc przy wstawaniu
mówi:
„Co mi tu pani kino urządza?”
bo za dużo zobaczył.
kino? że porno?
dziad jeden!
nie dla niego seans!
sarkamy jak już wyszedł
i nie słyszy
bo to pomaga na upokorzenie.
Lepsza pielęgniarka.
pyta:
„Kochanie, boli?
Zakryję ci kwiatuszek
żeby ci głupio nie było
i zaraz przemyję.
Nie martw się
szybciozem zrobimy!”
O, żeby mąż tak kiedy mówił...
– wzdychamy.
Czasami przychodzą córki i wnuczki
i każda z nas patrzy wokół:
widzicie? patrzcie
jaka ładna dobra i ubrana
taką urodziłam i wychowałam!
Moje córki pomocne
przynoszą podnoszą podają
uśmiechają się i są cierpliwe.
potem pytają:

„Co, jak na koloniach?”
 „Jak z dziewczynami z klasy?”
 tak! dobrałyśmy się
 nawet jest szczypta żalu
 bo przecież zaraz nas wypiszą
 i co?
 Każda w swoją stronę
 już nie będzie wesoło
 każda w samotnej niedoli
 a tu mamy na szpital-chorobę sposoby
 pogaduchy
 i tyle śmiechu
 że aż do płaczu

Anna Nasiłowska

Anna Nasiłowska
Wiersze stacjonarne
 Grafika: Małgorzata Południak.
 Blurb: Łucja Dudzińska.
 Wyd. Biblioteka FONT / Profile
 Poznań 2024
 Stron 80
 ISBN 978-83-66183-61-2



Alicja Patey-Grabowska

Entliczek pentliczek

Nie mierz
chłopczyku
z patyka
w człowieka
bo to zabawa
która krwią przecieka

Entliczek
pentliczek
czerwony stoliczek
bęc

Nie podziwiał dziewczynko
lalki Barbie
bo i tak czas urodę
zmarszczkami ufarbi

Entliczek
pętliczek
To jest To

Uroda jak dzban
posypie się szkło

Opisać morze

Łagodnie niewolnice
pokornie u stóp pana
władcy – Posejdona

Ale czasem z rana
lub w nocy

budzą się demony

Huk,
grzmot
i wysokie fale
uderzają w brzegi
jak gdyby taranem

A potem znowu spokój
Przejmująca cisza

Jak opisać morze
niedopisania?

Barwy i kształty
i dźwięków muzykę
szepty
i krzyki
Werble
pianino
Forte i pianissimo

Tak szumi morze
opowiada
śpiewa
pokrzykuje jak gdyby
przyzywała mewa

Jak opisać morze
niedopisania?

Opowiadam ciszę

Opowiadam ciszę:

Wiatr kołysze
konarami drzew

jak dziecko
w kołysce

Luli
Luli
śpiewa cisza

Luli
Luli
śpiewa wiatr

a tak
śpiewa serce
a tak
a tak

i wzrok
ku wierzchołkom
które tańczą w takt
melodii ciszy

Zamilkł ptak

Oto cisza
którą opowiadam

2024

Zawiść – nienawiść

Zawiść
nienawiść
otwarte gardziele
macki ośmiornic
trzepot słońca
na skrzydłach
ćmy palonej
w ogniu

Suche powieki
płacz
w zamkniętych ustach
ból
jak nóż w serce
krew
na płatkach róży

I toczy się koło
na zawiasach trzeszczy
śruby odkręcone
jeszcze jeden obrót
i trzask
i trach
rechot żab
wrzask

Zawiść i nienawiść
to na oczach bielmo
uszy które nie słyszą
głos zmieniony w ciszę
złowrogą
jak śmierć

Alicja Patey-Grabowska

Marek Pękala

Jaszczurce lepiej od poszczura

Niechący nadepnałem na ogonek
jaszczurki, która wyskoczyła spod kamienia.
Ona uciekła, a on, ten ogonek wije się
w przerażająco ekstatycznym tańcu,
coraz wolniej, coraz słabiej,
aż zielone pięć centymetrów
kuli się, nieruchomieje
– Umarło.

Czytam, że nie ma się co martwić,
bo taki ogonek odrasta.

Kiedy na pilarce uciałem pół wskazującego,
nie tańczył, tylko żałośnie wisiał na skórcie,
a krew kap, kap, kap.

Z wysoko niesionym półpalcem

I zwisającą na skórcie połówką z paznokciem
biegnę kilometr do karetki. Aż nie tylko w oczach,
ale i dookoła robi się ciemno.

– Niech pan utnie do końca, doktorze,
to tylko kawałek skórki – proszę.

– Ale to niezgodne ze sztuką –
i przyszywa tę połówkę.

A ja nadal wściekły,
bo to niezgodne ze sztuką
gry na gitarze – palec jest teraz
krótszy, krzywy i sztywny.
Nie ma się czym chwalić,
ale mogę pokazać:
O!

Więc, jako się rzekło,
jaszczurce odrasta,
ma lepiej niżli praszczur,
a prawdę mówiąc:
poszczur.

Co spada w górę

Czytam książkę,
na głowie siada mucha.
– Nie przeszkadzaj – strącam.
A ona znowu na włosach.
– Zaraz dam ci kłapa.
I uderzam paluchami.
Nie trafiłem, bo znów
grzebie w kłakach. – O ty
muchowato muchnięta!
I – łup! – w czerep.
A na kartkę nie spada ona,
lecz biedrona! A raczej onka,
bo biedronka. I stoi, oszołomiona,
kręci się w kółko,
wreszcie złazi z książki,
drepcze ku krawędzi stołu,
zaraz spadnie – zamykam ją
w dłoni ostrożnie i wyrzucam
za okno. – Spadaj!
A ona spada, lecąc coraz wyżej,
i skrzydełkami chichocze.

Zbierając mirabelki

Czerwone lub żółte
i tak samo słodkie jak czereśnie,
ale trochę większe.

Co najmniej trzydziestoletnie drzewo
z grubym pniem nadal owocuje.
Że mu się jeszcze chce po tylu latach
co roku rodzić w tylu kulkach
tyle soczystej słodkości!

Jedna z tysięcznych
odsłon tajemnicy
po jej jasnej stronie:
Cudowny instykt?
Trans chemicznego procesu?
Boży kod natury?

Trzęsę konarami,
mirabelki lecą
na łeb, na szyję,
mój, moją, spadają na trawę.
Zbieram na kolanach.
Zaiste, zasługują na to.
A nawet na więcej.
Na przykład na Mirabelum;
cokolwiek to znaczy.
I na złość się zbiera,
że więcej ich żrę
niż do kosza zbieram.

Życzonko dla kłusownika

Na grzybach, potykam się
o gałąź, padam, chcę wstać,
a lewa noga ani drgnie.
Patrzę: łydka w stalowej lince,
sam ją, pociągając nogę, zacisnąłem.
Jako duże zwierzę z głową i rękoma
umiem rozluźnić pętlę
– wyszedłem na wolność.

Ile już zdjąłem takich wnyków
z obgryzionych do kości kończyn
zajęcy, saren, dzików.
Ile już ich czaszek wisi
na chałupie.

Życzę, kłusowniku,
żebyś też wpadł we wnyki,
a drętwa rąk dopadła cię,
gadzinę, na nocną godzinę
albo dłużej. Może do świtu
coś ci w łepetynie zaświta.

Apokali z Władziówki w Borku Starym

A kiedy nad szczęśliwą doliną z dzikim rajem
na oślepiająco krwawej tarczy słońca
zawisł trzyskrzydły jastrząb
– leśnym wężem runęła w dół
wielka brudna woda, kipiela ogromna,
strumyczek poniżej samotnej chałupy
to już pędząca rzeka sięgająca progu.
A w środku rwącego nurtu,
opierając się, tyłem płynie monstrualna krowa,
krwistym okiem łypie na mnie,
a jej wielki otwarty odbył
niby piec hutniczy zionie
biało-różową surówką wrzącego śmiecia,
piekielna otchłań coraz bliżej, chce mnie wciągnąć,
trzymam się krzaka róż, kaleczę ręce,
ratunku!

Otchłań znika, więc jestem,
I budzę się w innym śnie: 56 aniołów
z północnej ściany w izdebce drży ze strachu,
traci barwy, to już tylko ich blade cienie.
– Hospodi pomyśl! – przenika przez ścianę,

od Borówek, od wschodu – wielka procesja
 z chorągwiami na złowrogim wietrze,
 ciągnie wrak tupolewa spod Smoleńska,
 każdy pątnik z pałą, każdy pop z kałachem,
 a na pierwszej chorągwi świetlisty wizerunek
 cara Włodimira świętego zbrodniarza Putina,
 chorąży w suto opłaconej pijanej delirce
 ledwo się trzyma drzewca i ziemi.

Może pociągnie procesję w kosmos i obłąd.

– I na stolcu nagłego spadnięcia nie siedział jest!

– chór kłębi się, roznosi chorym echem.

– Cześć i chwała Ukrainu! – grzmi ponad chórem Wernyhora
 znad tysięcy pomordowanych w niezliczonych ruinach.

Ani to bracia, ani siostry, a przecież bracia i siostry.

Powiedz, Rosjaninie, Rosjanko, można być dobrym,

mądrym, napadając, zabijając, zostawiając za sobą

groby i zgłiszczka? Można?!

A od zachodu, od dominikanów procesja idzie
 z Matką Bożą na łożu śmierci, przed wniebowstąpieniem.

– „Coś na tron Borek obrała!”

– ledwo słycać przez drugą ścianę od zachodu.

– „Opiekuj się naszą chatką!” w Europie

z płonącej Notre-Dame – ocaloną.

Ale dłączego chałupa cała teraz z czarnych bali,

i dachówka z falistej czerni, i kominy z czarnej cegły,

tylko okna, zamki i klamki ze złota.

Dłaczego ze złota.

Ciemne obłoki między procesjami – może rozjaśni się

nad Władziówką jako centrum tutejszej wieczności.

Płonący w ognisku zegar nie zniszczy czasu.

To nieprawda, że nie mamy czasu.

Że to on nas ma.

Bo jeszcze mam czas,

póki oddycham, nic mi nicość nie robi.

Mam czas, aby z ugłaskaną duszą na ramieniu

patrzyć jak w izbie kominkowej

Picasso miesza się z Podkowińskim,
 Dudek z Januszem i Markiem Pokrywkami,
 a Pokrywki z Kućkami, Ania Sadowska
 z Mitałem i Jankiem Kazneckim.
 Zbawienny masaż z przestrzeni barw i kształtów.
 Najprzytulniej w czarno-białych portretach
 mamy Krystyny, taty Władysława, brata Bogusia,
 w zbiorowej, rodzinnej fotografii z frasośliwym gospodarzem.

A za oknem cudna grucha gigant,
 chropowata powiernica, jak zwykle na posterunku,
 w rozłożystej koronie jak w garści trzyma ten magiczny pejzaż.
 Kawał nieba rozwiera,
 przed burzą krąży nad nią błyskawica.
 A na wysokiej górze od południa chwije się
 imaginacja trzech krzywych wieżowców pod sinym słońcem.
 Przez wycięty las idzie ku chałupie mrowie
 samotników z miejskiej pustyni,
 coraz mniejsze ludziki
 przepadają w paprociach.

Brat Bogdan, który

nie żyje już 22 lata, znowu odprawia
 połową mszę świętą – z talerzykiem zamiast pateny,
 ze szklanym kielichem na wysokiej nóżce,
 ale z opłatkami od prałata Mazepy.
 A nas już tylko garstka z tych wtedy ponad trzydzieścioro.
 Podczas komunii tak bardzo chce mi się umrzeć,
 że aż się budzę. I śni mi się w innym śnie
 malinowy chruśniak z Leśmianem pod łopianem.
 I nieistniejąca szutrowa droga między chałupą a szopą
 z nieistniejącym na tym pustkowiu słupkiem PKS.
 A przy stole w kuchni jedyny
 sąsiad Bronek. – Co ty tu robisz?!
 – krzyczę. – Przecież ty nie żyjesz
 już od ośmiu lat! A on się uśmiecha
 tym starym uśmiechem ze zdjęcia na półce z książkami.
 I znów się budzę w innym śnie, który długo się nie skończy,

bo jeszcze tyle złych duchów spod ciemnych gwiazd zostało
do uratowania, byle modlitwy starczyło. Jeszcze tyle
zuków Gombra zostało do przewrócenia
z pleców na nogi, żeby ekosystem
się nie zaciął.

A w tym roku

– o roku nieszczęsny ów! – 2024! –
w tym dzikim raju po raz pierwszy –
ani bażanta, ani boćka, kuropatwy zero, i zająca, i sarny zero,
dzieciola nie słysząc, kukułki tym bardziej,
w ogóle ni ptaszka w tej upalnej, nieruchomej ciszy bez trelu.
A jak mucha czy pszczoła przeleci to jest to wydarzenie,
a jak motyl to święto zwane Pawie Oczko.
A ze skoszonej wokół chałupy trawy
dziki zrobiły tak wielkie pobożowisko, że każdy musiał
ryć czterema albo i pięcioma półmetrowymi szablami,
kopać pięcioma albo i sześcioma racicami,
a musiało ich być siedem albo nawet osiem,
i to z dziewięć razy,
tak wielkie rumowisko mi zostawiły
na bezsilny lament. Na bezsilną ochronę
od Syrenki Boreckiej – naturalnego pomnika
z kamienia na wierzbowym cokole.
Na nic czuwanie ze świerka kapliczki od Janka Pastuły.
Tylko łąki kwietnej chamy nie stratowały,
bo znowu się nie przyjęła.

Żadna to więc apokalipsa,
jeno moja biedna apokali.
(Bez psa, chociaż psiarz ze mnie wagi ciężkiej).

sierpień 2024

Kontra nicości

Nie lubię pisać,
bo nie mogę potem spać.
A nie da się żyć bez snu.
Tak samo jak bez pisania.

Dlatego, Boże, proszę,
ześlij sen,
bo mnie czeka pracowity dzień
– mus zapisywania pustki
raz na zawsze. To jedyna droga
od niepokoju
do świętego spokoju.

Marek Pękala

Krzysztof Piechowicz

Matka Boska Jasełkowa

...du aber bist der Baum

R.M. Rilke

I oto jesteś
Zaiste wieczyste zielone
Drzewo

W złotych splotach aureoli wstążek
Najdłuższa z nocy pisze
Ikonę

Bliznami poorane
Oblicze

Nad rozpostartym
Iglastym krzyżem
Ramion

Jeszcze zielonych już omdlewających
Pod kulistym brzemieniem szklanych
Jabłek –

Strzeżone mieczem ognia
U źródeł korzeni
Tam w sercu ogrodu

A przecież przybywasz do jego
Wygnańców

Strojne w światło aniołów
Anioły świeceł
Owocujesz

Spełnieniem wiary nadziei

I najważniejszej z nich
Miłości

I jesteś całe
Na wyciągnięcie głodnych dłoni

Drzewo iglastej wszechwiedzy
Wieczysta Ewo

Październik

Nadmiarem barw ich wilgotnych odcieni
Gdy tak się sączą
Przez niski pułap słońca

Oślepiającą urodą ułudy
Daje znać
Że to jeszcze nie koniec
Że to żaden koniec

A ona to tylko
Ten strzęp brzoźowego liścia
Suchym szelestem wirujący
Na obrzeżu dłoni

Umykająca spod stóp
Kresu znużenia złąknionych

Zmarznięta wiewiórka bezkresu.

Barabasz

Lecz kim on właściwie jest –
Wyzwoliciel wybranych
Ludu wybranego

Strażnik świątynnych krużganków
Pogromca kamieni aż te się w chleb przemieniają
I pustynnych żlebów

Mesjasz fałszywy prorok w pątnicznym habicie

Na co dzień polityk sumienny ogrodnik
Królewskich snów kronikarz urzędnik
Księgowy

Zdolny przerobić
Żywy narodów w dymiące kolumny cyfr

Żołnierz dzieciobójca obrońca wdów
I sierot

Płatny agent zwyczajny brat łąta
Terrorysta

Kim jest Barabasz –

Zakwefione oblicze zaropiałe oko
Nie zdradzą tajemnicy
A ta sięga zenitu

Kiedy zbryzgane błotem i krwią
Światło

Ostrą jak brzytwa smugą
Na dwoje rozrywa chustę

I nagie oblicze
Twarzą w twarz
Urąga Obliczu

Kim teraz jest Barabasz
Po której stronie lustra
Ponckiego trybunału

Sobowtór mag
Cień
Choć raczej sługa cienia

Imię też jak lustrzane

Echo przepowiedni

Owoc pączkującej tysiące lat
Genealogii

Albo z nie tak znów dawnych wykradzione
Spisów
Metrykalnych akt

Z anonimowych być może
Donosów tajnej policji

Jezus Bar-Abbas
Bar-Abbas czyli syn ojca

Ojcowski syn jak każdy
Zwyczajnie jeden z nas.

Krzysztof Piechowicz

Krzysztof Saturnin Schreyer

HAIKU KOBIETY

- 1 Znów sama, po co?
I tylko ta muzyka
Echo nadziei
- 2 Pięciolinie snu
Byłam, czy jeszcze będę
pośród tych nut?
- 3 Ciemne jezioro
w nim drży dawna, gładka twarz
Czyżby wrócił czas?
- 4 W wodzie druga twarz
jakby nas było dwoje
Lecz milczenie...
- 5 Wrony jak chmury
z północy. Polecieć tak
za nimi w słońce.
- 6 Uśmiech i oczy
okno, tramwaj jesienią.
Może kiedyś, znów?
- 7 Za oknem wrony,
na pościeli zwiędły liść,
na nim jedna łza
- 8 Szara mgła w duszy,
bo i na kogo patrzeć,
gdy cię już nie ma?
- 9 Zwiędły już astry.
Śmiały się do mnie kiedyś
jak twoje oczy.
- 10 Dałeś pierścionelek.
Czy dasz mi swoje serce
jak glejt – na zawsze?
- 11 Pamiętasz wiosnę?
Oczy, dłonie i ten śmiech
A teraz plecy...

- 12 Wodospad dźwięków
unosił nasze serca.
Teraz mrozi chłód.
- 13 W kamieniu, mocno
wryte serce., ale...
głaz też wietrzeje
- 14 Mówisz mi „razem”
a jesteś tak osobno,
na dystans maila.
- 15 Przeszło, minęło ...
Więc po co ten głupi ból?
Ach, gdybyś nie był!
- 16 Kusisz na wiosnę
i bawisz się mną latem,
jesienią... znikniesz

*Pierwsza nagroda na konkursie im. szwedzkiego
kompozytora (nazwiska nie pamiętam).
Nagrody (podróż statkiem) – niestety nie odebrałem.*

WIERSZE

Neandertalczyk

Dbał o rodzinę, chronił kaleki,
nie lubił zamorskich podróży.
Łąd za morzami i świat daleki
spokoju mu nigdy nie burzył.

Lecz biegać umiał jak na zawodach,
lepiej od Bolta sprintera,
co widać dobrze po jego nogach,
nikt tak nie biega już teraz.

Polował dzielnie z towarzyszami,
na zwierza się z dzidą zasadzał,
potem przy ogniu i pod gwiazdami
o łowach mówiła gromada.

Przy swej kobiecie bezpieczny, syty,
szykował dzidę krzemienną.
Kiedy pracował umysłem bystrym
korzystał z wiedzy plemiennej.

Kiedy był ranny, a potem chromy,
wszyscy mu pomagali.
Zwykle jaskinia była mu domem,
w nim bliscy sercu mieszkali.

W duchy pradziadów też wierzył.
Rysunki robił w jaskini.
A więc dlaczego nie przeżył,
choć z naszej, z tej samej gliny?

Zaraza, wybuch wulkanu,
powódzie, zmiana klimatu?
A może Człowiek „rozumny?” –
Kain przysłużył się bratu?

Pyłek

Ach jak opisać wesele,
twarze w uśmiechu wiosennym?,
Chcę tu zaznaczyć nieśmiało,
że szczęścia bywa nie mało
skrytego w życiu codziennym.

Więc stoję na dróg rozstaju
i myśli mnie oblegają.
Dziękować temu, co stworzył?
Przeklinać tego, co niszczy?

Tu jaskry w słońcu się błyszczą,
tam bratek oczy otworzył,
a na pobliskiej mogile
siadają białe motyle.

Wiosną, jesienią i latem
tragedia zarasta kwiatem.
Wiatr wzbija pyłków zamiecie.

Cóż więcej powiedzieć o świecie?

Z tomu Człowiekiem jestem

Spadające gwiazdy

Tej to nocy z czystego, nocnego sklepienia
powinny spadać gwiazdy wyjątkowym rojem,
więc nie śpią, lecz hołubiąc najskrytsze życzenia
stoją cicho, by niebo śledzić z niepokojem,

czy im aby kosmosu chmura nie przesłoni.
Od patrzenia w ciemnościach kręci się im w głowie.
Czekają na przybyszy z kosmicznej otchłani,
którzy spełnienia marzeń przyniosą zapowiedź.

Niebo czyste, lecz całe zanadto bladawe,
czyżby to światła fabryk i miast przeszkadzały?
Czy cywilizacji spojrzenie kaprawe
mówi, że zniszczy wróżby, że marzenia na nic?

Jeden błysk widzi ona, on drugi dostrzega,
nieważne, czy to gwiazdy czy samolot miga,
sięgają wyobraźnią tam, gdzie wzrok nie sięga,
marzenie w noc sierpniową z błyskami się ściga

i pod niebem przepastnym, rozjaśnionym nieco
trzymając się za ręce, za pan brat z naturą
nad ciemnymi lasami, nad górami lecą,
nad czernią oceanów, ponad ziemską kulą...
Tam gwiazdy nie spadają, tylko świecą jasno –
bez znaków, wróżb, kosmicznych lecą drogą własną!

Z tomu Znaki zodiaku – miłość pisana wierszem

Szkatuła

Zanurzył się w swoim życiu
jak w rzece srebrnej, błędzącej.
Przeszłość mu była odkryciem
w mgłę rzadkiej, meandrującej.

Była też wiatru zrywami
wśród niewidocznej burzy,
w którą się głową zanurzał
by błędzić między chmurami.

Snula się drogą w przestrzeni
na ziemi i nie na ziemi.
I mijał milowe słupy
doświadczeń, sztuki, nauki.

Tę drogę tylko on widzi.
Czasami trochę się wstydzi,
lecz chętnie i bez wahania
odkrywa też dokonania.

Potrafi z nich kpić pobłaźliwie,
lecz również pyta się chciwie
o wartość tego co stworzył –
czy któryś z marmurów ożył?

Zamyka w srebrnej szkatule
marzenia, nadzieje, pytania,
porażki i dokonania,
skryte radości i bóle.

Niesie szkatułę do Boga
nadzieja go wiedzie i trwoga,
pokaże kim jest i kim bywał
i co przed światem ukrywał.

To spowiedź, czy sąd ostateczny?

Wtem z mroku wyłonił się dzień

i fakt się ujawnił bezpieczny,
że to był sen, zwykły sen!

Zachód słońca w Ustce

Morze – seledyn rozlany,
zachód słońca – złote rzeki
Zapach? – to krzewy różane.

Przy barierce Ona,
chłonąca i skupiona
na chwilę przymyka powieki –
„Jak to zachować na płótnie”?

I opowiada smutnie
że zachód ten sam
lecz zawsze inny

Daj rękę
to jak obraz miłości
wciąż nowej tej samej
zmiennej

jak słońce w złotej koronie
w Bałtyku tonące
z ostrym horyzontu kręgiem
dalekim
czystym
niepokojącym...

Z tomu Świata strony dwie

Krzysztof Saturnin Schreyer

Krzysztof Rudziński

Elegia na śmierć starej mapy

Najpiękniejszą z podróży
jest to wędrowanie
w krainy białej kartki
dziwne okolice.

Trzeba tylko odepchnąć się
od brzegu piórem
schwytanego żar-ptaka,
wysławić. Granicę,
przez którą się tutaj wchodzi,
odnaleźć na mapie.

Rozejrzeć się pogodnie.
Usiąść na kanapie
i chłonąć przygodne
rozkosze i dziwy.

Wnet kraj bieglej linii
przebiega szczęśliwie.
Ile tutaj pór roku
marszczy się i zżyma.
A mizdrzy się do pióra.
Rozpościera w klimat,
który zmienia się,
zwija, powtórnie rozwija,
ulega ewolucji.
Dowolnie przemija.

Kraj to bardzo spokojny,
lecz czasem przesywa
rozpisaną idyllę tam,
huragan w stepie.

Rewolucja nadciąga,
a więc może lepiej
przerwać ją nagłym brakiem
tuszu w długopisie.

Doświadczenie mi mówi,
a może przeczucie?
– Zapewne nie podejmie jej
jutrzejszy ranek.

Dziki urody kraju tego rozpasanie
znaczy podróży kosztur
twórczym tuszubranie.
Skąd je całe pomieścił
w wąskiej rurce małej.

Te magicznych robaczków toczone pejzaże,
te zaklęcia pisarza kreślone w ukryciu,
którymi kraj przemierza
– piękniejszy niż w życiu.

I nikt poza nim nie wie,
nie zna tej pustyni,
co na odległej stronie
praży się w upale.

Tam umiera z pragnienia,
lecz walczy wytrwale.
Jutro odnajdzie studnię.
Gdy tymczasem blisko,
gdy próbował soczewką rozniecić ognisko,
nieposłuszny płomyczek zajął skrawek mapy
bezkresnej wyobraźni.

Ogień strawił wszystko.

Dzień dziecka

W każdym z dni poczętego
trwa ten cud najrzadszy,
że Bogu był niezbędny
czas pod sercem Matki.

Chwila w Wierszach

pamięci Jerzego Narbutta w stulecie urodzin

Dobrze, że są jeszcze
w Kampinoskiej Puszczy
jak stolica Poezji
partyzanckie Wiersze,
w których otworem stoi
kościółek beztrosko,
a pęk ogromnych kluczy
zapomnianych w zamku
jak w czasach Starej Baśni
nie zamyka Wierszy.
Są jeszcze epitafia
z epepei kniei
i flaga narodowa
do góry nogami
poetycznie inaczej,
wszak jesteśmy w Wierszach
a zegar, co się śpieszy
o minut czterdzieści –
mierzy czas Wierszowany.

W końcu i na mnie przeszło
licho czarów Wierszych;
i zapisałem wierszem
jedną chwilę Wierszy.

Krzysztof Rudziński

Olga Wójcik

Niebieski konik

Korporacjom

Kiedy przyjąłeś mnie
byłam jak niebieski konik
wśród innych kolorowych
Potem kupił i ciebie
i nas czarny ogier

I te zielone i te żółte
i te niebieskie i czerwone
Wszyscyśmy zaczęli blednąć
szarzeć popieleć siwieć

Obraz z którego pochodzę
stał się niczym licha
czarno-biała kserokopia

Ucisk był wielki
a nasze twarze
zamieniły się
w smutne podkowy
zawieszzone szczęściem
ku dołowi

Nie było wyjścia
tylko wyskoczyć z ram
tego obrazu
w inny nieznan

Pracuję teraz dla św. Jerzego
Jestem rumakiem z ikony
Święty Jerzy walczący ze smokiem
Widzę sens tej roboty
A moja maść na tle złota
nabrała kasztanowego blasku



Franz Marc,
Blaues Pferdchen, 1912

Little blue horse

To corporations

When you took me in
I was like a little blue horse
amongst colourful other
Until a black stallion
came to purchase yourself and us

And the green and the yellow
and the blue and red ones
We all started to turn pale
gray ashy and fade

The painting I come from
became like a poor
black and white photocopy

The toil was great
and our faces
changed into
sad horseshoes
hung by happiness
downwards

There was no way out
just to jump out of the frame
into another
unknown picture

Now I work for Saint George
I am the steed of the icon
Saint George fighting the Dragon
I see the point of this job
And my colour against the golden background
gained a chestnut glow



St. George and the Dragon
Icon, 14th c.

Agnieszka Syska

tlazototome ic cuica trzech świętych bizonów

Zero

jak możesz mówić nie rozcinajcie ptaków gniazda gnieźdzą się
[jak odgromnione stopy
odgromnikijany mexici miasta jakuby mexici

gniazda są dachami domów macehualtintli
przepierzone macami zjasnookiego nieba
przepiórcze słowa które bały się wydobyć
z siebie oddech

wylatywały zanim pokazał się znak krzaka
jak ugięte bosc kolana pochyl tylko słowo
uzdrowienia duszo moja ciało jak gniazdo
wypadło na ziemię

bardziej boję się rąk czy stóp
ptak wypadł z gniazda gniazdooki

nie rozcinajcie ptaków wypadły razem
ciała nierozcięte przez środek

jak koło patrzy dotyka oko kogo widzi

nie spalimy drzewa na którym gniazdujemy
duch drzewa widzi i idzie nezalhualcoyotla¹

¹ **Nezalhualcoyotl** (także: Netzahualcoyotl, „Nienasycony Kojot”) żył w latach 1402-1472, tj. w czasach prekolumbijskich. Był władcą Texcoco, azteckim mędrcem, uczestnikiem azteckiego trójprzymierza Tenochtitlán- Texcoco-Tacuba. Oddawał cześć jednemu, niewyobrażalnemu i niewidzialnemu Bogu-Stwórcy, zwanemu Tloque Nahaque („Mający Wszystko w Sobie”), Moyocoyani („Tym Który Sam się Stwarza”) lub Ipalnemahuam („Ten, Którym Wszyscy Żyjemy”) – aspekty boga Ometeotl. Swoje wierzenia pragnął rozpowszechnić wśród swojego ludu. Był znany jako autor licznych wierszy i poematów. Niektóre z nich zostały przetłumaczone przez jego wnuka Juan Bautista de Pomar. Należą

ma zan moquetzacan smutny bądź radosny

drzewo i krzak jak woda i góra wypadają
z gniazd na ziemię podnoszą ją radosną
bądź radosny uśmiechu wody i góry

nie spalimy drzewa na którym gniazdujemy
duch drzewa widzi i idzie nezalhualcoyotla

słońce spada w dolinę nocy na dwa księżyce

kojot jak pies ma pieśń dwóch księżyców
dnia nie spalonego pali się nie spala się

stopa od gromu z wyciszzonej nasłuchującej dnia nocy

pieśń dwóch słońc

dwa serca drzewa i krzaka
wyjmiemy nocną rękę z ciszy
stopę z ciszy nie bój się rąk dotyku nóg

Zero zero

czy jesteś rozpogodzony nad rzeką
rzeka wisi u podstopia góry
stopy twoje bez ruchu w trawie

w trawie więcej ruchu na wiatr zbierają się ręce i nogi

zagrzeją cię do pierwszego boju

rzeka sama wejdzie ci pod stopy powie twoim stopom kochamy cię ja i ręce

do nich m.in. *To ty?*, *In chololiztli* (Lot), *Ma zan moquetzacan* (Wstań), *Nitlacoya* (Jestem smutny), *Xopan cuicatl* (Piosenka o wiośnie), *Ye nonocuiltonohua* (Jestem bogaty), *Zan yehuan* (On samotny), *Xon Ahuiyacan* (Bądź radosny).

mylisz się goły duchu jeśli mówisz
nie mam ciała stworzyłem sam siebie

jestem siedzeniem w wierszu

w wierszu płyniesz rzeko góro pod moje serce

nie ma oka rzeczywistego jak dzień co noc stwarzający z siebie dzień

do dnia ciebie stwarza

mój wiersz goły z nas dwojga

nie mnie widzisz mój wiersz

mój wiersz goły za nas dwojga

do wiersza mówisz wiersz widzisz

nie minie cię rzeka nieba góra patrzy
widzi cię pod sobą

aż zobaczysz zejść niżej wiersza
wyżej

nurtem ciszy podnosi wzbiera poziom rzeki wylewam się na twoje serce

zabieram cię do środka siebie

płyniesz wpływ wiersza jesteś pierwszym
co przepłynął wiersz niewidzialny
w ciszy serca

zabieram cię do środka siebie

widzisz po tamtej stronie święty biały
bizon
płynie rzeka bizonów jak szczytów górskich

biały
bizon

apache zdejmują klekiego petrę z gniazdowania

wyschła nam noc

gdy ty jak trawa na moich stopach przyuściach

świeża poranna rosą

przyuścia

masz ciało stworzyliśmy sami ciebie

29.12.2019

Zero zero zero

nasze białe bizony są gołe jak złoto
białe od świętości

słońce je okrywa jak zachariasz elżbietę
rodzi się święty bizon

co jest jak eliasz taborem przemienienia
koła drewniane toczą się mimo naszych tipi

jadą w górę błogosławiony między prorokami taborów

góra błogosławieństw mówi to on poruszył się radosny tak pozostał

między prorokiem jezusem możeszem
eliaszem zapisane imię

rodzony skóra grota szarańcza głos spadający jak elżbieta cicha
jak zachariasz cichy

on cię nie porzucił elżebito

przyszły wszystkie błogosławieństwa
rozsiadły się w twoim tipi

twoimi tipi debory wołają miodu
pośród trawy czai się ognisko i mąka
trzy placki jak dwie ryby jak ręce

ona nie porzuciła was zachariaszu

Wzgórze Maksymiliana

o, pasiakami płyną wzgórze białe
wzgórze niebieskie

ryba co z ognia z wody wyskoczy

z sieci z bukłaka z miecha

z garncarskiego koła wkoło idą schody
białe do nieba

czekają ręce podwójne

podniebni niepokalanej bieli nieba obłoczni

czekają ręce podwójne

w koło idą schody
białe do nieba

ze wzgórza maksymilianowego

pasiaki
białe czerwone na prawym sercu

białe morza gdyńskie miecz niebieskie
morza

archanioł niebieski maksa amber mak sky miły jan

bursztynowe słońce dwukoronne

gdańskie morza gdyńskie

bursztyn słońca już się opuszcza na morze

sędziowie ostateczni wokół tarczy słońca
koło panokratora przekłada pasy białe niebieskimi

koło tkackie warszatownia niepokalanego

na słońcu siedzi sąd nad dniem ostatecznym opuszczeniem ducha

jak mgła nad morzem wzięcie ducha
nieba

białego

gustaw memling czeka aż się zabierze
ze statkiem pod niebo

schody nabierają prędkości ostatni schodek w ręce twoje ducha mojego

słońce oddala się od ziemi pasy czasu
przezroczyste są oczy bursztynowe

otwarta drabina schodzenie z grobu
w jerozolimie

wzięcie dwóch rąk jak dwóch koron
oczu i ust otwarcie z czasu

statek podniebny na wzgórzu pasy drzew białe morze niebieskie wzięcie
ze wzgórzem dwóch ryb schodów rąk naramiennych czasu białego
[i niebieskiego

pasiaki białe niebieskie obłoki wschodzenie drabiny schodzenie ciała

Gdańsk, 25.08.2019

Agnieszka Syska

Janusz Andrzejczak

Podróż do domku

Został mi tylko jeden dzień.

A później – w drogę.

Jeden dzień to bardzo, bardzo krótko. Chociaż niekoniecznie. Jeżeli względem godziny, to dość długo, jeżeli względem minuty, to (prawie) wieczność.

Mam już bilet. Ulgowy (dla seniorów), w I klasie. W pierwszej, nie drugiej, bo nawet jeśli wszystkie miejsca będą zajęte, to w przypadku klasy II będzie zajętych 8 miejsc, a w przypadku I tylko 6. To jest różnica, głównie w nogach, czy mają więcej swobody, czy mniej. Z nimi, z nogami, zawsze jest największy problem. Niosą, są ociężałe, nie ruszają się w ogóle, wierzgają lub kopią. Trzeba im dać jako-taką swobodę, bo jakkolwiek spętane, nie poddadzą się. Nogi czasem znaczą więcej niż ręce, bo w miarę chociażby zdrowy człowiek może nic nie robić, ale jednak musi czasem choćby kilka kroków pójść, choćby do WC.

Bilet jest z miejscem przy oknie. Zasadniczo mało kto pyta, czy krajobraz za oknem napiera na nas, czy się oddala. Teraz jednak bezwzględnie zależało mi na miejscu tyłem do lokomotywy, czyli z krajobrazem, który mija. Tak zresztą można zobaczyć o wiele więcej.

Pojedyncze drzewa, lasy, łąki, pola, ciągnik z przyczepą jadący w stronę wsi, mokradła z suchymi brzoźami, ścieżki, drogi bite i asfaltowe, przed którymi stoją psi, rowerzyści, motocykliści, kierowcy, pojedyncze domy ukryte w kępie drzew, wsie, miasteczka, miasta, przedmieścia i znów pola, lasy, łąki, drogi... Dzieci idące do albo ze szkoły, rolnik grzebiący przy ciągniku albo sikający za stodołą...

Więcej saren, żurawi, dzikich gęsi, zajęcy, bażantów, dzików niż krów, przydomowego ptactwa. Tylko pieski wszędzie. Obszczekujące pociąg. Gdzieniedzie kotki, zawsze albo czarne, albo białe, bo innych w pędzie nie widać.

Ale przede wszystkim – myśli. Myśli rejestrujące rzeczywistość zaokienną, ale rzeczywistość zaokienna mija tak szybko, że nie ma tu mowy, trudno to nazwać myśleniem. Myśli uciekają. Ledwo myśli o brzoźach na bagnie, już myśli o lesie, jakie w nim drzewa, ile w lesie dziupli i co robi

w głębokim lesie człowiek, gdy to nie pora ani na grzyby, ani jagody. Może idzie pooglądać drzewa, które wytnie w niedzielę, zapakuje na wóz i wywiezie na sprzedaż? A może idzie po lesie, bo lubi chodzić po lesie? Coś do mnie podobny ten człowiek... Najbardziej podobny w tym, że przepadł, zanim zdążyłem mu się przyjrzeć.

Pora mi jechać.

Mógłbym nie jechać, oddać bilet, ale nie chce mi się nie jechać, czyli chce mi się jechać, a nawet – muszę, muszę jechać. Za daleko to wszystko zaszło, bym nie jechał. Tam – na mnie czekają. Tłumy czekają. Tutaj – kilka osób zaledwie. Ale nie chodzi tu o liczebność, tylko o rozłąkę. Jednych widywałem nieomal codziennie, drugich tak dawno, że nie pamiętałem już jak wyglądali. Jestem ciekawy wszystkiego. Przede wszystkim tego, co nie przyszło mi do głowy wtedy, gdy miałem z nimi kontakt. Na przykład zadałbym pytanie o dziadków moich rodziców. Skąd przybyli, co robili. Albo brata bym zapytał, jak nazywał się jego przyjaciel, który dawno temu pożyczył ode mnie teatralne binokle. Mnie się wydawało, że były ze złota. Miał to sprawdzić. Na pewno sprawdził, ale jakoś po tym znikł mi z oczu. Zapytałbym też mamy o ukochaną ciocię, która zbyt szybko odeszła.

Czekają tam na mnie również kotki i pieski, ale też kurki, które dawno temu skracałem o głowę. Wszystkie te zwierzątka chciałbym przeprosić, że nie zawsze byłem dla nich dobry. Nie żebym je krzywdził (prócz kurek), ale zdarzało się kilka mocnych smyczy, gdy pieski zwarły się i nie wiedziałem co robić, by się nie zagryzły. Tęsknię zwłaszcza do spotkania z Karmelkiem, jednym z największych przyjaciół w całym życiu. Chłopiec idący przez las do szkoły znalazł go przywiązane do drzewa. Nie od razu go chciałem mieć, bo już miałem pieska. Ale nikt go nie chciał, bo brzydko pachniał, miał jakąś infekcję skóry. Ale został. Był w tamtym czasie moim największym przyjacielem. Nie odstępował mnie na krok. Jadę, by dalej tak było. Gdy znów się spotkamy, przytulę go najczulej na świecie.

Jestem zmęczony. Napracowałem się już. Zasłużyłem na podróż. Pora mi jechać. Gdziekolwiek. I gdziekolwiek wysiądę, będzie to koniec podróży. Żadnych przesiadek, bo jeszcze się rozmyślę.

Jeszcze tylko poprzeglądam to i owo w swoim pokoju, by za wiele nie myśleć. Tak, mam reisefieber. Zawsze tak miałem. Nienawidzę spóźniania się, dlatego wolę być daleko przed niż za późno. Będąc przed czasem, też się denerwuję, że się spóźnię, ale o wiele, wiele mniej. Sprawdzam zegary, czy są zgodne. Jeśli tak, czekam spokojnie, ale i tak poczucie prawdziwej ulgi mam dopiero wtedy, gdy jestem w swoim przedziale.

Przeoglądam półkę za półką. Zawsze znajdzie się książka, która nie jest na swoim miejscu. Np. powieść znaleziona w atlasach. Co robi Gogol między atlasem owadów leśnych a ptaków? Co robi atlas grzybów chronionych między Miłozsem i Sępem Sarzyńskim? Za chwilę wszystko jest na swoim miejscu. Jakby to wobec podróży miało jakiegokolwiek znaczenie. Jeszcze po kolei otwierane szuflady. W niektórych zawsze jest coś do przedstawienia.

Na koniec – dwa ustawione na szóstą rano budziki. Dwa, gdyby jeden albo drugi zawiódł.

Rozkładanie pościeli. Zawsze rozkładanie jest miłsze od składania. Rozkłada się, by odpocząć, zasnąć, składa zaś przed każdym wyzwaniem, jakim jest dzień. Bardzo często bywało, że dzień był tak intensywny, tak mozolny, tak trudny, że nie miałem siły rozkładać pościeli. Udawało się to dzięki nadludzkiemu wysiłkowi woli. Nie pamiętam, bym kładł się do snu w ubraniu. Bywało, że ze zmęczenia nie mogłem zasnąć. Zamiast leżeć spokojnie, nogi wciąż jeszcze chodziły, ręce pracowały, a głowa zavalona była myślami co jeszcze mam do zrobienia.

Już jestem zmęczony tym wszystkim.

Jadę do swojego domku na skraju puszczy, który budowałem przez całe swoje życie. Zaczynałem je od dachu, by chronił mnie przed deszczem, śniegiem, słońcem. Jedna ręka go podpierała, a druga budowała ściany. Na koniec zostawiłem sobie okna i drzwi.

Wystarczy, że się pojawię, zlecą się na skrzydłach wszyscy ci, którzy zaznaczyli się w moim życiu.

Żał mi tych, których tutaj zostawię, ale przecież oni do mnie dotrą.

Nie przeżyłbym, gdyby to oni udali się w podróż, a ja bym został.

Janusz Andrzejczak

Tamara Bołdak-Janowska

Ze zbioru dialogów WISZĄCA KURA

Krótki dialog Tamary BeJot i Tola Sza

Ptaki i przyspiewki chmur. O bezsensie sensu

Tolo: Ja zaczynam nasz krótki dialog. Od razu pytam: czy sen coś pomieszal? Nie. Z siebie nic nie dodał, nic nie ujął – uruchomił tylko swoją wialnię i posiał rżęsiście, co tej nocy miał. Widziało się i słyszało. Ty nazwiesz to białoruską groteską. I kategoriycznie dodasz, że źródło groteski jest białoruskie. No to zagroteskujmy ptaki. Śmiech zbawi świat.

Ptaki należą do ptaków, lecz mowa była o jesieni. „Czas odlotów przekroczyć już próg”.

Zjawił się wielopióry zbór; ptaszki i ptachy pospolite i niepospolite, i zamorskim tranzytem.

Dyblik Grosz ścierw ścierw, kuzyn Podrupiecika Pospolitego cierwik cierwik (słyszysz ten akcent na wik?), krewni wróbla, on ćwir, on świr i ćwierci ćwierć. Znaki przestankowe takie, ja tu, są i nie – o, masz tu tekst. Polonista od wypracowań się wzdrygnie.

BeJot: A niech. Znasz zasady, już nudzą, więc łamiesz.

Tolo: Cyrulica Plujka o fe, o fe naplute!

Corombel Gontarz Cmentarny i tu, i tu!

Cepigłówka Roztropna nie ja, nie ja!

Błaszanka Rdzawik przeciek, przeciek (ach, ten zadarty akcent na ciek), i siur! A na niebie już się rozpoczął spektakl pożegnalny. Rozcapiór-Gracz zanosił się szeroko „Pamiętasz, była jesień, gałąź numer osiem, cienia mrok”, a Samochciejka Pochotliwa, krążąc na dotyk, dusznym głosem oddawała „Po kryjomu całowałaś moje skrzydła”; treść jak najbardziej, o, jak najbardziej... „Kochany wróć”.

Ponieważ „Pożegnania” słyszeliśmy nie raz i znamy prawie na pamięć – sława im sława – to sen postanowił odświeżyć umysł rzadszym wiatrem. W ptactwo rzucił. Ptaki odlecą i przylecą, i od nowa zaczną się harce ekumeniczne. Ścierwik-Zalotnik nie odpuści Pochotnicy Uchylnej – będą hałasować, hałasować;

Pociejka Ścierwonoga napluje i zatrze przyk-przyk, a Paskud Rospupik krzyknie zza krzaka: tu sraka, tu sraka!

Nic nowego pod słońcem – wszędzie człowiek – kucał czy stał – ale serca ma kawał. Ludzkie serce się przemieszcza, a choćby i w ptaki. W krzaki. W śmiech. Odrobina ludzkiego serca powoduje czucie, nawet kamień czuje przynajmniej jeden palec, wielki jak czoło i niezupełnie określony, ale jednak palec, bo się człowiek nad nim pochylił i zachwycił.

BeJot: Sam kiedyś uczłowieczyłeś kamień w poetyckiej miniaturze:

Czyżby kamień poruszył się?

Ależ nie.

To tylko chybotliwy cień mojej głowy
ożywił jego twardą twarz.

Tolo: A chmury? Spłynęło z góry. Podnieś słuch wyżej, wyżej, bo my, chmury, mamy własną operetkę. Pośliń swe oczy, pośliń i patrz. Teraz ty.

BeJot: Dopiero przy Paskudzie Rospupiku domyśliłam się, że powymyślałeś te ptaki. Co za udane nazwy!

Tolo: Coś ty! Ptaki są prawdziwe. Co do nazw, imion – Pan Be był sam ciekaw, jak człowiek co ponazywa. No więc moje nazwy/imiona zawierają charakter istoty. Mów ty.

BeJot: Może być ptak Górowica Skrzypka? Coś jak skrzypiąca góra? Mam przyśpiewki chmur, a one mi się śniły, dosłownie następująco:

Aśta, aśta, dycha, dycha,

ta planuje, ta oddycha.

Gibu, gibu, skrzypu, skrzypu,

morda Krzycha, dupa Krychy.

Tolo: Pokażesz to? Tę mordę i tę dupę?

BeJot: I to, i to można zrobić biustonoszem lub poduszką. Żeby wyszły policzki lub pośladki.

Tolo: No tak. Ale...

BeJot: Coś innego wymyślę, ale co. Biustonosz może udawać łabędzia, a ściślej część łabędzia. Tę najbardziej łabędzią. Część skrzydła, górną. Mam taki nieużywany biustonosz, a jego rozmiar przeogromny, wprost łabędzi.

Tolo: Nie. Zapomniałaś, że miała to być okrągła poduszka w rajstochach, raz do góry, raz w dół? Jak w dół, to dupa Krychy na powiewających nogach, cienkich jak w sytuacji otłuszczenia serca, kiedy ciało otyłe, a nogi jak wiotkie patyki, a jak tę poduszkę trzymasz do góry, to wyjdzie morda Krycha, i miętolisz rajstopy, żeby wyszły uszy.

BeJot: Zapomniałam. Ciągnę przyśpiewki chmur, a jest to bezsens, lecz bardzo udany, pociągający, śmieszący, i ostatecznie zawiera sens, bo to uczłowieczone chmury, zdolne do przyśpiewek:

Bešta, bešta, ešta, ešta,
 ta jak kołdra, ta jak pestka,
 i jak zdanie, i jak kwestia,
 i jak sanie, i jak bestia.
 Pielu, pielu, dzielu, dzielu,
 ta jak jedna, ta jak wielu,
 i bez czoła pędzi beret.
 Biku, biku, pstryku, pstryku,
 ta na żbiku, ta w jamniku,
 na sprężynie i na ćwiku,
 w kapuścinie i w szczawiku.
 Piąta z grzywką, grzywki trzy,
 osiem pluskiew świeci z łyzy.
 A w rozecie krzywy krzyż,
 jama wstaje łyżką z kry.
 Ty dokończ.

Tolo: Wtem przerebel, a w nim oko –
 ktoś utopił się wysoko.

Ale spoko, ale spoko,
 bo na ziemi człek się pieni,
 pleni, pleni, pełźnie sobie,
 chwast i chwaścik, kwiatem cieni.

BeJot: Dokończę jesienią:

A w kałuży pstryku, fiku,
 dużo brązu jak w pierniku.

Dodam sensowniej: ktoś większy od człowieka ujrzałby życie ludzkie jako ciąg obrazów, powiązanych rytmem, i ni to poruszających, ni to śmiejących, stanowiących ni to sens, ni to bezsens – ni to z zasadą gramatyczną, ni to bez niej, kiedy ona sama z siebie narusza się u tego kogoś, obserwującego – i w sobie sama z siebie efektuje się dla śmiechu, panując w ten sposób nad językiem obserwowanego, i ma się wrażenie, że język to żywe jestestwo, i wszędzie pełno świadomości – mojej, twojej, ptasiej, w niebie i na ziemi, i jest to logiczne, a zarazem nie. To sens bezsensu i odwrotnie. Twoja jawa jest moim snem, a moja twoim. To możliwe, jeśli obserwujący i obserwowany, to znaczy, jeśli jestestwo obserwujące i obserwowane tworzą jedną kognitywność, wzajem zależną, a jeśli niewspółmierną, to sobie przychylną, bez wzajemnej wrogości. Umiemy mówić, śpiewać, dowcipkować (nie tracąc powagi ani poczucia tragizmu śmiertelności). Znamy słowa. Wyczuwamy Harmonię Kosmosu. Wiemy, że nie przekroczyliśmy siebie,

żeby odpowiedzieć, czym jest Harmonia Kosmosu, to znaczy: co jest jej podściółką, stałą. Najtrafniej ujął to Jan Twardowski:

Kto wezwał? Kto przywołał?

Skąd sny, co to przygnały?

Przed własną tajemnicą

Przyklękam taki mały...

I to wszystko.

Pa prostu byłob: Chto wyklikaũ? Chto pryklikaũ? / Adkul sny, szto ũsio heta nam pryhnali? / Pierad ũłasnaj tajemnicaj/ kleńczu ja taki mały.../ I heta ũsio. Dodam: Możesz mieć pewność tego-oto szczegółu... I to wszystko.

Skupiona uwaga chłonie drogę i zdaje się być zajęta czuciem nieśmiertelności.

U Platona jedynym prawdziwym światem jest jedynie świat idei.

Nieśmiertelne pozostaje tragiczne pytanie z Dostojewskiego: Jeśli Boga niet, to kakoj że ja kapitan? Nie można zapomnieć tych słów.

Człowiek może być tak nieśmiertelny, że jego słowa pamiętamy długo.

Długo. Tyle trwa ludzka nieśmiertelność.

Łaćać niedakurki jak miartwiaki biez truny. Zdajecca, szto na śpinie.

Toło: Mówisz: „długo”. Mimo to jako ten zmęczony listek chętnie i skwapliwie potwierdzą: długo. Tam, gdzie spotykają się ludzkie losy, wiecznie przecieka kran. Coś pozostaje nieodkryte, coś się dzieje i dzieje poza wolą.

Zanotowałem zdanie, które zapisałaś w nocy, nabazgrałaś, odczytałem: Olbrzymim czyni człowieka jego smród.

BeJot: Pa-prostu byłob: Szto robić czaławieka wielizarnym – jahony smurod. Czaławiek heta śmiardziaczaje stwareńnie. Praz tydzień ni pamyjaca i zaczynaja śmiardzić. Bolsz nijaki źwier tak ni śmiardzić. Moża jak chadziũby hoły, ta ni śmiardzieũby. Scaũby, sraũby ũ ziarnu, a ni ũ bialjo.

Tia... Żyli, byli na świeci dzie i baba, i była u jich kuraczka raba...

Wieciar padlazaja pad sraku chałodnaju aħładkaju. Každy smażony placek nazywališmy: aħładka. Mucznyja aħładki, kartaflanyja aħładki.

Spadający liść jest pozbawiony sensu w sposób absolutny. Dokąd – to już nie pytanie. Ani dzielność, ani wiosenność, choć nadal materia. Mogę narysować, a szybko, bo wiatr oczyści miejsce.

Sięgam po chusteczkę z lewej strony, kilka razy nie trafiam, a przecież wystaje z kieszeni, patrzę dokładniej, a to miga gołąb tak samo obrębiony, różową koronką i tak samo brudno mleczny, jak włany w butelkę z plastiku, i wystający z boku mego.



Coś. Co. Nie ma chwili, nie zanotowałam, bo zapomniałam notesu. Taka przyczyna niebystwa.

Śni mi się anioł, który wymaga mego podpisu. Podpisuję się i podpis ciągle znika. To ma być podpis, umożliwiający wejście w zaświaty. Podpisuję się mocniej, prawie że wydrapuję podpis, i nic. Znika.

Tolo: Sny są najmocniejszym naszym dzianiem się. Gombrowicz w „Dzienniku” o tym mówi. Według niego są to wewnętrzne obrazy artystyczne, dopracowane, nie poprawisz. Doskonałe.

BeJot: A ten anioł zajmował całą widzialną przestrzeń i zarazem stanowił kartkę. Była to wielka jasność. Nie było twarzy. I słyszę naszą piosenkę: Hop, hop, czarawiczki, maje wasiloczki. Palubiła Wasilka, choć jon niwialiczki. „Niwialiczkaść” u nas ni była czymś kiepskim u muzyka. Skoro potrafimy wyśpiewać miłość do niewysokiego mężczyzny, to jesteśmy wielcy. Nasz folk jest wielki. Żywi, niwialiczki Wasilok!

Dziaciństwo z daleka śpiewaje. Kałychanka śpiewaje i płacz śpiewaje.

Bóg powstaje nam przy całkowitym braku zewnętrznych bodźców. Dlatego najwyraźniej daje go pustynia. Matka nie mogła czytać na starość. Bolały oczy. Jej mózg nasuwał na nią dzieciństwo, matkę, zmarłych. Sprawdziłam to na sobie. Przez jakiś czas nie mogłam czytać ani pisać. Włączyłam na chwilę piosenkę „Konik, mały koń na biegunach” w wykonaniu Urszuli. I mój mózg przez tydzień huczał mi tą piosenką. Tak pracował. Nasyłał na mnie to, co miał. Samotność (medytacyjna) na pustyni nasyła przez mózg przyjaciela, Boga, Coś, Obecność, Cokolwiek.

Tekst i grafika: Tamara Bołdak-Janowska

Krzysztof Choiński

Tułaczka wrześniowa 1939

(fragment powieści *Polski los*)

Dzień wstawał ciepły, resztki lekkiego chłodu nocnego ulatniały się szybko. Furmanki jechały wolno, podskakując w koleinach leśnej drogi. Osie skrzypiały, od czasu do czasu parsknął koń. Zbliżali się do szosy. W gałęziach drzew ptaki prowadziły jakieś dialogi, rozumiały tylko dla nich. Maria rzucała niekiedy okiem na męża, zaniepokojona bezruchem jego przygarbionej sylwetki. Czy i jemu tłukło się po głowie ponure stwierdzenie „To koniec. To koniec”? Ona sama nie mogła zebrać myśli, osaczona przez wspomnienia ostatnich dni. Zbity szereg wozów, platform, wózków ciągniętych ręcznie, ciżba ludzi idących pieszo z tobołkami i walizkami, maruderzy siedzący na skraju pól w zupełnym wyczerpaniu, z oczami tępo wbitymi w ten apokaliptyczny obraz. Narastający warkot silników, okrzyki „Lotnik! Kryj się!”, ucieczka do rowu, próby wyjechania z tłoku w boczne drogi, łoskot karabinów maszynowych, które siały z góry śmierć – wszystko to zlewało się w ruchomą i bezsensowną całość, tak bezsensowną, że robiła wrażenie upiornego snu. W końcu wypatrzony na mapie objazd wprowadził ich w las, gdzie było coraz ciszej w miarę oddalania się od szosy.

Potem znowu jednostajna jazda, z postojem przy leśnej studni, bo zwierzęta już ledwo szły, dręczone pragnieniem, a na zakończenie zaskakująca decyzja Bronisława:

– Stać! Zawracamy!

– Ale, panie naczelniku... – próbował oponować powożący ich furmanką przodownik Szyrko.

– Wracamy na szosę!

Bronisław dodał pod nosem:

– Tam jest za spokojnie. Nie podoba mi się to.

I wreszcie spotkanie z podjazdem ułańskim, który zamajaczył w tunelu drogi, by po krótkim czasie zrównać się z nimi. Jadący na czele oficer dał rozkaz zatrzymania się i spytał, salutując:

– Dokąd państwo jadą?

– Do Łucka – odrzekł Bronisław. – Dostałem rozkaz ewakuacji dla całej straży więziennej.

– Bolszewicy przekroczyli o świcie granicę. Radziłbym tam nie jechać, bo mogli już zająć miasto.

W zapadłej ciszy słysząc było parskanie umęczonych koni i bulgot wody, którą pił z manierki jeden z ułanów. Władysław zobaczył tuż przed sobą łeb gniadego wierzchowca i jego piękne oko. Wyciągnął rękę i pogłaskał aksamitny policzek zwierzęcia.

– A pan, panie poruczniku? – zapytał Godlewski.

– Wracam z rekonesansu. Nasz pułk idzie w kierunku Lublina.

– Tam są Niemcy.

– Będziemy się bić. Tu mamy unikać starć z bolszewikami. A państwu naprawdę radzę zawrócić i omijać miasta. Żegnam.

Oficer zasalutował, oddziałek liczący kilkunastu ludzi ruszył stępą, potem przeszedł w kłus i po chwili widać było już tylko końskie zady i plecy jeźdźców z ostatniej trójki. Kawalerzyści rozplłynęli się powoli w żółknącej zieleni.

– Jedziemy – powiedział Bronisław prawie szeptem.

Maria nie zapytała, dlaczego zignorował radę ułana: widać miał jakiś plan. Pozostali pasażerowie furmanek – Godlewski, Szyrko i trzech strażnicy – też nie protestowali, przyzwyczajeni do wykonywania rozkazów bez słowa. Dopiero po jakimś czasie Bronisław powiedział, teraz już wyraźnie i głośno:

– Na szosie spróbujemy pojechać pod prąd. Może uda nam się ukryć w tłumie.

Nikt nie skomentował. Było jasne, że Rosjanie dogonią ich tak czy tak, a na leśnych drogach stanowiłoby łatwo widoczną zdobycz. Zaś wybór między dżumą a cholera wywodził się oczywisty, należało wracać do domu.

Zza drzew dobiegał znajomy turkot setek kół, rżenie koni, ale wrzawa ludzka zdawała się mieć jakiś inny charakter. Maria chciała krzyknąć, że może jednak lepiej zawrócić; było za późno.

Od szosy doszedł ich głuchy pomruk silników. W pierwszej chwili do uciekinierów nie dotarło, co to takiego, przez te wszystkie dni nie spotkali czołgów. Teraz zobaczyli, że wzdłuż szosy, miążdząc krzewy na poboczu, posuwają się dwa pomalowane na zgniłozielony kolor potwory. W otwartych włazach wieżyczek widniały wyprostowane sylwetki w hełmach z czerwonymi gwiazdami na czole. Mgła spalin owiewała pojazdy czymś

w rodzaju woalu. Ryk silników i zgrzyt gąsienic wzmagaly upiorne wrazenie, spowodowane przez tę prawie nierealną scenę.

Godlewski poruszył lekko lejcami, ale Bronisław ujął go stanowczo za łokieć. Maria zaczęła się modlić bezgłośnie.

Czołgista wyszedł z włazu, podszedł do furmanek, w końcu wspiął się na palce, chwycił za miniaturkę Krzyża Niepodległości wpiętą w klapę marynarki Korowskiego i wyszarpnął ją, wrywając kawałek materiału, a potem cisnął daleko na bok.

Gdy zwrócił się ku Marii, na jego ogorzalej, zadartonosej twarzy odmalowało się coś w rodzaju wahania. Władysław sprężył się do skoku, wbijając dłonie w deskę. Przez głowę przeleciała mu błyskawicznie myśl, że i tak zginą, ale ten dzikus nie dotknie matki. Oficer wskazał na odznaczenie w klapie żakietu i powiedział:

– Wy sama.

Powoli, bardzo wolno odpięła krzyżyk, zamknęła go w ręku, a potem zrobiła ruch, markujący wyrzucenie odznaczenia w krzaki. Ich oczy spotkały się na sekundę; odniosła wrażenie, że na ustach czerwonoarmisty zamajaczył cień uśmiechu.

– Nu i ładno – rzekł Rosjanin. – Tępier pojechali.

Odwrócił się i wskoczył na pancierz, ale nie wszedł do włazu, tylko powiedział coś, pochylony ku wnętrzu maszyny. Czołg ruszył, furmanki potoczyły się za nim, poganiane władczymi gestami. Po chwili drugi dołączył do nich, zamykając mały konwój

Wlekli się teraz w milczeniu, przygniecenii straszliwą myślą, że to już koniec, naprawdę koniec. Dowódca patrolu jakby przestał interesować się jeńcami; stał wsparty łokciem o wieżyczkę, zamieniając czasem krótkie uwagi z czołgistą, którego głowa wystawała z włazu. Zdawało się, że ta powolna jazda będzie trwać bez końca. Bronisław siedział jak skamieniały, twarz zapadła mu się i zszarzała, mocno zaciśnięte dłonie trzymał na kolanach. Nagle wszyscy nastawili uszu: z przodu słyhać było sapanie lokomotywy. Konwój ominął kępę drzew i stanął.

Mieli przed sobą, nieco po lewej, przejazd kolejowy z otwartym szlabanem. W poprzek toru stały dwie ciężarówki, kilka innych otaczała chmara żołnierzy, zeskakujących jeden po drugim na ziemię. Jakies trzydzieści metrów przed przeszkodą zatrzymał się eszelon, z okien wagonów wystawały lufy karabinów, na odkrytych platformach widniały nad barykadami z worków głowy żołnierzy w polskich hełmach piechoty. Wszyscy trzymali broń gotową do strzału. Stanowiska cekaemów skupiały kilkuosobowe

obsługi. Sylwetki żołnierzy sowieckich rozsypywały się po rowach i zarosłach, otaczając pociąg coraz liczniejszym pierścieniem. Nieco dalej zataczano dwa działka piechoty z lufami skierowanymi w stronę eszelonu.

Przy pierwszym wagonie kilku oficerów rosyjskich, obwieszonych mapnikami i bronią, rozmawiało z dwoma oficerami polskimi, stojącymi w otwartym oknie. Marii zdawało się, że poznaje w jednym z nich majora, który w czasie zeszłorocznych obchodów 11 Listopada towarzyszył dowódcy Okręgu Korpusu.

Dowódca patrolu pancernego dał znak szerokim ruchem ręki, po czym drugi czołg ominął wozy i oba pojazdy ruszyły w stronę pociągu. Kiedy już dotarły na miejsce, lejtenant zeskoczył na ziemię i dołączył do mężczyzn stojących pod oknem wagonu.

– Nie chcą się poddać – szepnął Szyrko.

Bronisław powiedział przez zęby:

– Wycofujemy się, tylko powoli i ostrożnie.

Oba wozy zaczęły wykręcać. Nikt nie zwracał na nie uwagi, napięcie na przejeździe zdawało się gęstnieć z każdą chwilą. Uciekinierzy wjechali bardzo wolno między drzewa i zagłębili się w przesiekę prostopadłą do szosy. Konie szły stępa, ze zwieszonymi głowami. Oprócz sapania lokomotywy i słabo słyszalnych głosów ludzkich od strony pociągu dobiegały od czasu do czasu pojedyncze trzaski. Maria spojrzała na syna. Zrozumieli się bez słowa: to były strzały samobójcze.

Dalsza jazda przez las, a później znowu szosą, na którą wyjechali dobre dwa kilometry od poprzedniego postoju, pozostawiła w pamięci Marii dalszy chaotyczny zlepek obrazów i zdań. Wywiązała się dyskusja, czy jechać na zachód, czy też kontynuować podróż do Łucka. Ktoś ostrzegł ich, że na linii spotkania Rosjan z Niemcami zabito pono kilka osób, które upierały się przy powrocie, a na dodatek panowało tam napięcie i nie wiadomo było, czy nie dojdzie do walk. Uznali ostatecznie, że należy jechać do Łucka i zgubić się w tłoku.

Bronisław powiedział:

– Nie przyjdzie im do głowy, że możemy leżeć prosto w paszczę smoka. Będą nas szukać na zachód od tamtego miejsca.

Maria zapamiętała szeroki ruch jego ręki, kiedy wyrzucił do rowu, możliwie najdalej, zawinięty w chustkę z legitymacją służbową browning. Na jej spojrzenie uśmiechnął się gorzko:

– Przez cały czas myślałem, że jak znajdą przy nas broń i dokumenty, nasz los będzie od razu przypieczętowany.

Poradził, żeby reszta ekipy zrobiła to samo. Godlewski odmówił, ale strażnicy wydobyli karabiny ukryte pod kocami i owinąwszy je starannie brezentem zakopali w dość charakterystycznym miejscu, w kępie młodych dębów.

– Przecież przy pierwszej rewizji zastrzelą pana – próbował perswadować przodownik.

Młody oficer machnął ręką.

– No to najwyżej. A jeżeli nie, to broń przyda się na później.

Ukryci w potoku ludzi i pojazdów dotarli do pierwszych domków Łucka. Nieliczne posterunki rosyjskie czuwały przy drodze, zatrzymując od czasu do czasu ruch, by przepuścić ciężarówkę pełną żołnierzy lub oddział maszerujący pieszo. Władysław zauważył, że coraz częściej trafiają się czerwonoarmiści w mundurach zniszczonych, spłowiałych, z karabinami przewieszonymi przez ramię na grubych sznurkach. W czasie tych przymusowych postojów uchodźcy patrzyli na wrogie wojsko bez słowa, czekając na upragnioną chwilę, w której będą mogli znowu ruszyć.

Konwój Korowskiego wykorzystał niewielką przerwę w tłumie i zjechał na rozdeptany skwerek. Upał dokuczał coraz bardziej, jeszcze dwie grupki oddzieliły się od pracy naprzód masy ludzkiej i obległy sadzawkę, na której dnie było trochę wody. Dwaj mężczyźni manipulowali przy kranie zapełniającym basenik, ale bez skutku.

Bronisław rozejrzał się i powiedział:

– Tu się rozchodzimy. Niech każdy szuka noclegu i sam decyduje, co dalej. W gromadzie rzucamy się w oczy. Dziękuję panom.

Zeskoczył ciężko na ziemię, uściśnął dłonie podwładnych i zabrał się z synem do wyładowywania bagażu. Pozostali jakoś trochę marudzili, Szyrko i Godlewski zaczęli pomagać Korowskiemu.

– A co z państwem będzie? – zapytał cicho Szyrko, postawiwszy ostatnią walizkę na ziemi.

Bronisław bez słowa wzruszył ramionami.

– Będziemy pamiętać. Był pan dla nas jak ojciec. Niech państwa Bóg prowadzi.

Korowski skinął głową na podziękowanie.

– Konie i wozy radzę sprzedać, bo to też zwraca uwagę – rzekł na pożegnanie. – Wszyscy jesteśmy zagrożeni.

Mężczyźni po kolei ucałowali rękę Marii, która miała łzy w oczach, wymienili uścisk ręki z Władkiem, po czym wozy odjechały. Tylko Godlewski odszedł pieszo, przerzuciwszy plecak przez ramię. Cała jego postawa

wyrażała determinację, głowę trzymał hardo podniesioną. Maria patrzyła za nim, za wtapiającymi się w potok uciekinierów wozami. Oto odchodził, znikał ogromny kawał ich życia, zapadał w niebyt wraz z państwem, o które kiedyś walczyli i dla którego ciężko pracowali.

Włączyli się w tłum, zgarbieni pod ciężarem walizek i plecaków. Wtem w perspektywie ulicy zamajaczyła brama triumfalna z belek i gałęzi, przystrojona flagami i transparentem, na którym widniał napis po rosyjsku. Było to najwyraźniej „Serdecznie witamy”, czy coś w tym rodzaju. Tu zgromadził się tłumek wielbicieli nowej władzy i jej zbrojnego ramienia, rozdziawione radośnie gęby i wzniesione w powitalnych gestach ręce zwracały się ku każdemu obcemu mundurowi i każdemu pojazdowi wiozącemu nowych panów tej ziemi. Uciekinierzy przechodzili pod ozdobną konstrukcją ze zwieszonymi głowami, przyspieszali kroku, by jak najprędzej znaleźć się z dala od tego symbolu nowego najazdu. Stali się niewolnikami zdrajców, którzy powiewali chorągiewkami, wznosili następne transparenty, rzucali kwiaty na maski samochodów i na głowy maszerujących żołdatów. Wygnańcy mieli teraz tylko jeden cel i jedną troskę: jak znaleźć kwatery i nocleg.

Szli w milczeniu, dopiero kilkadziesiąt metrów za łukiem triumfalnym niemłody mężczyzna, pchający przed sobą wózek tobołkami, powiedział do Marii:

– O, już są. Ci nam dopiero pokażą.

Rozejrzała się nieprzytomnie, dopiero po chwili dostrzegła stojących na chodniku trzech młodych ludzi z czerwonymi opaskami na rękawach koszul i z tęgimi kijami w garści. Charakterystyczne było to, że nie ruszali się z miejsca, a ich spojrzenia – inaczej niż u czerwonoarmistów – nasuwały myśl o głodnych wilkach. Uśmiechali się przy tym w szczególny sposób, ni to pogardliwie, ni to zawadiacko, przy czym wionęło od nich absolutną pewnością siebie i wręcz euforyczną radością.

– Milicja ludowa – mruknął sąsiad Marii. – Od razu wyleźli na ulice i szukają ofiar.

Nic się jednak nie stało, Korowscy minęli nowych stróżów porządku, odłączyli się od tłumu i skręcili w ulicę Piłsudskiego. Za nimi poszło jeszcze kilkanaście osób. Na narożnych domach widniały puste miejsca po tabliczkach z nazwą.

Miasto przypominało kocioł z wrzącą wodą. Uchodźcy snuli się bezładnie, pytali o nocleg, czasem tamowali przejście, tworząc zbite grupy

tam, gdzie podobno była nadzieja na informacje, wchodzili w boczne ulice i wychodzili z nich, niemal zderzając się ze sobą.

Przez następne godziny Korowscy także szukali noclegu, ale dopiero gdzieś około południa Maria dowiedziała się o klasztorze, który przygarbiał wygnańców. Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, że krużganki, refektarz i część cel są zajęte przez tłum koczujący na kamiennych podłogach. Z trudem udało się znaleźć, dzięki zatroskanemu zakonnikowi krążącemu w ścisku, kąt w narożniku krużganka. Usiedli na walizkach i zaczęli debatawać, co dalej. Dla Władysława najpilniejszą sprawą do załatwienia okazała się naprawa lewego buta, którego obcas zaczął odstawać od podeszwy. Maria zastanawiała się nad sposobami zdobycia pożywienia, bo nie jedli nic od poprzedniego wieczora: wtedy skończył się chleb. Bronisław milczał, zagłębiany w myślach, jakby utracił zupełnie kontakt z otoczeniem. Na adresowane do niego zdania odpowiadał tylko przeczącymi albo potakującymi ruchami głowy, wyraźnie na chybił-trafił. W końcu zostawili go z bagażami, Władek wyruszył na poszukiwanie szewca, a Maria postanowiła pójść do znajomej działaczki PWK, która półtora roku wcześniej podejmowała ją gościnnie przy okazji odczytu. Rozstali się tuż za furtką klasztorną, bez słowa, przygnębieni stanem Bronisława.

Władysław postanowił porzucić główną ulicę, gdzie można było znaleźć raczej sklep z obuwem, zapewne zresztą zamknięty. Zaczepił kobietę o pomarszczonej twarzy i zapytał o szewca. Po krótkim zastanowieniu wskazała trzecią bramę od nich.

– Tam pan przejdzie przez podwórze – powiedziała śpiwnie – a potem jeszcze przez furtkę i z boku oficyny będzie warsztat. Jest żydowski szewc, bardzo porządny człowiek.

Podziękował, a ona westchnęła:

– Oj, panoczku, panoczku!

W odruchu za to wyraźne współczucie pocałował ją w rękę i długimi krokami poszedł we wskazanym kierunku.

Wchodząc do bramy, która cuchnęła wilgocią zagrzybionych ścian i moczem, usłyszał dziecięcy głos, nucący znajomą melodię. Wszedł na podwórze i stanął jak wryty.

Pod ścianą siedział mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, bosy, w zaobszernych porciętach i rozchełstanej koszuli. Nogi wyciągnął przed siebie, uderzał rytmicznie o ziemię trzymanym w rękę patykiem i śpiewał powoli, w sposób przypominający raczej melodeklamację:

– Nikt nam nie zro-bi nic... Nikt nam nie weź-mie nic... Bo z nami zawsze jest... Marszałek Śmi-gły Rydz...

W głosie dziecka brzmiała pozbawiona nadziei i złudzeń straszliwa go-rycz. Władysław poczuł, że niebo wali mu się na głowę. Nie sama ucieczka, nie wieść o najeździe, nie wspomnienie samolotów pikujących nad szosą pełną ludzi, a nawet nie owa scena na przejeździe kolejowym, a właśnie ta spokojna półrecytacja dobiła go ostatecznie. Po raz pierwszy błysnęła mu oślepiająca myśl, którą cały czas odpychał od siebie, że bierze udział w końcu świata.

Zapytał o szewca. Chłopiec bez słowa wskazał wiszącą na jednym za-wiasie, niegdyś zieloną furtkę w kącie podwórza i dalej podśpiewywał:

– Marsza-łek Śmi-gły Rydz...Nasz dro-gi wiel-ki wódz...

Władysław prawie pobiegł ku furtce, z głową wtuloną w ramiona.

Było tu coś w rodzaju zatoczki zamykającej posesję. Zza niewysokiego muru wystawały gałęzie dzikiej jabłonki, a po prawej, w bocznej ścianie oficyny, kilka kamiennych schodków prowadziło do sutereny. Zszedł po nich do na pół ciemnego wnętrza. W marnym świetle, wpadającym przez otwarte drzwi siedział stary człowiek w fartuchu i uderzał młotkiem w ob-cas reperowanego trzewika. Na zdławione „Dzień dobry” Władka podniósł oczy i zapytał:

– Pan sobie życzy?

Obejrawszy naderwany obcas, kiwnął głową i wskazał klientowi sto-łek. Dokończył roboty przy trzewiku, odłożył go na bok, po czym wycią-gnął rękę:

– Pan pozwoli.

Władysław siedział z wyciągniętymi przed siebie nogami, poruszał obolałymi palcami z ulgą i zastanawiał się, czy matka zabrała jakieś przy-bory do szycia: na wielkim palcu widniała w skarpecie dziura. Milczeli obaj, szewc od czasu do czasu wzdychał. Nagle z zewnątrz dobiegł gwar kilku głosów. Po schodkach zbiegli trzej młodzi ludzie z czerwonymi opa-skami na rękawach, rozgadani i roześmiani. Jeden z nich zapytał:

– No i co? Gotowe?

Kiedy płacił, dwaj pozostali wymieniali gorączkowe, radosne zdania, nie zwracając uwagi na Władysława, który siedział zgarbiony, ze zwieszoną głową. Z oderwanych zdań, jakie do niego docierały, wynikało, że dopiero teraz nastąpi dla biednych ludzi era szczęścia, bo przecież Związek Sowiec-ki zaprowadzi prawdziwą sprawiedliwość społeczną. Wszyscy dostaną tyle,

ile im się należy, nareszcie przyszedł koniec panowania polskich faszystów! Już oni zobaczą, co to gniew ludu!

Po chwili wybiegli, nadal tak samo pełni entuzjazmu i rozkrzyczani. Ich głosy dobiegały jeszcze przez chwilę z bramy, po czym ucichły.

Stary szewc nadal przybijał podeszew do kawalerskiego buta i milczał. Dopiero po dłuższym czasie, gdy było już wiadomo, że tamci na pewno nie wrócą, powiedział z uśmiechem:

– Ja bym chciał być starszy o trzy miesiące.

Po powrocie do klasztoru Władysław opowiedział ojcu o scenie u szewca. Obaj lubili humor żydowski, a Bronisław powtarzał, że jest w nim zawarta mądrość tysiącleci. Tym razem nawet się nie uśmiechnął, pokiwał tylko głową i zamknął oczy, oparty o ścianę. Dokoła ludzie spali, rozmawiali przyciszonymi głosami, ktoś grał na organkach „Tylko we Lwowie”. Władysław patrzył na ojca i łzy kręciły mu się w oczach. Czekali na Marię.

Jej powrót niczego nie zmienił. Znajomej nie zastała, gosposia nie chciała wpuścić obcej osoby do środka, ani słuchać wyjaśnień. Jedynym akcentem optymistycznym był bochenek chleba, zdobyty po drodze w jakiejś piekarni, gdzie już półki świeciły pustkami. Posiedzieli z godzinę, popijając suche kromki wodą z manierki Władka, po czym Maria postanowiła wyjść znowu na miasto i podjąć poszukiwania kwatery. Bronisław ocknął się nagle z letargu i wstał.

– Idę z tobą.

– Słuchaj, to niebezpieczne. – Chwyliła go za rękaw. – Sam mówisz, że nie należy rzucać się w oczy.

– E tam, w tym tłumie! Nie możesz chodzić przez cały czas sama. To też ryzykowne.

Zostawili zatem Władka na straży dobytku i wyszli.

Zmierzali w stronę skweru. Liczba maszerujących oddziałów rosyjskich wzrosła wyraźnie, masa ludzka rozproszyła się po mieście i jakby stopniała, widocznie inni też znajdowali prowizoryczne przytuliska. Na słupach telegraficznych i na ścianach domów pojawiły się blaszane głośniki, nadające dziarską muzykę, która ociekała radością życia i optymizmem. No tak, ci przez te wszystkie lata nie zasypiali gruszek w popiele i rozwinęli propagandę dźwiękową w sposób przewyższający nasze mizerne próby! Nagle wszystko umilkło. Z głośników zabrzmiał patetyczny głos spikera: zapowiadał ważne przemówienie towarzysza Mołotowa, ludowego komisarza „inostranych dzieł”. Ludzie zaczęli gromadzić się z twarzami uniesionymi ku górze, wyraźnie przybici, ale i trawieni jakimś niezdrowym

zainteresowaniem. Kiedy z blaszaka dobiegły pierwsze słowa mówcy, można było odróżnić tych, którzy znali choć trochę rosyjski, od innych, do których docierał tylko sens pojedynczych słów. Korowscy stali z tyłu, Bronisław słuchał w napięciu. W pewnej chwili zwrócił do żony poszarzałą twarz i rzekł ledwo dosłyszalnie:

– Nazwał nas bękartem Traktatu Wersalskiego. Mówi, że państwa polskiego nie ma i już nigdy nie będzie.

Stojąca przy nim Maria poczuła nagle, że zachwiał się i jakby zwiotczał. Natychmiast wzięła go pod rękę i pociągnęła wstecz, ostrożnie, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Usiedli na odrapanym murku. Bronisław łapał rozpaczliwie oddech.

– Oni ułożyli wszystko w sierpniu, jak podpisywali ten traktat w Moskwie.

Krzysztof Choiński

Stefan Chwin

Dziennik życia we dwoje

(fragment)

Sobota. 8.45. Właśnie przypomniałem sobie, jak to za młodych lat poszliśmy w pewną niedzielę na przełaj przez lasy z Niedźwiedznika do Doliny Radości.

...najpierw nasypem dawnej kolei pod pochyłymi sosnami, potem przez białe ruiny wiaduktu w Brętowie, potem przez osiedle na wzgórzach pod lasem, potem przez las, który się tu zaczynał, a kończył pod Osową.

...więc idziemy przez las w niedzielny dzień, pora wczesna, ciepło, niedziela, a las się nam przygląda oczami wilgi, która przysiadła na jarzębinie i patrzy na nas zza liści?

Jesteśmy młodzi, silni i szczęśliwi. Trzeci rok studiów, czerwiec. Po włosach K. przepływają słoneczne plamki, przesiane przez korony sosen. W liściach jarzębiny migoce słońce, ale liście nic o tym nie wiedzą, zajęte umykaniem w cień.

Mówię do K.:

– Już nie pamiętam, jak dawno temu tutaj byliśmy.

– Ja też nie – odpowiada K.

Ale las nie potrafi powtórzyć żadnego z naszych słów. Jest doskonale niemy, chociaż pełen głosów. Wilga chce przeciąć cieniutkim gwizdem naszą rozmowę? Miękki mech przylega do stóp, kiedy zdejmujemy buty. Idziemy boso po chłodnej, wilgotnej ścieżce. Las cofa się przed nami. Drzewa zachowują rozsądną odległość od naszych ramion. Nieufność, która nas otacza jest śpiewna i szumiąca.

Idąc przez las, rozmawiamy cicho, żeby nie spłoszyć czegoś, czego nie widzimy. Czasem się śmiejemy. Las naśladuje nasze śmiechy, ale nieudolnie, jakby mu na tym nie zależało. Zmienia je w trzask gałązki pod stopą i kruchy chrzęst buczynowego orzeszka, który pęka cicho jak oddech.

Wiemy, że życie jest trudne do zniesienia, ale teraz znosimy je z żarłoczną radością. W oczach K. widzę dobry blask, kiedy wchodzimy w chłodny cień pod wielkimi choinami, za którymi otwiera się żółta, leśna łąka.

Mijamy strumyk z bursztynową wodą, który znika pod przewróconym pniem czarnej olchy. Klon udaje, że nam sprzyja, gdy K. ręką strąca z liści

zimne krople, które spadają na wierzch mojej dłoni. To pozdrowienie, które nas łączy z lasem, ptaki zagłuszają śpiewem, jakby chciały nam coś odebrać. K. podaje mi chusteczkę, ocieram dłonie z mokrego igliwia. Patrzę na nią pod słońce. Brzoskwiniowy pył na szyi, różowe ucho, włosy na ramieniu, które dotykam policzkiem. Jest nas więcej niż drzew w lesie, chociaż ścieżka przed nami pusta.

Nasza śmierć czmychnęła w jałowce. Do widzenia, do widzenia na zawsze! Jesteśmy zajęci życiem, wchodzimy na łąkę, układamy się na ciepłej trawie, wygodnie, z rękami pod głową, parę kroków od strumienia. Łąka zupełnie nie bierze nas pod uwagę, zajęta patrzeniem w niebo. Leżąc na wznak, patrzymy razem z nią w głęboki błękit. K. bierze na palec biedronkę z pochylonej trawy i pozwala jej przejść na moją dłoń. Na chwilę oblewa nas światło dzieciństwa, gdy mały owad odlatuje z cichym bzyknięciem jak wirujące ziarnko maku.

Otoczają nas ściany bukowego i sosnowego lasu. Łąka zamknięta z czterech stron leszczynami i głógami podaje nas słońcu na rozgrzanej tacy. Powietrze dzwoni brzękiem dzikich pszczół. Mrużymy oczy, patrząc na jaskółki, które przecinają wysokie niebo, nie zostawiając śladu na błękitcie.

Dopiero po chwili K. podnosi się, sięgając po sukienkę, rzuconą na rumianki. Zasłania się.

- Zobacz – mówi szeptem, kiwając głową w stronę zarośli. – Tam ktoś jest.
- Gdzie? – podnoszę się na łokciu.
- Tam, pod sosnami.

W gąszczu dostrzegam ludzkie oczy, które na nas patrzą. Za gałęziami rokitnika zastyga cień.

Wstaję.

- Hej, ty! – krzyczę w stronę zarośli. – Zjeżdżaj stąd!

W zaroślach trzask gałązki, szum odgiętej gałęzi, prędkie kroki na igliwiu. Ktoś ucieka w głąb lasu.

K. szybko ubiera sukienkę.

- Szedł za nami przez cały czas?
- Pewnie szedł – odpowiadam, wciągając koszulę przez głowę.
- Ciekawe – K. sznuruje tenisówki – czy miał aparat fotograficzny.

Wracamy do domu drogą pod brzoźami. Zza białych pni dobiega dźwięk dzwonów oliwskiej Katedry i coraz bliższy szum niedalekiego miasta.

A on? Ten samotny, którego zraniliśmy do żywego naszą słoneczną nagością na żółtej, leśnej łące?

Szedł za nami cały czas? A teraz uciekał przed nami, z naszą słoneczną nagością w oczach, która utkwiała pod powieką jak gorące ziarnko piasku?

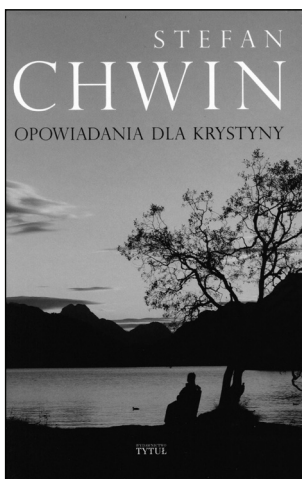
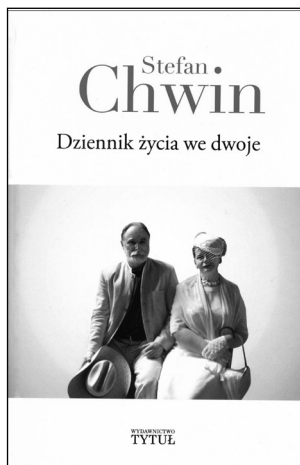
Pod brzożami szumiącymi szliśmy w stronę miasta, silni, młodzi i szczęśliwi. K. śmiała się do mnie, przeskakując na drugą stronę strumienia, za którym świeciło wzgórze szeroko otwarte na naszą obecność. Było nam wszystko jedno, czy nas widział czy nie.

Było nam dobrze i spokojnie.

A on? Ten, co uciekał?

Dzisiaj bardzo chciałbym zobaczyć zdjęcia, które nam pewnie zrobił zza liści rokitnika, gdy czaił się pod sosnami.

Stefan Chwin
Dziennik życia we dwoje
Wydawnictwo „Tytuł”, Gdańsk 2024
Oprawa twarda, stron 496
ISBN 978-83-89859-77-8



Stefan Chwin
Opowiadania dla Krystyny
Wydawnictwo „Tytuł”, Gdańsk 2018
Oprawa twarda, stron 274
ISBN 978-83-89859-57-0

Stefan Chwin

Mój Gdańsk

(fragment)

Gdańsk, Danzig, Wolne Miasto

Prześwietlona klisza

Doświadczenia, które ukształtowały mnie jako pisarza, wiążą się z miejscem, w którym przyszedłem na świat i w którym spędziłem swoją młodość, można w nich jednak ujrzyć także obraz doświadczeń pewnego pokolenia Polaków – mam na myśli ludzi dziś mniej więcej czterdziestoletnich, czy trochę starszych, którzy przeżyli sporą część swego życia na – jak mówi Czesław Miłosz – „terenach mieszanych”, choć oczywiście to, co mi się przydarzyło, ma także rys osobisty, jakiego nie dostrzegam u innych.

Uczyliśmy się o Mickiewiczu, Kościuszcze i Gałczyńskim w neogotyckich gmachach z ciemnej cegły, poniemieckich gimnazjach, które pamiętały jeszcze Wilhelma II, co niedziela prowadzono nas do poniemieckich kościołów garnizonowych, w których przed wymarszem na front rosyjski w roku 1916 modlili się huzarzy generała von Treskova, całymi klasami chodziliśmy na film o Czapajewie do ewangelickich zborów, które po wojnie przerobiono na kina, czekaliśmy na pociąg w oszklonych halach dworców, które wzniesiono za Friedricha Eberta, a ślubów nam udzielano w poniemieckich urzędach pamiętających czasy Bismarcka. Dawne miasta o obcych nazwach przestały istnieć, lecz przetrwała sieć ulic, parków, kanałów, linii tramwajowych, która nadal kieruje naszymi krokami. To życie na śladach raczej nie interesowało polskich pisarzy. Jeśli pisano o „terenach mieszanych”, to przede wszystkim o ich polityczno-gospodarczo-kulturalnym odzyskiwaniu dla polskośći.

Moja matka przyjechała do Gdańska 30 września 1945 roku. Wysiadając z warszawskiego pociągu, aż się cofnęła na widok tego, co zobaczyła

przed dworcem, choć po tym, co przeszła w Powstaniu, właściwie nic nie powinno jej zadziwić. Pola gruzów z ruiną wypalonego Kościoła Mariackiego (Marienkirche) i ściętą artyleryjskim pociskiem wieżą Ratusza ciągnęły się aż po horyzont. Miasto „Danzig” właściwie nie istniało.

Jeszcze jesienią 1944 roku tu, przed dworcem, gdzie stała po wyjściu z pociągu, było kilka piękniejszych gdańskich ulic. Potem Rosjanie otoczyli Gdańsk od wschodu i południa, rozpoczęło się oblężenie, Hitler ogłosił miasto twierdzą, wykluczając pod groźbą kary śmierci kapitulację, na ulicach Langfuhr pojawiły się patrole SS, które wyłapywały młodych dezertersów z Wehrmachtu, i wieszaly ich na drzewach i latarniach w Wielkiej Alei, a w narastającym huku artyleryjskiej kanonady, która potężniała z godziny na godzinę, w ogniu i dymie, jak z prześwietlonej fotograficznej kliszy sprzed dworca zaczęły znikać jeden po drugim piękne budynki zbudowane na przełomie wieków – hotel Deutscher Hof, Grand Hotel Reichshof, Continental, a z całego hotelu Danziger Hof została tylko jedna zwęglona ściana. Przed Bramą Wyzynną (Hohe Thor), na podziurawioną lejami jezdnię, runął strącony z cokołu konny posąg Wilhelma I, przed którym 27 września 1914 roku sam marszałek Paul von Hindenburg odbierał defiladę oddziałów niemieckiej armii podczas uroczystej prezentacji rosyjskich armat zdobytych przez wojska niemieckie w Prusach Wschodnich. Gmach Senatu Wolnego Miasta i gmach Zarządu Prowincji zniknęły w płomieniach. Po wyjściu z dworca moja matka wsiadła na konną furmankę i pojechała w stronę Akademii Lekarskiej we Wrzeszczu. Jadąc Wielką Aleją, patrzyła na zburzoną stocznnię Schichaua, w której miała później pracować wiele lat.

Pejzaż tamtego Gdańska dobrze pamiętam. Był to pejzaż mojego dzieciństwa. W gorące dni sierpnia czy września wiatr niósł nad jezdniami tumany czerwonego pyłu pokruszonej cegły. Szedłem z rodzicami na Stare Miasto, a raczej tam, gdzie kiedyś było Stare Miasto i patrzyłem na wszystko. Gdańsk był miastem po wielkiej ucieczce. Zimą 1945 roku w blaskach wielkiego pożaru na ostrzeliwanych okrętach odplynęły stąd za morze tysiące kobiet, mężczyzn i dzieci, z których mało kto miał tu kiedykolwiek powrócić. Gdy tak szedłem ulicami, geologiczny przekrój zburzonego miasta – niczym pień przeciętej sekwoi – opowiadał mi swoją Historię. Pod ruinami domów z lat trzydziestych ciemniały zmurszałe cegły średniowiecznych piwnic, na barokowych portalach leżały strzaskane gotyckie kolumny, a z głębi lejąw po bombach, wypełnionych czarną wodą, wystawały skamieniałe belki drewnianych domów

z pradawnego czasu. Jak Schliemann, który chciał odnaleźć miasto opisane w *Iliadzie*, szukałem miasta, którego nie było i nie wiedziałem, która z tych Troi, których szczątki się przede mną odsłaniają, jest Troją prawdziwą. Bo zawsze można było sięgnąć głębiej, w miazgę cegieł, drewna, metalu i dokopać się jeszcze warstw starszych. Czas zapomniał tu o chronologii przemijania.

Przemieszały się lata i epoki. Potem pojąłem, że Troja prawdziwa, ta, której szukam, może istnieć tylko w wyobraźni. Zburzony Gdańsk mówił mi o nietrwałości wszelkich dzieł ludzkich i może właśnie wtedy, któregoś dnia, podczas wędrówki po ruinach, przyszło mi do głowy, że to miasto, które zniknęło w dymie i ogniu, może przetrwać – choćby tylko na jakiś czas – tylko w sztuce. Idąc przez ruiny barokowych kamienic, obok wypalonego teatru miejskiego na Targu Węglowym (*Kohlmarkt*) i ruin domu towarowego braci Freymann, mijając Dwór Bractwa św. Jerzego i skręcając w ulicę Długą (*Langgasse*), dochodziliśmy przez Zieloną Bramę (*Grüne Thor*), do mętnych wód Motławy (*Mottlau*). Po drugiej stronie rzeki, z kamiennego nabrzeża widać było spalone gmachy Wyspy Spichrzów (*Speicher Insel*), a ja oczami chłonałem wszystko, co widziałem dookoła, bo wszystko chciałem zapamiętać, by potem narysować i może opisać (...)

Komandir Marinesku

Moi rodzice, z którymi w niedzielne popołudnia szedłem nad Motławę, by z Długiego Pobrzeża (*Lange Brücke*) popatrzeć na Wyspę Spichrzów, przybyli z daleka, jak wielu ludzi, którzy trafili do Gdańska po roku 1945. Ich życie niewiele różniło się od życia milionów mieszkańców Europy Środkowoschodniej, których w epoce Wielkich Deportacji los porozrzucił po różnych stronach świata. Mama, sanitariuszka Armii Krajowej, opiekująca się rannymi w Powstaniu, przyjechała do Gdańska razem ze szkołą dla pielęgniarek, którą przeniesiono do Wrzeszcza z Warszawy spalonej przez żołnierzy niemieckich. Ojciec, ekonomista po warszawskiej uczelni, zagrożony – jak każdy polski inteligent – aresztowaniem przez żołnierzy Armii Czerwonej i zesłaniem na Syberię, wsiadł w Wilnie do ostatniego pociągu odchodzącego na zachód i po parodniowej podróży właściwie przypadkiem wysiadł w mieście o dziwnej – jak mówił po latach – nazwie

„Danzig”, która widniała na osmalonym dymami frontonie dworca pod białą-czerwoną flagą (...)

Gdańsk lat pięćdziesiątych, w których dorastałem, to były dwa światy. Wypalone ruiny śródmieścia otaczał secesyjny pierścień cudem ocalałych starych przedmieść z wieku XIX. Oliwa, północne przedmieście Gdańska, gdzie moi rodzice znaleźli swój dom, zachowała ducha przedwojennych czasów. Moje młodzińcze lata są nasycone jej barwami. Dom, w którym spędziłem dzieciństwo, stał niedaleko Katedry – gotyckiego opactwa cystersów, ufundowanego w 1188 roku przez pomorskiego księcia Świętopełka, i starego, osiemnastowiecznego Parku.

Lubiłem oglądać miasto z lotu ptaka. Najpiękniej wyglądało w pogodne dni ze wzgórza Pacholek, wznoszącego się nad Katedrą. Ale patrząc na miasto rzeczywiste, zawsze widziałem miasto, które już przestało istnieć. Dobrze znałem to niewidzialne miasto ze starych fotografii, które znalazłem w podziemiach naszego domu na ulicy Poznańskiej.

Po latach napisałem książkę o paroletnim, polskim chłopcu, który w latach pięćdziesiątych toczył ze światem dorosłych dość gwałtowną walkę o własną duchową niezależność, wyzwalając się stopniowo – i nie do końca – z antyniemieckich wyobrażeń. Bardzo to był zawikłany i bolesny proces, bo ów chłopiec walcząc o siebie, musiał ranić najbliższych, którzy zaznali od Niemców wielu krzywd i nosili w sercu złe obrazy. Temat niemiecki był w Polsce jednym z zapalnych ognisk konfliktu między pokoleniami. Także w Gdańsku jątrzył się pod powierzchnią codziennych zdarzeń. Nie tylko antyniemiecka propaganda władz komunistycznych wpływała na nasze postawy, ale przecież także w naszych domach rodzinnych straszono nas sąsiadami zza Odry, by zaszczepiając w sercu lęki, zachować władzę nad dziecięcą duszą. (...)

Moje dzieciństwo, które opisałem w *Krótkiej historii pewnego żartu*, to była prawdziwa „prywatna archeologia” gdańskich strychów, piwnic, ogrodów i podziemi. Bo przez wiele lat podziemny i strychowy Gdańsk był dziko niemiecki.

„Ucywilizowane” na polski sposób były tylko mieszkania, ulice i place. W ciemnościach pod podłogą zalegały całe zwalony niemieckich książek, gazet, map, nut, plakatów, narzędzi. Ten proces rekonstrukcji w wyobraźni dawnego Gdańska był pełen uczuć sprzecznych. Niepokój, lęk, odraza, nienawiść, mieszały się w nim z fascynacją i zachwytem. Z jednej strony

słuchałem rodzinnych opowieści o okropnościach Auschwitz, do którego trafili znajomi moich rodziców i nasi krewni, z drugiej zdumiewałem się, jak piękne są stare poniemieckie domy i ogrody w Starej Oliwie, Wrzeszczu i Sopocie.

Losy Gdańska, których ślady odczytywałem, skupiały w sobie jak w soczewce paradoksalność dziejów Europy Środkowowschodniej. (...)

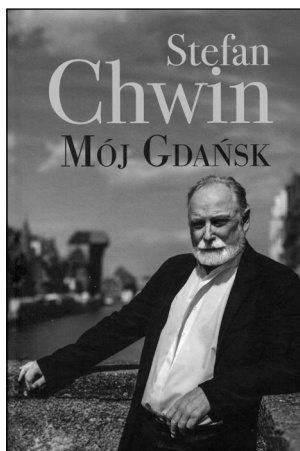
Myślałem o tym wiele razy, gdy ze wzgórza patrzyłem na miasto.

Stefan Chwin

Stefan Chwin
Mój Gdańsk

Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Gdańsk
2024 – wydanie drukowane
Oprawa twarda, stron 608
ISBN 978-83-89285-58-7

Mój Gdańsk – wersja e-book i Mobi,
2025 – Wydawnictwo Tytuł/Wojewódzka
Biblioteka Publiczna w Gdańsku, Gdańsk
ISBN 978-83-89285-61-7
ISBN 978-83-89285-59-4



Michał Dąbrowski

Kilkanaście słonecznych dni

Tamtego lata cykl się *skończył*. Wszyscy zaczęliśmy funkcjonować *zupełnie* inaczej. Nasze towarzystwo przegrupowało się. Nie było mowy o *spontanycznym* wyjeździe nad Zegrze czy o dwutygodniowym pobycie w Bieszczadach. Wszyscy *musieliśmy* zacząć odpoczywać na własną rękę. Jednym urodziło się *dziecko*, co zmusiło ich do *zmiany* trybu życia, kolejni pojechali na swój miesiąc miodowy, jeszcze inni pochłonięci pracą i kredytami, musieli zostać w Warszawie, pracując *ponad* normę. Musieliśmy nauczyć się wypoczywać *bez siebie*.

Zupełnie sobie tego nie wyobrażałem. Będzie brakowało mi żartów sytuacyjnych, małych rzeczy, które sprawiały, że każdy wyjazd był *wyjatkowy*. Jakichś powiedzonek, które po określonym czasie spędzonym w danym miejscu zabieraliśmy *ze sobą* do Warszawy – i tylko *my* je rozumieliśmy.

Wśród dziesiątek katalogów, setek ofert internetowych, po wielu dyskusjach, kilku sprzeczkach i jednej *poważnej* kłótni, decydujemy się z Julią na Chorwację. To są pierwsze scysje w naszym trwającym zaledwie od pół roku związku. Choć czasem ciśnie mi się na myśl *aż* od pół roku, gdyż naszej relacji na początku nie dawałem żadnej szansy. Wesele przyjaciółki, która nas poznała, seks w moim pokoju hotelowym, wymiana numerów telefonów, *to wszystko*.

Julia *zawsze* chciała tam pojechać, gdyż bardzo pragnęła poczuć na sobie *cudowne i upajające* słońce południa Europy, bawić się *niczym mała dziewczynka* w basenie oraz sączyć *orzeźwiające i przepyszne* drinki w hotelowej restauracji. Moje marzenie o podróży na Islandię zostało odłożone na *kiedy indziej*.

Droga przez Słowację jest wygodna, łatwa i *przyjemna*. Julia ma na sobie białą bluzkę z podobizną Świnki Piggy, luźne lniane spodnie i japonki. Jestem ubrany w czarną koszulkę firmy Black Craft z *demonicznym kotkiem*, czarne bojówki i trampki. Na oczach mam *wielkie* okulary przypominające mysie oczy. Na szczęście nie ma *straszego* upału. Mój *czarny* volkswagen garbus jedzie spokojnie. Z IPoda leci składanka hitów z lat dziewięćdziesiątych jako kompromis pomiędzy archiwalnym albumem Kultu, za którym optuje Julia, a nową płytą *Deftones*, na którą *od rana* mam ochotę.

– Maks – słyszę z lewej – *uśmiechnij się!* – Julia robi mi zdjęcie.

– Co robisz? Wrzucasz mnie na Facebooka? *Znowu?* – nie wyrażam swojego sprzeciwu dobitnie, ale dziwi mnie to, że moja kobieta *nie podziwia* melancholijnych słowackich krajobrazów. Zgaduję, że fotografia jest rozmyta, mój uśmiech lekko wymuszony, a ona sama, odbita w wielkim okularze; *miniaturowy fish eye*. – To napisz w takim razie, że jesteśmy prawie w połowie drogi – mówię, patrząc na górujące nad drogą *słońce*.

Julia wystukuje słowa na klawiaturze iPhone'a, po czym dodaje:

– Olga nas pozdrawia. Napisała pod twoim zdjęciem, że woli ciebie w *rozpuszczonych* włosach.

– Też się takim wolę – stwierdzam – spytaj, co u niej – i dodaję – jak im miesiąc miodowy mija.

Julia zamyka się w cyfrowym świecie na chwilę, a ja wsłuchuję się w słowa hitu sprzed kilkunastu lat. Angielka śpiewa: *Tęsknię za tobą, tak jak pustynia tęskni za deszczem*. Przez chwilę myślę o tym, jak *bardzo* gorący jest chorwacki klimat – czy może aby nie będę zmuszony siedzieć w wodzie przez *cały* dzień, a wychodzić z niej dopiero wtedy, gdy zrobi się trochę *chłodniej*; moja wyobraźnia nie sięga tak daleko: *setki kilometrów* naprzód.

Julia wierci się na siedzeniu, w końcu zdejmuje japonki i kładzie nogi na desce rozdzielczej. Wiatr porusza chustą, którą Julia ma na głowie. Zastanawiam się nad noclegiem w Budapeszcie. Myślę też o tym, że gdy byłem tam ostatnio, otaczali mnie *inni* ludzie, byłem z *inną* kobietą, a mój charakter w *niczym* nie przypominał obecnego. Próbuję przypomnieć sobie *niektóre* kadry z tamtego wyjazdu oraz *zabawę* w starym kinie przerobionym na dyskotekę. Odganiem te myśli i patrzę na *nogi Julii*. Jej spodnie zrobione są z prześwitującego materiału. Gdy droga mi na to *pozwala*, a słońce *układa* się pod innym, bardziej wygodnym kątem, *wodzę* po nich wzrokiem. Słowacja powoli kończy się, a ja zauważam, że na ten wyjazd nie mam *żadnych* planów, nie wiem również, czego oczekuje od niego Julia.

Jest lipiec 2027 roku.

Pokój hotelowy ma balkon z widokiem na basen, duże dwuosobowe łóżko, szafeczki po jego obu stronach, telewizor plazmowy stojący na stoliku przy przeciwległej ścianie i szafę na ubrania. Na lewo od drzwi wejściowych znajduje się łazienka ze *sporą* kabiną prysznicową. Jesteśmy oboje *zmęczeni* po podróży. Gdy Julia rozpakowuje swoją torbę, ja jestem na balkonie i patrzę na *okolice*. Z dołu dobiega muzyka, słychać *podeksycytowane* głosy turystów. Niebo staje się coraz ciemniejsze, a morze, znajdujące się w *bezpośrednim* sąsiedztwie naszego hotelu, faluje spokojnie. Zastanawiam

się, czy zejdziemy jeszcze dziś na dół, może zahaczylibyśmy o bar i wypili kilka drinków.

– Masz ochotę rozejrzeć się po okolicy? – rzucam w głąb pokoju, ale odpowiada mi *tylko* szum prysznic. Przez chwilę patrzę na górzysty krajobraz wybrzeża, domy, które w świetle dnia wyglądają, jakby były zbudowane z piasku, po czym rozpuszczam włosy i zmierzając w stronę prysznic, zdejmuję kolejne części garderoby, wydjmuję z torby żel pod prysznic, gąbkę, ręcznik i chwilę później jestem już z *Julią* w parze i szumie natrysku.

– Wiesz, często wracam myślami do naszej *pierwszej* nocy – mówi Julia, bawiąc się moimi włosami. – Ona wydaje się taka daleka. *Strasznie* to wszystko dziwne.

– Następnego ranka stwierdziłem, że była *pomyłką*, że w ogóle *nie* powinniśmy byli się spotkać. A potem – zamyślam się, wracając do obrazów, które każdy związek zapamiętują *na zawsze* – potem *wszystko* się zmieniło. Pamiętasz to sushi w centrum? Albo kino? Szedłem tam, jak za *karę*. Ale z drugiej strony, z każdym naszym następnym spotkaniem, to wszystko nabierało *kolorów*. Nie było *puste*. Stawało się *czymś*.

– Olga ci *kazała*? – Julia chichocze, odwraca się na plecy, wyjmując papierosa i męczy się z wilgotną od jej dłoni zapalniczką, po chwili daje za wygraną.

– Żebyś wiedziała – uśmiecham się do niej, za oknem jest już *zupełnie* ciemno, a impreza na dole trwa *w najlepsze*. – Olga powiedziała mi wtedy, że nie mamy innego wyjścia, ani ja, ani ty, i że *musimy* spróbować: i albo się znienawidzimy, albo pokochamy. Nie było *innej* drogi – daję jej całusa w czoło. – Chyba w pokoju *nie* można palić – stwierdzam.

– Chodź na balkon – proponuje Julia.

Wstajemy z łóżka, bierzemy po papierosie i opieramy się o barierkę. W innych pokojach palą się światła, choć balkony są *puste*. Nie przejmujemy się tym, że oboje jesteśmy nadzy. Jakby na potwierdzenie moich myśli Julia mówi cicho, patrząc na wodę w basenie i wesołych, bez trosk ludzi przechadzających się z drinkami:

– *Pieprzyć ich. Pieprzyć ich wszystkich.*

Jesteśmy na basenie. Julia ma na sobie bikini upstrzone w pstrokate wzorki, pewnie *śni*, gdyż zakryła twarz książką, od okładki odbija się *światło*. O ile się nie mylę, jest to Michel Houellebecq, i jego „Platforma”, do którego próbuję Julię przekonać, jak na razie *bez większego* powodzenia. Tak

mi się wydaje, choć nie rozmawialiśmy o tym. Patrę na jej ciało, jak praży się powoli pod chorwackim słońcem, zaraz potem odwracam wzrok, zakładam okulary słoneczne i *staram się czytać gazetę*, którą kupiłem jeszcze w Warszawie na stacji benzynowej, aby *nadgonić* aktualności, które mają miejsce w Polsce, po czym stwierdzam, że *nic* mnie one obchodzą.

Nie budzę Julii, postanawiam skorzystać skwapliwie z naszej oferty *all inclusive* w barze. Zauważam, że jako jedyny ze wszystkich turystów mam na sobie czarne szorty kąpielowe. Cała reszta nosi kąpielówki lub szorty krojem podobne do moich, ale całe w palmach, słońcach, plażach, deskach surfingowych i innych *symbolach* lata i wypoczynku. *Nie dbam* o to. *Nigdy* o takie rzeczy *nie dbałem*.

Śniady chłopak, sądzę, że młodszy o dekadę ode mnie, pyta, co mi podać. Odpowiadam po angielsku, lekko znudzony, trochę pijany żarem, już teraz *marzący* o wieczorze:

– *Whatever*. You choose.

– OK – słyszę. I czekam.

Mimowolnie rozglądam się po basenie, a raczej *oglądam* kostiumy turystek, potem zerkam na Julię, która *nie* zmieniła pozycji. Wygląda jak *manekin*. Jak *figura woskowa*. Jak *coś martwego*.

– It's ready – słyszę i dopiero *teraz* widzę, jak bardzo ten chłopak ma *ciemną* karnację; biel jego zębów i jej kontrast ze skórą.

– *Thanks* – rzucam i myślę, czy ten melanż kolorów, soków i alkoholi, będzie mi odpowiadał. Biorę łyka i *nawet* się nie krzywię. Wolnym krokiem idę ku Julii i patrę na kropelki potu, choć może to być woda, świecące na jej brzuchu. Kładę się na leżaku, zamykam oczy i *wsluchuję się* w głosy: plusk wody, śmiechy turystów, rozmowy o polityce przy barze, cichą muzykę z głośników. Czas *mija*. Myślę, że ich wszystkich wokół mnie mogłoby *nie być*.

Słońce wspina się po niebie i, podobnie jak Julia, pozostaje *zupełnie* bez ruchu, to świat wokół nas *tętni* życiem, my jesteśmy tymi martwymi punktami, których *nikt* nie zauważa. Przez chwilę wydaje mi się, że śnię o tym, że świat stracił *wszystkie* kolory oprócz niebieskiego. Wszystko jest *albo* wodą, *albo* niebem. Gdy otwieram oczy, od razu je mrużę, sięgam po drinka i zauważam, że Julia leży teraz na boku, trzymając książkę *bezwiednie* między palcami. Siadam na leżaku, biorę kilka łyków, i wiem, że lód roztopił się *w mgnieniu oka*. Patrę pod słońce, nie widzę twarzy Julii, *ukradły* mi ją promienie. Patrzymy na siebie przez *kilkanaście* sekund, po czym Julia mówi:

– A może byśmy kogoś *poznali*? Jakąś parę, kogokolwiek. *Nie wiem* – myśli.

– Mówisz *poważnie*? – dziwię się – Niby czemu mielibyśmy się z *kims* zaprzyjaźniać na *siłę*?

– Oj, wiesz... – Julia *wzdycha*, zapala papierosa, patrzy na *mojego* drinka – byłoby ciekawiej, nie wiem sama... – znowu *wzdycha*, poprawia swoje okulary.

– Sama stwierdziłaś, żeby wszystkich *pieprzyć* – zauważam. – Znasz mnie i wiesz, co sądzę o znajomościach zawieranych *na siłę*. Jesteśmy tu dwójce i *nasze* towarzystwo powinno być *dla nas* najlepszą rozrywką.

Julia patrzy na mnie zalotnie, a ja doskonale to spojrzenie rozumiem. Przy basenie nie ma dla nas miejsca. *Naszym* celem jest pokój hotelowy.

– Dziwnie *tu* jest – stwierdza Julia – *popatrz* na tych ludzi, którzy *zmuuszają* turystów do zabawy.

Staliśmy po *drugiej* stronie basenu i patrzyliśmy na sporą grupę turystów, którzy tańczyli salsę albo jakiś *inny* taniec, cały czas zagrzewani do zabawy przez kilku młodych, wysportowanych chłopaków.

– Tacy wodzireje – zauważam. – Może miałabyś ochotę spróbować?

– Błagam cię, Maks, *nie każ* mi tam iść – Julia uśmiecha się – nie mam na to ochoty. *Lepiej* chodźmy nad morze.

Pomysł Julii jest *sensowny*. Idziemy plażą, ona *piszczy*, gdy nadepnie na kamień, ja *pozwalam* falom moczyć moje spodnie. Wiele *przyjemna* bryza. Zastanawiam się, czemu tutaj, wokół nas, nie ma *nikogo*, z daleka widać jedynie blask ogniska, a przez szum morza przebija się brzdąkanie gitary. Widzę kilka osób, które postanowiły się zintegrować. Gdy ich mijamy, wołają nas, *zapraszają*, ale Julia rzuca coś w stylu:

– Dzięki, ale chcemy być *sami*.

Myślę o *reszcie* naszych znajomych, *próbuję* wyobrazić sobie, gdzie teraz są, co robią i czy są podobnie *samotni w tłumie*, jak ja z Julią. Nie mówimy dużo, gdy idziemy brzegiem. Czuję się *zupełnie* wolny, tak jakby okolice hotelu i ludzie w nim mieszkający tłamsili mnie bezwiednie, *odbierali* prywatną przestrzeń. Zamyślam się patrząc w morze, na *brak* horyzontu, sam granatowy mrok wody i nieba odgradzony *niewidzialną* linią, szukam po kieszeniach papierosów, *musiałem* zostawić je w pokoju na łóżku, czuję nocny wiatr narastający z każdą chwilą i w pewnym momencie słyszę uderzenie dłoni o wodę, jestem *cały* mokry, Julia śmieje się i zauważam, że przez ten krótki czas zdążyła rozebrać się do *naga*, i wiem, że ja też muszę

to zrobić, aby *nie zamoczyć* mojego iPhone'a, zostawić rzeczy na piasku, wśród kamieni, i chwilę później kąpiemy się nago, *z dala* od hotelu, *z dala* od tych ludzi; jestem zanurzony w falach i *ślonym* ciele Julii.

Jesteśmy już pijani chorwackim winem kupionym od miejscowych, zjeżdżamy windą, w której się całujemy, a potem wychodzimy potańczyć, gdyż stwierdziliśmy, że trzeba zobaczyć tutejsze *zwyczaje* turystyczne, ocenić, czy folder *klamał*, czy też był nad *wyraz* *prawdomówny*, już jesteśmy przy basenie, żeby zaraz dotrzeć na plenerową dyskotekę. Julia informuje mnie, że to wino *dziwnie* na nią działa, gdyż widzi *klatkowo*, ja stwierdzam, że nogi mam bardzo *miękkie*, czuję, jak *sunę* po piasku, a on *wsysa* moje stopy; rzeczywiście to wino miało w sobie *coś* innego.

Jesteśmy w tłumie ludzi, już mamy drinki w rękach, idziemy pod rękę, Julia ma na sobie czarną bluzeczkę na ramiączka z nadrukiem czaszki między *piersiami*, która posiada czerwone serduszka zamiast oczu i *cienką spódniczkę* tego samego koloru. Ubrany jestem w długie, czarne, cienkie i luźne spodnie oraz czarną i wysłużoną koszulkę z napisem VAGUE. Okulary zostawiłem w pokoju.

Wokół nas jest bardzo *głośno*, więc przezornie nie mówię niczego do *Julii*, przechodzimy, może trochę nierozważnie, przez środek parkietu i *od razu* zauważają nas *inni*. Jakiś czarny chłopak podchodzi do Julii i *zaczyna* przed nią tańczyć, ma krótkie, ufarbowane na blond włosy, nie ma koszulki i tańczy tylko w czerwonych szortach, szczerząc się dookoła i napinając raz po raz mięśnie na klatce piersiowej. Julia odpowiada mu uśmiechem, ale bardzo *zgrabnie* go wymija, przyciągając mnie *do siebie*. Przez chwilę myślę o tym, że ten chłopak jest moim *dokładnym* przeciwieństwem. Jesteśmy jak dwa negatywy; odchodzę na *bezpieczną* odległość, patrzę, jak podrywa wysoką blondynkę; Julia *zabiera* mi drinka, obejmuje mnie w pasie, przytula się *całym* ciałem, coś do mnie mówi, ale ja *nic* nie słyszę, tylko muzyka jest w mojej głowie i rausz od wina i drinków. *Nie zauważam*, kiedy wracamy do pokoju, *nie sami*, z jakąś *przygodnie* spotkaną dziewczyną, która mnie zupełnie *ignoruje*, *klei* się za to do Julii, a Julia, jak to ona, *ulega* i łądujemy w naszym pokoju, dziewczyny *zabawiają się* na łóżku, ja dopijam wino i budzę się rano na podłodze. Dziewczyny *nie ma*, Julia leży na łóżku *naga* i *głośno oddycha*.

Złe fizyczne samopoczucie mężczy mnie przez *kilka następnych godzin*, na balkonie sprawdzam pocztę i Facebooka i ze zdumieniem zauważam, że mój brat *informuje* mnie, iż właśnie wczoraj *pierwszy raz przespał się*

z jakąś dziewczyną – *oczywiście* przypadkową, składam mu braterskie gratulacje, jednocześnie nie dzieląc się swoimi doświadczeniami z *ubiegłej nocy*. Nie budzę Julii, niech odeśpi atrakcje, wyciągam się na leżaku na balkonie, biorę laptopa i oglądam zaległość filmową, w sumie *nic* ciekawego, głupi horror, część *piąta*, według krytyków najgorsza i kompletnie *niepotrzebna*; dzień upływa *spokojnie*, w końcu Julia wstaje, proponuje pójście na basen, godzę się na to, i stwierdzam, że jeszcze nic dziś *nie jadłem*, ale wcale *nie jestem głodny*. Zamykamy pokój, na basenie wydaje mi się, że widzę dziewczynę z *poprzedniej nocy*, i sądzę, że tylko *ja* ją widzę, mam wrażenie, że Julia celowo ją *ignoruje*, unoszę dłoń, macham jej, ona nieśmiało się uśmiecha i mam wrażenie, że jest skrępowana, *nie chce* przyznać się przed samą sobą, już mam ochotę do niej podejść, przywitać się, gdy Julia pyta mnie, na kogo *patrzę*, a gdy *próbuję* jej powiedzieć, miejsce, w którym stała ta dziewczyna, *jest puste*. Tak jakby jej nigdy nie było; jakby *nigdy* nie zaistniała.

Dni mijają *podobnie*. Są swoją kopią. Stajemy się coraz bardziej *opaleni, spaleni* słońcem, *przepici i znudzeni* wypoczynkiem. Wokół oczu mam jasny pasek od okularów. Wpadliśmy w tryb wakacyjny, nauczyliśmy się żyć tak, jak inni, zupełnie wyzuci z intelektualnych przyjemności. Serial, który oglądamy, gdy słońce jest w zenicie, a my nie mamy siły się opalać, *wypełnia* nam czas.

W pewnym momencie zauważam, że nasz wyjazd się kończy, a my nikogo nie poznaliśmy. Trwa jeden z ostatnich wieczorów, gdy przeglądam zdjęcia, wszystkie są w jakiś sposób *podobne* do siebie, mają *wspólny* mianownik utkany ze słońca, wody, naszych roześmianych twarzy i przypadkowych turystów, którzy również *zapragnęli* być uwiecznieni na naszych fotografiach.

– Okolica jest *nudna* – stwierdza Julia odbierając drinka z rąk barmana – *Nic* się nie dzieje. Cała *akcja* ma miejsce *tutaj*, w hotelu.

Sączę krwawą Mary i zastanawiam się, czy nie przedłużyć pobytu o kilka dni. Jedna myśl *nurtuje* mnie od jakiegoś czasu. Na ten wyjazd w żadnym wypadku *nie było* nas stać, a jednak znaleźliśmy na niego pieniądze. W ogóle *nie powinno* nas tutaj być, powinniśmy być w Warszawie, prażyć się i dusić w mieszkaniu z oknami od wschodu, *umierać* w betonowej dżungli. Wypijam jednym haustem drinka, gdy Julia szarpie mnie za rękę, wyrwując mnie z *letargu*. Patrzę jej w oczy, są równie przekrwione, jak moje, mrużę powieki, Julia przykładła palec do *ust*, chce mi na coś zwrócić uwagę, a ja *wyjężam* zmysły.

– Maks, *posłuchaj* – szept Julii jest *bardzo* wymowny. – Posłuchaj, o czym rozmawiają ci ludzie; Julia pokazuje mi śniadą dziewczynę rozmawiającą ze swoim chłopakiem i zauważam, że nie ma w nich nic z wakacyjnego luzu. Julia przysuwa się do mnie, szepcze mi do ucha – Wczoraj w nocy, tak mówili, ktoś w naszym hotelu został *zamordowany*, podobno ciało znalezione było w schowku na pranie, jakiś pracownik sprząający korytarze został *znaleziony z rozprutym gardłem* w schowku na bieliznę. *Ciekawe, prawda? I to na naszym piętrze.*

Nie wyrażam zainteresowania, najwyraźniej komuś *musiał* zająć za skórę, jeśli wierzyć plotkom, *rozerwano* mu gardło i *złamano* kręgosłup, trudno mi dać w to wiarę, przecież w takich miejscach *nie mają* prawa dziać się takie rzeczy; tu jest *za* pięknie.

– Podobno policja nie znalazła żadnych poszlak, *niczego*, dziwne, prawda, Maks?

– Bardzo – stwierdzam obojętnie, po czym wstaję, jestem na brzegu basenu i wskazuję do wody, która mnie cudownie *orzeźwia*.

Piję *kolejnego* drinka, na którego *nie mam* ochoty, próbuję rozmawiać z barmanem, o tym, co się stało, a tak *naprawdę* myślę o stadzie *półdzikich* kotów, na które natknęliśmy się podczas *porannego* spaceru, Julia kupiła w sklepie karmę i *patrzyliśmy*, jak jedzą; *urocze* i *bardzo* mądre zwierzątka. Potem barman mówi, że teraz jest na koszt firmy, co oznacza, że właśnie tak zamierza uczcić *niespodziewaną* śmierć swojego kolegi, którego wprawdzie nie znał, ale liczy się sam *fakt*. *Widzę* zwłoki zawinięte w czarny worek, jakichś sanitariuszy, którym wcale nie spieszo, aby stąd odjechać, i policjantów notujących zeznania domniemyanych świadków oraz kątem oka zerkających tęskno *w stronę* baru i basenu. Julia opala się *bez* stanika, ale oczywiście leży na brzuchu. Wypijam drinka, przybijam z barmanem piątkę i postanawiam się przejść plażą. Tym razem mam ze sobą papierosy, idę kilkadziesiąt metrów, siadam na piasku, czuję, jak słońce *drenuje* mój organizm, *przeświebla* go i *wysusza* na wiór, wydaję iPhone'a, patrzę na Facebooka, odpisuję na wiadomości, patrzę co słychać u Olgi w profilu, *nie* słychać, jeszcze nie wróciła z miesiąca miodowego, który był faktycznie *jedynie* trzema tygodniami, po czym dodaję post, piszę: „Trup w hotelu. Pozdrawiamy”.

Opalam się wyciągnięty na piasku, słyszę jakiegoś *głosu*, i gdy zbliżają się *do mnie*, widzę dwóch gejów, choć równie dobrze mogą to być *sezonowi* biseksualiści, którzy poczuli letnią bryzę, i z dala od domów, rodziców i konwenansów postanowili *wyzwolić* swoje dawno skrywane pragnienia.

Patrzą na nich pod słońce, dwóch śniadych, a może po prostu opalonych chłopców, pewnie jeszcze nawet nie dwudziestoletnich, którzy trzymają się za ręce i idą *w moją* stronę, i przez cały czas mam nadzieję, że *nie* idą *ku* mnie; myślę się. Wyciągają się koło mnie, jeden mówi tylko po francusku, drugi zna jeszcze angielski, prowadzą ze mną *blahą* rozmowę, dają im do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany *trójkątem*. Oni śmieją się, mówią coś między sobą i śmieją się *jeszcze* głośniej, następnie częstują mnie skrzętem, na którego nie wiem, czy mam ochotę, gdyż dawno nie paliłem, w końcu *ulegam*, i *niczego* nie pamiętam, a raczej *widzę* wszystko w jakichś dziwnych przebłyskach.

Coś w stylu: plaża, basen, Julia, cały czas stary Korn z iPhone'a, potem *piecze* mnie policzek, Julia *wściekła* się za to, że pomyliłem jej imię z imieniem mojej *byłej* dziewczyny, przekonywanie, żeby nas jeszcze nie pakowała, niech zadzwoni do rodziców, żeby przesłali nam *pieniądze* na *dalszy* pobyt, potem przypadkowa rozmowa z facetem, który przyznał mi się do tego *morderstwa* przy butelce krwistego wina wypitej *gdzieś* na schodach i film pornograficzny z elementami *BDSM* obejrzany z laptopa z Julią *na zgodę* w łóżku.

Gdy Julia rano bierze prysznic, ja leżę na łóżku, *nic* sobie nie robię z *zakazu* palenia i kończę film. Patrzą, jak wysoka, pełnokszałtna blondynka z dużym czarnym dildo na pasku *posuwa* jęczącą, zawieszoną *na sznurach* szczupłą brunetkę. Nie widzę w tym *żadnego* sensu. Film się kończy, biorę telefon, nastawiam swoją składankę i idę *dołączyć* do Julii w kabinie prysznicowej.

– Przepraszam – mówię przez wodę – nie chciałem cię *pomylić*. Nigdy więcej cię z *nikim* nie pomyłę.

Julia *wzdycha*. Właściwie to *udaje*, że *wzdycha*.

– Wymsknęło się, tak? – już *uśmiecha* się *zalotnie*.

– Żebyś wiedziała – mydlę jej plecy, potem piersi, w końcu zjeżdżam dłońmi *w dół*, a Julia opiera się o mnie plecami. Jest nam dobrze, coraz lepiej, w tamtej chwili opowiadam jej o moim spotkaniu w hotelu, i Julia stwierdza, że wie, o kogo mi chodzi, i podobno mamy *szykować* się na *koljne* zgony. Nie zaczynam się bać, a *właściwie* sam już nie wiem. A potem, *pieprzając* się na stojąco, prawie *niszczymy* kabinę.

Gdy jesteśmy na korytarzu, mija nas para z dzieckiem, facet zatrzymuje się przed nami, *chwytą* mnie za rękaw koszulki, *odciąga* mnie od Julii i mówi coś w stylu, żebyśmy się *opamiętali*, nie możemy się tak głośno zachowywać, ponieważ on z żoną i dzieckiem są naszymi sąsiadami, mówi

mi, żebyśmy pieprzyli się *ciszej*, gdyż dziecko *nie może* zasnąć. Na początku jestem zdziwiony, potem odpycham go, on *uderza o ścianę*, dziecko zaczyna *plakać*, a żona uspokaja je, i pytam go, czy słyszał o tym ostatnim morderstwie; opisuję je, *trochę* improwizując, że w ciele tego trupa nie znaleziono *kropli krwi*, a morderca mieszka *gdzieś blisko*, i potem pytam, czy zrozumiał; odchodzimy z Julią, oni stoją jak *posągi*, dziecko płacze, rzucam im spojrzenie i gdy ich widzę, wybuchamy z Julią głośnym śmiechem, który *niesie się* po korytarzu; znikamy *im* z oczu.

Na uszach mam słuchawki i słucham *przepięknego Llorando* ze ścieżki dźwiękowej do *Mulholland Drive*. Julia trzyma mi stopy między nogami, delikatnie porusza palcami, a mi się chce *plakać* za każdym razem, gdy słucham tej piosenki.

Z *daleka* zauważam tych dwóch chłopców, którzy wieki temu poczęstowali mnie skrzętem, to było *tak dawno*, idą i ciągle się śmieją, w końcu zbliżają się i macham do nich, podchodzą, i przysuwają wiklinowe fotele, pytają, co słyhać, i czy wiemy, że cały hotel gada o *tym* morderstwie, nie ma *innego* tematu, a DJ nawet uczcił to minutą *ciszy* na dyskotecę. Odpowiadam, że to *naprawdę* wzruszające, Julia czyta, ale wiem, że słucha naszej rozmowy i w końcu zwraca się do nich, mówiąc, że są ładni, słodcy, *jak z żurnala*, na co oni chichoczą i potem Julia chce od nich trawę, *dużo* trawy, której nie mają, ale są za to w posiadaniu znacznych ilości *mefedronu*, których oferują nam sprzedaż po *niższej* cenie.

Nie wiem, jak mija ten dzień, ale jestem pewien, że przeczytałem książkę i teraz *najprawdopodobniej* czytam ją od początku, choć *nie jestem* tego pewien; wiem tyle, że jestem z Julią w pokoju i stoimy przed lustrem w łazience i *podziwiamy* swoją urodę, widzę *dokładnie* jej ciało, tak jak ona *moje*, jest *cudownie*, wszystko w pokoju jest *takie piękne*, widok z balkonu jest *bardzo* ostry, chmury, których wcześniej *nie było*, biegną po niebie w *nicłość*, jeszcze *nigdy* tak się nie czułem, i już teraz wiem *na pewno*, że chcę się tak *czuć często*, Julia stwierdza, że mimo wszystko się *trochę* tego *boi*, ale przekonuję ją, że to *nic złego*, przecież *wszystko* jest dla ludzi, trzeba być *silniejszym* od używek, mieć *kontrolę*, mówię, nadaję jak *szalony*, *szybciej* mówię niż myślę, a może *szybciej* myślę niż mówię, w każdym razie domyślałem się, do kogo mogę się odezwać, w celu załatwienia sobie *kolejnej* działki już w Warszawie.

Myślę też o tym, że każdorazowe zapalenie *papierosa* jest *przeżyciem* jeszcze nigdy przeze mnie *nie przeżytym*, dym jest *gęsty*, a każda komórka mojego ciała jest naładowana *energią*, potem jeszcze z Julią robimy sobie

zdjęcia, na których nasze oczy są *niebiesko-szare*, mamy spory *wytrzeszcz*, roznosi nas energia, jesteśmy zupełnie *świadomi* naszych stanów, ale chcemy więcej, więc *wciągamy* jeszcze po jednej, ale *bardzo* grubej i szpiczastej *kresce* i mój umysł *chce*, aby Maks wyszedł z siebie i stanął *obok*, *nic takiego* jednak się nie dzieje, więc ślinię palec, zbieram *resztki* ze stolika, *wcieram* je sobie w dżiąsła i właściwie już *nic nie chcę*, wszystko jest takie *kurewsko* ostre, i wiem, że będzie mi *trudno* tego *odmówić* następnym razem, wiem o tym *na pewno*, ale przecież *raz się żyje*, a ten stan jest wart nawet najgorszego zejścia, nie dbam o to, jak będę czuł się jutro, a potem z Julią robimy *jeszcze więcej* zdjęć, a ja nie mogę *przestać* chodzić po pokoju, więc biorę szybki i zimny prysznic, i łączywie piję pod nim wodę, potem wychodzę z kabiny i wcieram sobie w dżiąsła *minimalną ilość*.

Myślmy o tym, czy może jednak zejść na dół po jakiś *alkohol*, ale jednak nie schodzimy, wpadliśmy w *bardzo* dziwny stan *chcenia* i *nie-chcenia*, więc teraz po prostu siedzimy i patrzymy sobie w nasze *puste* oczy, w których zupełnie *nic nie ma*, może oprócz *pragnienia* jeszcze *kolejnej* kreski i *jeszcze* jednej, więc stwierdzamy, że to *ostatnia* na dzisiaj, a ja wpadam na *szalony* pomysł, aby tych dwóch chłopców załatwiło nam *więcej* tego *genialnego* narkotyku, złożymy się i nie będziemy *niczego* jeść, *nie ma sensu* tracić czasu na posiłki, *świat jest nasz*, *stoi otworem*, a ja *nie mogę* się *doczekać*, jak jutro zapodamy sobie z Julią *jeszcze więcej*, i tym razem pójdziemy popływać, zresztą: możemy robić *wszystko*.

A potem *nagle* i zupełnie *niespodziewanie* następuje *zwrot* akcji, ponieważ *ktoś* puka do drzwi, i nie wiem czemu, ale myślę właśnie o chorwackiej *policji*, z czego się w duchu śmieję, *wcale* tak nie jest; jest tak, że idę przez pokój, który nie chce się skończyć, w końcu dochodzę do drzwi, w pokoju jest straszny bałagan, nie dbamy z Julią o niego, *nic nas nie obchodzi*, aż w końcu otwieram drzwi i widzę *tego* mężczyznę, którego spotkałem na schodach i wypilem z nim *krwiste* wino, to właśnie *on* mówił mi o tym *morderstwie*, o jego *popelnieniu*, więc patrzę mu w oczy i on ma *podobnie* białe, jak ja, już wiem, że może to być początek *pięknej* przyjaźni, jest *blady* niczym *nasz mefedron* i cały ubrany na *czarno*, witam się z nim i jego dłoń jest *zimna*, i gestem zapraszam go *do środka*, myśląc w tym potoku myśli, kto umrze *pierwszy* i *kiedy* będą *obiecane* przez niego *następne* zgony.

Michał Dąbrowski

Joanna Jarecka-Gomez

Niecodzienna propozycja

(fragment powieści *Ewa i Europa*)

To była jedna z tych brukselskich kawiarni, gdzie kiedyś może przesiadywał Jacques Brel, a dzisiaj odwiedza ją średnio wymagająca klientela, zróżnicowana wiekowo i kulturowo. Podają tu różne rodzaje piwa, a do tego kawałki żółtego sera i salami. Profesor już czekał. Siedział przy oknie – zauważyłam, że wybrał stolik najbardziej oddalony od innych. Zresztą o tej porze, wczesnym popołudniem, kawiarnia była niemal pusta.

Profesor przywitał mnie uśmiechem. Zamówiliśmy kawę.

– Na pewno czegoś już się pani domyśla. Tak, to ma związek ze służbami. Kiedyś wykładałem na Uniwersytecie w Louvain, ale wizytówka, którą pani dałem, jest już nieaktualna. Od kilku lat współpracuję z VSSE, Belgijską Agencją Bezpieczeństwa. W dobie poważnych zagrożeń terroryzmem, religijnym fanatyzmem i tym, które stwarza rosnąca w siłę skrajna prawica, uznałem, że moja wiedza powinna mieć bardziej praktyczne zastosowanie i zamiast opowiadać studentom o tym, jak walczyć z tymi zjawiskami, postanowiłem działać. W ostatnim raporcie naszych służb ustaliliśmy, że na terenie Belgii mamy w tym momencie trzy źródła potencjalnego zagrożenia.

– O jakim zagrożeniu pan mówi? Dla zdrowia i życia obywateli czy dla demokracji, a może dla instytucji europejskich, które mają tutaj swoją siedzibę?

– To system naczyń połączonych, ale zaraz przejdę do konkretów.

Do kawiarni weszła para młodych ludzi. Wyglądali na studentów. Usiedli w głębi i zajęli się sobą.

– Raport, o którym mówię, jest dostępny publicznie, więc może go sobie pani dokładnie przeanalizować. Istnieje poważne zagrożenie ze strony radykalnych islamistów, a szczególnie sympatyków salafizmu, który promuje przemoc, zachowania rasistowskie i antydemokratyczne. Prowadzą aktywną indoktrynację za pomocą różnych dostępnych środków, takich jak na przykład media społecznościowe. Inne zagrożenie, wymienione w raporcie, dotyczy wzmoczonego pozyskiwania broni palnej w środowisku

skrajnej prawicy, której ideolodzy przewidują nieunikniony konflikt o podłożu religijnym i rasowym.

– To bardzo interesujące i zarazem niepokojące, ale co ja mam z tym wspólnego?

– Trzecie poważne zagrożenie służby widzą w działalności szpiegowskiej chińskich studentów, niektórzy z nich odbywają staż w instytucjach europejskich i mogą mieć dostęp do wrażliwych informacji przekazywanych następnie do Pekinu. Przypomina sobie pani stażystę z Szanghaju o nazwisku Li Chong. Ustaliliśmy, że odbywał kilkumiesięczny staż w pani departamencie.

– Tak, przypominam sobie. Wykształcony, zdolny i spokojny chłopak. Doskonale mówił po angielsku i niezłe sobie radził z francuskim. Robił, na moją prośbę, przegląd chińskiej prasy, pomagał w organizacji wizyty naszej delegacji w Chinach. Był dyskretny, pracowity, otwarty. Dobrze pracował w zespole. Nie uwierzę, że on może mieć jakiś związek z procederem, o którym pan mówi. Jego zachowanie nie wzbudzało niczyich podejrzeń. Na każdym kroku okazywał wdzięczność za to, że daliśmy mu szansę na staż i nie mam wątpliwości, że był lojalny.

– Lojalny na pewno, tylko wobec kogo? Wobec pani, czy wobec swojego szefostwa w Szanghaju i Pekinie, dla którego pracował?

– Chce pan powiedzieć, że był szpiegiem?

– Tak, i nie tylko on. Również dziewczyna, która przyszła zaraz po nim, Tong-Li. Obserwowaliśmy ją i jego przez kilka miesięcy i nie mamy wątpliwości, że tak właśnie było.

– Jestem zszokowana, ale czemu nie powiadomiliście od razu sekretarza generalnego albo mnie bezpośrednio. Po tym, co od pana usłyszałam, wzmocnimy czujność przy przyjmowaniu chińskich stażystów, a nawet myślę, że powinniśmy na jakiś czas w ogóle z nich zrezygnować.

– Ach, gdyby tylko to mogło rozwiązać problem!

– Mam nadzieję, że skoro ci dwoje zostali dzięki waszym służbom zde-maskowani, to nie wypełnili swojej misji i jeśli tak, to zasługuje pan na gratulacje. Ale teraz czego właściwie pan ode mnie oczekuje?

Profesor popatrzył na mnie badawczo i zapytał, czy mam ochotę na lampkę wina. Nie czekając na odpowiedź, przywołał kelnera.

– Białe czy czerwone, a może koniak?

– Poproszę czerwone Bordeaux.

– Świetnie. Ja też wolę czerwone. Myślałem, że poprosi pani o jakieś hiszpańskie wino. Mają ich tutaj kilka: Ribera del Duero rocznik 2015, to

ten ulubiony pani męża i pani zresztą też. I ser Queso Manchego, za którym pani przepada. Ale zostawmy drobiazgi. Czas przejść do sedna.

Poczułam wyraźny dyskomfort, kiedy uświadomiłam sobie, że ten siedzący naprzeciwko mnie niby profesor Dubois, którego widzę drugi raz w życiu, wie o mnie znacznie więcej niż ja o nim. Zawsze wystrzegałam się w życiu asymetrii tego typu, a to była właśnie taka sytuacja.

– Słucham pana – powiedziałam oschle. – Co tak ważnego dla mojego bezpieczeństwa ma mi pan do powiedzenia?

– Nasze służby przechwyciły informacje, z których wynika, że pani mąż mocno się naraził chińskim władzom swoją ostatnią publikacją w „Financial Times”. Otwarcie krytykował w niej chiński reżim i sens zawierania przez Unię umowy handlowej, cytuję „z nieprzewidywalnym partnerem, który nie szanuje żadnych zasad ani wartości i nie dotrzymuje warunków umów i konwencji międzynarodowych, które podpisał, realizując wyłącznie swój interes narodowy. Z pewnością będzie podobnie w przypadku ewentualnej umowy handlowej z Unią”. To nie pierwszy artykuł pani męża na temat Chin, ale ten odbił się szerokim echem w mediach społecznościowych i za to poleciała też głowa tutejszego chińskiego ambasadora. Pani stażyci wspomagani przez kolegów z Uniwersytetu w Leuven okazali się bardzo gorliwi i zgromadzili na państwa temat szczegółowy materiał, który zawiera wszelkiego rodzaju informacje.

– Jakie na przykład?

– Jakie macie przyzwyczajenia, gusta, zamiłowania, plany, z kim się spotykacie i utrzymujecie kontakt, co robi wasza córka Pepa, o waszych przyjaciółkach na Tajwanie i w Hongkongu, o rodzinie Liu Chiao Bo... Nawet o tym, co jecie na śniadanie i gdzie chodzicie na spacerzy w pobliżu domu.

– To oczywiście skandaliczne, ale na szczęście żyjemy w wolnym kraju, więc chyba tutaj nie muszę się niczego obawiać. Sugeruje pan, że mamy zatrudnić ochroniarza? Do Chin się nie wybieramy. A jeśli chodzi o poglądy mojego męża, to mogę powiedzieć, że są obiektywne, oparte na konkretnej wiedzy i generalnie je podzielam, a już na pewno jeśli chodzi o zagrożenie, które stwarzają niedemokratyczne Chiny dla Europy i dla świata.

– Teraz mówimy o ewentualnym zagrożeniu waszego bezpieczeństwa. Udało nam się ich spłoszyć. Anargul wykonał dobrą robotę. Zorientowali się, że jest pani pod naszą ochroną. Dziwiła się pani jego pstrokatym koszulom, ale one były jak najbardziej na miejscu. Mąż miał dyskretniejszego anioła stróża, a właściwie anielicę. Ale to musi zostać między nami. Teraz

ruch należy do państwa, a właściwie do pani. Proszę nie lekceważyć niebezpieczeństwa. Wypadki zdarzają się każdego dnia i niektóre pozostają niewyjaśnione na zawsze. Coś o tym wiem.

– Proszę mnie nie straszyć i tak już mnie pan mocno zaniepokoił.

– Możemy państwa dalej chronić, ale jeśli zgodzi się pani z nami współpracować. To nie będzie nic wielkiego. Raczej przysługa, która może nam pomóc w pracy. Jesteśmy aktywni na wszystkich frontach, przede wszystkim cybernetycznym, ale wobec rozmiaru wyzwań, potrzebujemy wsparcia ze strony ludzi takich jak pani.

– Czyli mam zostać szpiegiem?

Profesor wybuchnął śmiechem i szybko dodał:

– Na pewno nie zostanie pani Matą Hari. Możemy poprosić panią o opinię na temat kogoś, kogo obserwujemy albo o przekazanie informacji, która może być ważna dla opracowania jakiejś siatki. Za wcześniej, żeby o tym mówić. Proszę porozmawiać z mężem i zastanowić się. Od pani zależy, czy to będzie nasze ostatnie spotkanie, czy początek współpracy, a może nawet przyjaźni. Kto wie? Zadzwońię we wtorek za tydzień.

Zanim zdążyłam się zorientować, już go nie było. Przed wyjściem uregulował rachunek.

Joanna Jarecka-Gomez

Agnieszka Lis

Z nieistotnej perspektywy

Codziennie umiera tysiące much. Miliony może. Morze much.

Część zdmuchnięta i sprasowana koronkowym pędem plastikowych pacek na muchy. Czerwonych, niebieskich, zielonych. We wszystkich kolorach tęczy. Kolorowa śmierć. Ażurowa tęcza tysięcy pacek na muchy wysysa codziennie tysiące much. Milionów może. Albo iluś tam.

Muchom nie służą także pająki i ich misterne konstrukcje z ledwie widocznych, przeźroczystych, a mocnych jak powrozy nici. Z perspektywy muchy niemożliwe do przerwania, oplatają, zaklejają, unieruchamiają. Potem zostaje już tylko łapczywe wysysanie, mlaskanie, cmokanie i siorbanie. Nieestetyczna jest ta śmierć much.

Bardziej kolorowe od rozłożonych pawich ogonów – żaby całego świata łączą się w uśmiercaniu much. Jadowite, czerwone, metaliczne, plamiste – łowią, żywią się, wykańczają.

Ptaki, bociany, małe zwierzęta – wszyscy chyba polują na muchy. W ludzkich domach pomiędzy szybami starych okien znaleźć można truchła wyschniętych, umarłych much. Wlatują szparą, nieodnajdywalną ponownie i patrząc przez przezroczystą szybę na tak niedaleką wolność – dogorywają w milczeniu. Albo z muszym, niesłyszalnym okrzykiem.

Tysiące, może miliony much. Morze much.

Lub za moskitierą – w której wystarczyłoby przeciąć dwa, trzy włókna – opadają z sił, latają coraz wolniej, osiadają w końcu u podstawy, a może po prostu spadają w przerwany locie, do ostatniego tchu zdenerwowane, ale już bez sił do walki.

Codziennie, miliony much.

Co my wiemy o umieraniu?

Agnieszka Lis

Wiesława Oramus

Wszystkie łąki

Kiedy już umieli chodzić razem, nie objając się o siebie, w ustalonej odległości, obok siebie, ale nie pod rękę, z wypracowanym tempem, rytmem, długością kroku, dotarli na tę łąkę, a może bardziej wielkie połacie chaszczy, ugorów, pozostałości po jakichś uprawnych polach. A była to pora kwitnienia maków, rumianku, margerytek, wyrastających, między pojedynczymi kłosami pszenicy, koniczyny, jakichś ziół, traw.

– Pięknie tu, piękny widok... jak obraz... Moneta, Maneta – zastanawiała się. – ...Nie jestem pewna, ale...

– Moneta – powiedział stanowczym tonem.

Nie potwierdziła, nie zaprzeczyła, zatrzymała się, poczekała, aż oddalił się, patrzyła na jego plecy, zamaszysty krok, marsz, bo bez niej przyspieszył, maszerował, jak gdyby chciał ocenić wymiary tych chaszczy, tych połaci porzuconej ziemi, pól, pastwisk. Jak gdyby oceniał ich wartość, przydatność do czegoś, snuł jakieś plany, kalkulował.

Patrzyła na niego, na zmieniający się jego obraz, jak stawał się ciemną plamą wśród kwitnących drzew opuszczonego sadu, coraz mniejsza, mniejsza, aż zginął z jej pola widzenia.

Wtedy weszła ma tę łąkę, wyciągnęła ręce przed siebie, potem uniosła je, opuściła, po kilku sekundach znowu uniosła, zastygła w bezruchu. To było powitanie słońca, potem był taniec ptaka, wymagający uniesienia prawej nogi, chwycenia za palce, trwanie w tym znowu kilka sekund, powtórzenie z lewą nogą, potem głęboki skłon z dotknięciem kostek stóp, uniesienie ramion, szeroko rozłożonych. Wszystkie te asany powtórzyła wiele razy, pamiętając o wdechach, wydechach, wstrzymywaniu oddechu, dopóki nie poczuła na karku jego oddechu. Ciepłego. Wyrwał ją ze stanu koncentracji niezbędnej przy tych ćwiczeniach mających doprowadzić do nirwany. Ucisnął ją mocno, wycalaował i poprosił o rękę, o szczęście, jakie może mu dać, o szczęśliwe życie z nim, dla nich, dla ich szczęścia.

Wpiął jej we włosy kwiat dzikiej róży, oplótł szyję jakimś łańcuszkiem, ukląkł z wiechciem tych polnych stokrotek, maków, nakładając pierścionelek na palec...

I takie to pomieszanie z poplątaniem, taka przygoda, taka przeszkoda pojawiła się na tej jej drodze do nirwany. I wizja nie oderwania od świata, ale wejścia w jego nowy wymiar.

A... Monet czy Manet zeszło na plan dalszy. Zresztą... wkrótce okazało się, że na te zdziczałe pola i łąki wjechały koparki i zryły prawie wszystko. Prawie, bo poprosiła, żeby zostawić chociaż kawałek, żeby miała gdzie witać słońce. I mieć swoje miejsce do rozmyślań o tych szczególnych stanach, o swojej egzystencji, swoim miejscu... wszędzie.

Nawet w tym ogrodzie, tej ogrodzonej przestrzeni, z pięknymi trawnikami, zielonymi jak z obrazu Maneta siedziała przy nim, przy zapraszanych ludziach. Siedziała, jak naga... Jak... naga społecznie. Nie miała na sobie garnitur, symbolu przynależności i umiejętności. Naga dusza. Może błędząca, poszukująca, chociaż świadoma walorów swojej cielesności, atrakcyjności dla tych wszystkich goszczonych w salonie, na tarasie, czasami na rozłożonych na trawniku fotelach, a nawet pledach. Odczuwała swoją cielesność, swoją osobowość – poszukiwaczki czegoś, co było poza biznesowymi rozmowami, a co miało, mogło czasami – odkryła to szybko – wpływać na przebieg tamtych rozmów. Być jakąś ucieczką, przerywnikiem, żeby ktoś dostrzegł piękno i łagodność uśmiechu, spojrzenie, w którym jest coś, co wykracza poza kalkulacje, negocjowanie cen, umów, jakąś wizję, czemu, komu ma to służyć, a co czasami skłania do ustępstw, zmiany widzenia realnego świata, takiego bardzo materialnego, dotykającego – do zmierzenia, obliczenia, wycenienia. Może dzięki temu był coraz bardziej zadowolony z efektu swojej działalności. A ona traciła swoją nagość, bo przecież żona takiego człowieka musi się prezentować, reprezentować jego! Jego sukces. Przybywało jej strojów, biżuterii – najwyższej jakości. Nie do końca zachwycona, ba, nawet. traktująca to wszystko, te rozmowy, śniadania na ich tarasie albo na pledach rozłożonych na trawniku, nawet znużona, zniesmaczona, nie sprzeciwiała się jednak. Poddała się po jednej z rozmów, gdy panowie zainteresowali się albumem leżącym na stoliku, przyciągnęła ich uwagę na chwilę reprodukcją tego obrazu Maneta. Byli zde gustowani kształtami nagiej kobiety, dalekimi od współczesnych kanonów piękna, ale zaniemówili ze zdumienia, podziwu, usłyszawszy, jaka jest jego wartość. Materialna.

Odłożyła album, żeby nie zobaczyli, a przede wszystkim on, reprodukcji tamtej łąki. Ocaliła ją.

A kiedy opuścili już ich dom i ogród, poszła na swoją łączkę. Z wiarą, że jest możliwe odnalezienie harmonii, że w tym świecie możliwe jest

odnalezienie spokoju, harmonii między swoją duszą i światem i odnalezienie jedności tych dwóch bytów, zatopienie się jego, swojego ciała i duszy we wszechświecie, w Kosmosie, wszystko, wszystko będzie jednością. Stworzy ją, swoją, dla siebie. Dla akceptowania świata, w którym jest, skoro się już tu znalazła. Bo przecież odkryła, odkrywała każdego dnia swoją obcość w nim, rozpacz i samotność. I... nie wiadomo, co jeszcze.

Spędzała tam coraz więcej czasu.

Dostrzegał to, jej stany, ale uważał, że są na to sposoby, że piękne życie, jakie jej stworzy, piękne, dla niej pięknej, nawet jeżeli urodziła się z jakąś... skazą, pomoże. Tak też pojmował swoją rolę w jej życiu, ich życiu, we Wszechświecie.

I może dlatego koncentrowała się wtedy na całym zestawie ćwiczeń i mantr powitania słońca i na wydechu i bezdechu. Wykonywała pokłony i unosiła tułów, wyginała się w tył, opuszczała ręce bokiem, przechodziła do pozycji wyprostowanej, leżała na brzuchu, unosiła miednicę, przyciągała jedną nogę do klatki piersiowej, zginając ją w kolanie, ręce kładąc na ziemi, między stopami, i stała z rękami złożonymi na klatce piersiowej, powoli unosiła je, odchylając głowę do tyłu, znowu pochylała, kładła głowę na kolanach. Wszystko zgodnie z zaleceniami z podręcznika. I powtarzała i powtarzała – i ćwiczenia, i mantrę. Tę swoją – niech trwa, niech jest, niech trwa, niech będzie, niech się odnajdzie i nie zniknie, czymkolwiek będzie, jak to będzie, gdy się dotrze do tego stanu.

A tamten album, jak i wiele innych, kolekcjonowanych od... zawsze, wzbudzające jakieś nieokreślone pragnienia, jak ten stan nirwany, schowała w swoim pokoju. Ile tam było łąk, ile szkół malowania ich, ile emocji, tęsknot ludzkich za... czymś nazwanym i nienazwanym, ile koncepcji, ile rozważań o roli kolorów, linii, światła, dzięki którym możliwe było osiągnięcie celu, Iie o warsztacie, o natchnieniu, duszy artysty, ile o szkołach, metodach dochodzenia do celu!

Przybywało i tych albumów, wspaniałych, coraz wspanialszych, przywożonych z podróży, z wędrówek po muzeach. Coraz więcej, coraz więcej było w tym jej pokoju łąk, coraz więcej na niej pięknych sukien, biżuterii, coraz więcej podziwu dla niej w trakcie wszystkich śniadań, kolacji, przyjęć, biesiad na tej jednej, uporządkowanej części ogrodu, na tej pięknej, zielonej łące. Coraz więcej gości, jego, tam bywało, coraz więcej wiedziało o sztuce Moneta Maneta i innych wielkich.

Coraz rzadziej chodziła na swoją dziką łąkę, coraz trudniej było jej przejść przez cały cykl asan powitania słońca. Ciągłe coś przeszkadzało.

Nawet ludzie zza żywoplotów podglądający dom człowieka sukcesu – no w końcu i bankiera i dewelopera. Wzoru sukcesu.

Trudno było odnaleźć to – ja – słońce. Ja i słońce. Coraz więcej elementów pojawiało się między nimi, zakłócało porządek rytuału, wprowadzało chaos.

Urządziła sobie w piwnicy taką swoją, specjalną łąkową salę, nazwaną tak z powodu fototapet na ścianach z motywami łąkowymi, matami imitującymi trawnik. Nikogo tam nie wpuszczała. Może przez to stał się czymś tajemniczym, a przez to wzbudzającym zainteresowanie i chęć wtargnięcia tam.

A tych dzikich łąk wokół ich posiadłości było coraz mniej, a coraz więcej domów, o dziwo, bardzo podobnych do tego, jaki wybudował dla nich. No bo przecież miała to być dzielnica domków jednorodzinnych, czy raczej willi.

Może z tego powodu i z powodu ciekawskich zażądała postawienia wyższego płotu, posadzenia wyższych drzew... i poczuła się jak za więziennym murem... Ale... nie było innego sposobu.

I to wtedy zaczęła ćwiczyć lot ptaka, pozycję żurawia, pawia – w salce piwnicznej i na swojej dzikiej łączce. I stanie na głowie.

A mimo to, coraz gorzej jej to wychodziło, nawet mimo wdechów, bezdechów, asan relaksujących do niczego nie dochodziła, a czasami wszystkie pragnienia uniesienia się kończyły się skruceniem kostki, zwichnięciem palca. No, nie całkiem – podobno też do wspaniałej sylwetki. Panowie to widzieli, panie głośno komentowały. A ich było coraz więcej. Pierwsze pojawiły się w charakterze towarzyszących swoim mężom, partnerom i gdy panowie rozmawiali o interesach, musiała je zabawiać, odpowiadać na pytania. Stała się gospodynią, panią na tych włościach, panią z łąki, panią od piękna w najbliższym otoczeniu, od sztuki, bo przecież mąż potrafił ją odpowiednio zaprezentować, wykreować jej wizerunek. Biznes i sztuka, sztuka i biznes – jak często, jak coraz więcej z nich powtarzało to! Brzmiało to jak jakaś maksyma, recepta na życie, modus vivendi, alfa i omega egzystencji... Na dodatek traktowano to jak przynależące do niej, odkryte przez nią, praktykowane przez nią. A wszystko z powodu męża, jego roli, jego zamożności. Jako hołd oddawany jemu, wyraz uznania i podziwu.

Biznes i sztuka to były również wszystkie te kobiety – od aukcji, promocji dzieł sztuki, wyceny sztuki, przekładania je na język pieniądza. Organizujące, obdarowujące również, ale zawsze po to, żeby ktoś zobaczył, też zapragnął mieć. I to, że najczęściej były to obrazy łąk, łąkowych kwiatów,

traw. I wkrótce cały salon był nimi obwieszony. A w posiadłościach wielu tych pań zaczęto zostawiać kawałek ziemi na taką dziką łączkę. I tam odbywały się przyjęcia, a nawet wieczory poświęcone sztuce, poezji, nawet dramaturgii. Tam dochodziło do nawiązywania znajomości, kontaktów biznesowych, ustalania cen... wszystkiego, uznawania czyjeś wręcz istnienia, jego wartości rynkowej, miejsca w hierarchii różnych grup. A te panie, te panie... – jak kwiaty, jak łąka kolorów, kształtów, barw, jak kwiaty, wyhodowane w cieplarnianych warunkach, wspierane, wspomagane.

Pojawiało się też coraz więcej miejsc w okolicznych parkach, gdzie wśród kwiatów można było, w grupach, ćwiczyć jogę, odnajdywać kontakt z naturą i samą sobą i swoją grupą... Organizowały je panie bywające u nich, które, często tak na siłę, wbrew jej woli, często pod jej nieobecność dostały się do jej pokoju, w piwnicy, który przecież miał być jak komnata Sinobrodego. Zapraszały ją, ale odmówiła.

To wtedy najwięcej czasu poświęcała na ćwiczenie skłonów w lotosie, bo miało to zapewnić zdolność do wyciszenia, zamknięcia się, wyłączenia, a te z kolei zdolności do świadomego kierowania swoimi gestami, ruchami i myślami. I uspokajać układ nerwowy.

Bardziej jednak wyłączyło ją na jakiś czas macierzyństwo, nowe łączki, w cieniu, pod drzewami, dla ochrony przed słońcem, potem dostawianie pierwszych kroków i bałwanów, łapania motyli, łąki nadziei, otwarcia na przyszłość, łąki niewiadomej, nieokreślonej perspektywy. Z przewagą błękitu w doborze kolorów kwiatów.

Wtedy zrezygnowała nawet z tych kilku godzin na etacie pani od rysunków, co dawało nie tyle pieniądze, co szansę na dzielenie się zachwytem nad sztuką, talentem innych do tworzenia nowych bytów, dzięki umysłowi i warsztatowi, znajomości technik, wynajdywania nowych. Sama – miała tego świadomość – wielkim talentem nie była. I nie marzyła nawet o namalowaniu jakiejś swojej łąki. Wołała uwielbiać stworzone przez innych, chociaż – może to była ta jej skaza – poczucie braku więzi ze światem, obcość, „nieprzynależność”. I dlatego odnalazła jogę, nadzieję, że znajdzie drogę do akceptacji świata, siebie. Mimo wszystko.

A kiedyś, z jakiegoś powodu, wybrali się na spacer. I wtedy zobaczyła – jak obraz – całe to osiedle willi, z fragmentami takich samych jak u nich płotów, krzewów, trawników i zakątków z dzikimi łączkami, i rozpląkała się. On, dumny ze swojej pracy, w której sukcesie miała swój udział, nie mógł zrozumieć, jaka jest przyczyna tych łez i szlochów, a co gorsza nie potrafiła mu wyjaśnić, bo sama nie wiedziała, nie znała ich.

Zgodziła się jednak i na następny taki spacer, i na kolejny i kolejny, w poszukiwaniu. czegoś... I on, i ona nie wiedzieli, czego. Któregoś dnia zapytał, czy pamięta tamten taniec, dzień, kiedy się jej oświadczył. Zapytał, czy mogłaby dziś zatańczyć. Powiedziała, że to nie był taniec, ale powitanie słońca, asana, i że, nie, nie jest w stanie powtórzyć, bo jest zmęczona, za stara, przygnieciona wszystkim – co na mnie, we mnie, wokół mnie, bo nie chcę już niczego szukać, do niczego dążyć, bo nie mam żadnej harmonii, żadnej nirwany, żadnego nawet pragnienia szukania, dążenia do.... I usiadła pod drzewem, nieświadomie, ale w pozycji ptaka, który zatrzymał się w locie. Po chwili powiedziała: – A jednak, jednak wtedy, na tej dzikiej łące to była nirwana. Była, była, a więc jest, jest, jest!

Chciał jej podarować jakiś klejnocik, jak wtedy, owinięty w płatek róży, ale nie chciała go przyjąć.

– Bo to może te klejnociki wyrwały mnie, nas, z tego stanu. Bo byliśmy tam razem, razem we Wszechświecie, Kosmosie. Zachowaj go na inną okazję. A kwiatek polnej róży wezmę, odurzę się jego zapachem – i obecnym, i zapamiętanym – z tamtego dnia. Jak ta łąka pachniała!

Odnalazła go, w kieszeni marynarki dużo później, w czasie opróżniania wszystkich jego szaf.

A wtedy z jakimś żalem powiedział jeszcze, że nie powinna się tak łatwo godzić z nim, w tym sporze o to czy Monet, czy Manet. Machnęła ręką, stwierdziła, że nie miało to żadnego znaczenia.

– Miało, miało nawet nie wiesz jak wielkie. Nie zrobiłaś nic, nic! Przypomnieć, że człowiek może się mylić, wybierać niewłaściwą drogę, nie umieć przyhamować, zejść z niej, poszukać innej. Albo zatrzymać się.

Dziś się zatrzymaliśmy – zauważyła. I przecież do czegoś, nawet nie wiedząc o tym, dotarliśmy. Przecież wtedy... wtedy to była nirwana... A ja o tym nie wiedziałam. Może na tym polega to szukanie, ta droga przez wszystkie asany, wdechy i wydechy. Może zdarzyć się tylko raz, jest tylko na jeden raz... I powinno to człowiekowi wystarczyć. A wszystko, co było potem, to było moje miejsce na tym świecie, we Wszechświecie.

Nie była pewna, czy słyszał te jej głośne rozważania – bo nie wiadomo w którym momencie zasnął, na jej kolanach. Starła się nawet nie poruszyć, żeby go nie obudzić. Ostatnio przecież często narzekał na zmęczenie, wypalenie, mówił o tym coraz częściej i chyba tylko o tym.

Powtórzył to samo niedługo potem, w tym szpitalu, którego ściany obwieszane były reprodukcjami największych obrazów impresjonistów. A na wprost jego łóżka wisiał obraz łąki.

– Monet, Manet? – zapytał.

Odpowiedziała, powiedziała prawdę, ale nie była pewna, czy zdążył ją usłyszeć.

A wkrótce, jak lawa runęły na nią wszystkie łąki, wymieszane obrazy, wspomnienia. I ta, z żywych ludzi, których widziała jak rozmazane, impresjonistyczne plamy, pacyny farb, kolorów, migotających, zlewających się w jedną i rozpadających na drobniejsze i znowu zlewających, gdy dziękowała wszystkim za udział w ceremonii ostatniego pożegnania.

Wiesława Oramus

Alicja Patey-Grabowska

Na poboczu

Jego stary, obity, z wyleniałą, niejasnego koloru farbą Wartburg, kupiony okazjnie na złomowisku od byłego właściciela warsztatu samochodowego, obecnie na skutek zażywania trunków, pracującego dorywczo na cmentarzysku wysłużonych pojazdów – Macieja Bąbla, stanął na środku jezdni i ani rusz.

Trąbienia. Kierowcy kilku aut – Opli, Fordów, Volvo – uchylają szyby samochodów. Wściekle, czerwone twarze. Wrzeszczą.

– Dalej baranie! Ruszaj! K... twoja mać! – Trąbienie.

Włącza gaz. Ruszył. Skręcił w bok. Samochód gaśnie na poboczu.

Ciągle brzęczy mu w uszach:

– Baranie...Jełopie

W pracy też. W korporacji dawno mu podziękowali. Był nie przebojowy, no, cóż. Znalazł pracę na poczcie. A i tu...

– Panie Józefacie – niech się pan pospieszy, listy czekają! Szybciej!

Szczególnie pokrzykuje kierowniczką poczty, mocno zbudowana, o szerokich ramionach i krótkiej szyi – Zuzanna Beza.

– Panie Józefacie! Panie Józefacie!

Żona też. Trochę przypomina kierowniczkę poczty. Jakże się zmieniła – pomyślał. – Była kiedyś taka słodką Mariolką... A teraz...

I w domu słyszy: – Józefacie to, Józefacie tamto... – Podnosi głos aż do krzyku:

– Mąż Luby Trombińskiej to przynajmniej chłop. A ty!? I ten grat, wstyd nim jechać.

I tak w kółko.

Właściwie nie spieszy mi się do domu – pomyślał. – Posiedzę tu w samochodzie, na uboczu. A niech się spieszą. Pędzą jak wariaci. Dokąd to? Życie takie krótkie. Dokąd się spieszyć? W rowie, na poboczu zielona trawa i kwiaty żółte, chyba mleczce? Jakie piękne, jak słońce – myślał – a oni pędzą, pędzą. Wymijają się, trąbią. Krzyczy jeden na drugiego k...! Baranie jeden!

I nagle huk. Trzask. To czerwony Opel uderzył w tył srebrnego Volvo

– Baranie jeden! – słyszy.

Tym razem nie na mnie – ucieszył się i przez uchylona szybę, stojąc na poboczu, przy zielono-złocistym rowie, obserwował drogowe widowisko z pewną satysfakcją.

O, już jest policja. Do mnie też podejda. Trzeba będzie zawezwać pomoc drogową. Samochód na platformę. Może jeszcze da się zreperować.

Przyzwyczyił się do tego staruszka. Dużo w swoim samochodowym życiu przeszedł. Poszturchiwany, obrzucany kąśliwymi uwagami. Dlatego jest mu tak bliski. To jakby jego *alter ego*. I co z tego, że nie jest srebrnym Volvo jak ten z tyłem pogniecionym przez Opla, który też ma przód wgnieciony. Kierowcy wyszli cało. Wygrażają sobie pięściami.

Policjant podaje jednemu i drugiemu do ust alkomat.

– O, ho, ho. Piło się, piło – do tego od Opla.

Zabiorą mu prawo jazdy na pięć lat, czeka go sąd – pomyślał z satysfakcją. On nie pije.

Mój stary to taki niedorajda, nawet nie pije – słyszał kiedyś z pokoju przez uchylone drzwi, jak w kuchni obmawiała go Mariola, jego własna małżonka – podobna do kierowniczkę poczty – przed sąsiadką, Genowefą Obczątek. – Spiknęły się baby przeciwko mnie – myślał. – Nie tylko przeciwko mnie. Obmawiają wszystkich mężczyzn – A te chłopy to takie... A te chłopy owakie... Ani do łóżka, ani do roboty, tylko piłka nożna, boks – mordobicie i polityka w głowie.

Jest jeszcze Jolanta, córka Genowefy, ładna kobitka. Jest na czym oko zawiesić.

Lubi, kiedy przychodzi z Genowefą do Marioli. I słodkim jak skowronek głosikiem opowiada, jak to w przedszkolu, w którym pracuje, uczy dzieci wierszyków, tańca, i przeszkadza w podglądaniu przez dziewczynki susiających chłopczyków.

– Skaranie boskie – wykrzykuje Mariola

– A gdzie tam, to normalne – odpowiada Jolanta.

– Jak to normalne? – dziwi się Mariola.

– Dziewczynki zazdroszczą susiaków.

– Tak, tak, droga sąsiadko – ochryplym głosem odpowiada Genowefa.

– Tak, tak, ale to wina chłopaków.

– Dlaczego, mamo? – pyta zdziwiona Jolanta

– Zawsze ich wina – odpowiada Genowefa.

– Tak, tak – dopowiada Mariola.

I tak dalej. I tak dalej. Nie słucham jazgotu bab. Włączam telewizor. Kanał sportowy, Niech mówią, co chcą, ale jestem mężczyzną. Lubię oglądać

mecze piłki nożnej. I boks. No i oglądać „gadające głowy”, jak mówią – polityków. Polityka mnie interesuje. Na tym polega męskość.

A łóżko? No, cóż... gdybym miał u boku nie Mariolę, a na przykład taką Jolantę... – rozmarzył się.

– O, autko się popsulo – usłyszał męski głos, który oderwał go od kłębiących się myśli.

To policjant z drogówki.

– Na lawetę i do warsztatu.

– Tak jest – odpowiedział.

A na środku jezdni stały dwa pokiereszowane super wozy. Dobrze, że żaden nie jego. Jaki korek, cała jezdnia zablokowana.

Przyjadę późno dziś do domu. Nie spieszy mi się. Po co? Przyłożył do ucha komórkę.

– Halo, Mariola. Popsuł mi się samochód. Przyjadę późno.

– Wiadomo – usłyszał ostry głos. – Tylko tobie może się coś takiego przydarzyć! Fujara!

Zdenerwowany nacisnął przycisk komórki. Wyłączył.

Może w ogóle dziś nie przyjdę – pomyślał. Posiedzę sobie w parku. Jest ciepło, zielono.

Albo pójdę na piwo. Ot, co. Dawno nie piłem.

Nagle poczuł nagłą chęć wypicia czegoś mocnego, mocniejszego niż piwo. Tak mocnego, żeby zakręciło się w głowie. Wpaść w niebyt albo poczuć w sobie siłę. Męską siłę.

Huknąć pięścią w cokolwiek. I krzyknąć: Cholera! K...mać!

Alicja Patey-Grabowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Szalony księżyc

Kolejny wianek puszczany na wodę powitały najpierw szmery uznania, a potem gromkie okrzyki zachwytu. Nic dziwnego. Wianek był rzeczywiście piękny. Ten, który ona uplotła, nie umywał się do niego. A więc znowu pech! Zresztą... Jej wianek jest pechowy. Justyna to czuła. Jak można inaczej nazwać wianek, który w konkursie ma numer 113? Nie dość, że 100, a więc długo trzeba czekać na kolej puszczenia go na wodę, to jeszcze na końcu ta 13! Ten najpiękniejszy wianek był 45. Numerek każdy przyczepiał drutem do krzyżaka, a wianki tuż przed puszczeniem na wodę oceniała komisja. Do wygrania jak co roku było mnóstwo nagród.

I po co mi było tam iść? – pomyślała Justyna, która coraz mocniej czuła, że jej szanse na nagrodę są bliskie zeru. Ale odpowiedzi nawet ona nie знаła. Może poszła tam ze względu na magię, która towarzyszyła każdej świętojańskiej nocy? W dzieciństwie babcia opowiadała jej bajkę o chłopcu, który poszedł w tę noc na poszukiwanie kwiatu paproci. Kwiat miał mu przynieść bogactwo i szczęście. Justynie zależało jedynie na szczęściu. W końcu kto jak kto, ale to ona zasługuje na miano pechowca. Gdy miała kilka lat jej rodzice zginęli w wypadku. Opiekowała się nią babcia. Wprawdzie Justyna odziedziczyła po rodzicach dom, a ubezpieczenie z tytułu śmierci zabezpieczyło ją finansowo do końca życia, ale im była starsza tym bardziej przekonywała się, że babcia miała rację mówiąc, że pieniądze nic nie znaczą, gdy nie ma się nikogo bliskiego. Chociaż babcia mówiła to jako umoralniające kazanie o szacunku, jakim wnuczka powinna ją darzyć, a oczywiście zdaniem babci nie darzyła. Ale... Justyna i tak odnosiła to do swojej sytuacji – dziewczyny samotnej.

Wszystkie koleżanki w klasie miały chłopaków. No, może wyjątkiem była Dorota. Paskudna, głupia, tępa i źle ubrana, ale poza nią to... no, może jeszcze Gośka, ale Gośka to w koszuli z krawatem chodzi, ma krótkie włosy i nie raz wzięto ją za chłopaka. Za to i Kamila, i Iwona, i Kaśka nawet teraz na wiankach prowadziły się za ręce ze swoimi facetami. Tylko Justyna sama. Nie układało się jej. Nie to, żeby była brzydka. Była zgrabna, miała długie czarne włosy, najczęściej splecione w gruby, opadający na plecy warkocz, ale... jak pech to pech. Na przykład na ostatnich andrzejkach poznała

Cezarego. Przegadała z nim całą imprezę. Wydawało się jej, że znają się wieki. Nawet w jednej wróżbie wylosowali siebie! No i umówili się potem na spotkanie, ale... jak pech to pech. Zapomnieli wymienić się numerami telefonów. Banalne!

A jednak dała się namówić na puszczenie wianków na rzece. Może dlatego, że namawiały nie tylko dziewczyny, ale i babcia?

– Jak miałam osiem lat – powiedziała, ścisząc głos jak zawsze, gdy mówiła coś niezwykłego. – To poszłam puszczać wianki ze starszą siostrą. A ponieważ mój wianek okazał się najładniejszy, bo był z polnymi kwiatami, to było mi go tak żal, że ... nie puściłam. Wiesz? Siostra się śmiała, że to grozi staropanieństwem! Ale jak widzisz poznałam jakoś twojego dziadka i nawet twoją mamę urodziłam... – babcia westchnęła. Zawsze wzdychała, gdy wspominała swoją ukochaną, jedyną córkę. – Idź na wianki Justynka! Taka noc jest jedna w roku. Najdłuższa! Najjaśniejsza! A całe życie i tak jest smutne i ciemne jak noc.

No i tak znalazła się na wiankach. Impreza jak co roku przyciągnęła tłumy. Justyna wlokła się na końcu korowodu koleżanek paradujących za ręce z tak samo jak i one uśmiechniętymi chłopakami. Chłopcy dźwigali zrobione przez dziewczyny wianki. Justyna swój niosła sama. Był najmniejszy i... taki zwykły. Bez wstążek i sztucznych ozdób. Same kwiaty koniuczyny, rumianku, niezapominajek i jaskółczego ziela tworzyły misterną fioletowo-biało-niebiesko-żółtą kompozycję. Justynie jej wianek najpierw się podobał, ale kiedy stanęła nad wodą i zobaczyła wszystkie czekające na puszczenie, wtedy ten jej wydał się brzydki jak Kopciuszek.

Znowu mam pecha, pomyślała, chciałam, by było tak jak w opowieści babci, a tymczasem... to nie te czasy – westchnęła. Tylko jej wianek nie miał wstążek, sztucznych kokardek, papierowych róż i jedwabnych lili. Tylko jej wianek nie miał stelaża z drutu.

– Boże! – jęknął Rafał, chłopak Kamili na widok wianka Justyny. – Ty kawałki zielska przyczepiłaś pinezkami do krzyżaka z patyków?! Przecież to się zaraz rozwali!

– Szkoda, że nie przyszłaś o czwartej do Iwony – powiedziała Kamila, jakby zapominając, że wcale Justynie tego nie zaproponowały. – Plotłyśmy wianki, a chłopcy robili nam stelaże...

Justyna wzruszyła ramionami i odrzuciła na plecy czarny warkocz. Jakie to w tej chwili ma znaczenie? – pomyślała. Czekała na swoją kolej puszczenia wianka. Kamila była 110, Iwona 111, a Kaśka 112. Stali całą paczką z wiankami w ręku i numerkami umieszczonymi na środku krzyżaków.

Organizator co chwila na głos wyczytywał kolejny numer. Oznaczony nim uczestnik zabawy wraz z wiankiem podchodził na brzeg wody. Wokół był tłum ludzi, bo kolejka wiła się aż pod skarpcę. W powietrzu unosił się zapach pieczonej kiełbasy, małosolnych ogórków z koperkiem, pieczonego chleba i... lata, które zbliżało się wielkimi krokami.

Justyna obserwowała powolną wędrówkę księżycy po ciemniejącym niebie. Nagle... poczuła silne uderzenie w plecy! Przewróciła się, a wianek wypadł jej z ręki. Kwiatki rozsypały się, krzyżak rozpadł i tylko drut z karteczką z numerem 113 wbił się w trawę.

No i jeszcze to! – pomyślała, otrzepując się z ziemi. – Zaraz pewnie Rafał powie swoje: a nie mówiłem!

I jakby na zawołanie tuż obok dał się słyszeć jego głos wypowiadający właśnie to zdanie.

– A nie mówiłem? Słaby wianek to się od razu rozwali...

Justyna wzruszyła ramionami. To nie miało już znaczenia. Spojrzała za siebie, zobaczyła podnoszącego się z ziemi chłopaka w koszulce z księżycem.

– Z księżycy spadłeś? – spytała i... zaniemówiła. Przed nią stał... Cezary. Zguba z ostatnich andrzejek.

– Justyna?! – powiedział, otrzepując spodnie. Przez chwilę patrzyli na siebie i nic nie mówili. Potem oboje spojrzeli na to, co zostało z wianka Justyny.

– Strasznie mi przykro... – zaczął Cezary, ale Justyna przerwała.

– Daj spokój! I tak nie miałam żadnych szans na nagrodę!

– Dlaczego? Przecież to taki prawdziwy wianek! Taki wiejski! Mnie tam się podoba!

– E! Ty! Szalony księżyc! – Rafał klepnął Cezarego w łopatkę. – Jak ci się podoba, to pomóż jej reperować!

– Nie ma sprawy – powiedział Cezary i zaczął zbierać z ziemi kwiaty.

Justyna protestowała, że nie ma sensu, ale Cezary był nieugięty. Powoli zbliżała się ich kolej, a Justyny wianek był nadal w rozsypce.

– Daj mi gumkę do włosów – powiedział nagle Cezary.

– Po co ci gumka? – zdziwiła się Justyna.

– Zobaczysz.

– Powiedz?

– Oj!

Cezary machnął ręką w geście zniecierpliwienia i ściągnął Justynie gumkę z warkocza, który powoli zaczął się rozplatać. Za pomocą gumki i dwóch patyków Cezary zręcznym ruchem zrobił nowy krzyżak.

– Pleć! Szybko! – Podał dziewczynie zebrane kwiaty. – No i wsuwki do włosów też dawaj.

– Ale... – zaczęła protestować, jednak nie dokończyła. Cezary delikatnie wyjął wsuwki, a fala jej czarnych włosów rozsypała się na ramiona. Cezary uśmiechnął się. Drutami z wsuwek zaczął przymocowywać wianek do krzyżaka. Jeszcze tylko numerek i gotowe.

– Trochę ten wianek koszmarny – powiedziała Justyna, patrząc na fioletowo-biało-niebiesko-żółtą kompozycję, która stała na krzyżaku opatrzonym numerem 113.

– A mnie się podoba – odparł Cezary. – Jest inny! Taki trochę... szalony!

– Jak księżyc? – spytała Justyna, patrząc na koszulkę Cezarego.

– Numer sto trzyście! – rozległ się tubalny głos jednego z organizatorów. Justyna podeszła ze swoim wiankiem. Znowu dało się słyszeć szmer i pomruki zainteresowania.

– Proszę państwa! – powiedział organizator. – Wianek numer sto trzyście to...

– To frankenstein wśród wianków! – krzyknął ktoś z tłumu. Justyna była pewna, że poznaje głos Rafała. Zawsze był trochę złośliwy. Wszyscy wokoło ryknęli śmiechem!

Komisja składająca się z kilku jurorów odnotowała coś na kartach i organizator wywołał numer 114.

Stanęli z boku, czekając na ogłoszenie wyników. Dziewczyny rozmawiały o nagrodach, chłopcy poszli po kiełbasę, a Cezary... opowiadał Justynie, jak próbował ją znaleźć po tamtych andrzejkach.

– Nikt nie wiedział, z kim przysłaś ani z której jesteś szkoły – mówił. – I wiesz... nawet zastanawiałem się, czy nie szukać cię po szkołach. Tylko... nie wiedziałem... co ci powiem, jak już cię znajdę. I czy nie pomyślisz, że jestem szalony.

– Szalony księżyc? – spytała Justyna i spuściła wzrok. Twarz zakryły opadające czarne włosy. Cezary odgarnął je na bok...

– Słuchaj... – zaczął, ale nie skończył, bo w tym momencie rozpoczęto ogłaszać wyniki. Ku zdumieniu wszystkich Justyna dostała nagrodę specjalną. Za najbardziej oryginalny wianek marki „Frankenstein” – jak to określiła komisja. Kiedy wróciła z nagrodą – różowym słoniem z przyklepioną karteczką z pechowym 113. numerem, wszyscy bili brawo. Nawet Rafał! Podała słonia Cezaremu do potrzymania, by nie przeszkadzał w przyjmowaniu gratulacji od koleżanek. Zarówno Kaśka jak i Kamila z Iwoną szczerze cieszyły się z nagrody Justyny.

– Tak mi było przykro, jak ci się ten wianek rozwalił – szepnęła Justynie na ucho Iwona.

W tym samym momencie za ich plecami dał się słyszeć męski głos:

– Cezary! Ponad godzinę ciebie szukamy! Miałeś zaraz wrócić i co? Ty jesteś synu jakiś szalony!

– O rany! – Cezary tylko jęknął. – Lecę!

Podał Justynie słonia i szepnął:

– Do zobaczenia!

– Do zobaczenia... – odpowiedziała zaskoczona Justyna. Przez chwilę patrzyła za oddalającą się sylwetką w koszulce z księżycem, aż nagle... poczuła niepokój.

Znowu zapomniałam wziąć jego telefon. Znowu nie dałam mu swojego, pomyślała. Spojrzała na trzymaną w rękę nagrodę pocieszenia – pluszowego słonia i na karteczkę. Numer 113... Pechowy? Przysunęła karteczkę pod sam nos. Obok numeru widniał malutki napis: „Jutro tu o tej samej porze. Szalony księżyc”.

Opowiadanie zostało napisane w 2002 roku na zamówienie pewnego młodzieżowego pisma. Prośba z tego pisma brzmiała:

„Mamy wspانياły rysunek z dziewczyną i księżycem. Chcemy, by ilustrował jakieś opowiadanie”. Siadłam i napisałam. Wysłałam do redakcji.

I wtedy przyszła odpowiedź: „Przepraszamy za zamieszanie. Okazało się, że nie mamy praw do publikacji tego rysunku”.

Małgorzata Karolina Piekarska

Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Jan Anastáz Opasek OSB

Ostateczne rzeczy człowieka

Nie zapomnij,
że wędną liście jesienią,
a wiatr wychwytuje głosy we mgle
niewidzialnych słów
i ust i postaci,

wszystko zapisano
w dziejach czasów,
nic nie zaginie,
nawet jeśli tego nie widać,

mgła się podniesie,
zasłona śmierci,
wszystko słyszę, czytam,
to treść życia
i zakres osądu

Bicie w dzwony

Co mówią,
o czym rozmawiają,
dlaczego wydzwanniają?

Serce dzwonu bije,
czy serce człowieka je słyszy?

Słowa serca

Pogłaszcz mnie swoimi słowami,
tak piękna jest twoja mowa

jej źródło bije w twoim sercu,
które jest także moje.

Tylko słowo przewycięży mój ból
i samotność, smutek nieszczęsnych lat,
gdy byłem wydziedziczony,
a jednak za twoją sprawą przywrócony do życia.

Jeśli się za mnie modlisz,
jest to codzienny lek,
a pocieszenie w nocy,
trwające stale niezmiennie.

Czekanie

Nigdy nie wiedziałem,
że tydzień może oznaczać miesiąc,
jeżeli człowiek oczekuje na wolność.

Ale wiem też, że miesiąc może oznaczać tydzień,
jeśli czekam z oddaniem i miłością.

Jan Anastáz Opasek OSB (1913 Wiedeń – 1999 Rohr). Ksiądz katolicki, arcyopat klasztoru benedyktynów na Brzewnowie w Pradze, święcenia kapłańskie otrzymał w 1938 roku. Za czasów komunizmu robotnik i więzień polityczny zwany „opatem-chuliganem” (aresztowany w 1949, skazany na dożywocie pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Watykanu, zwolniony na mocy amnestii w 1960 r.), emigrant w klasztorze benedyktynów w Rohr (Bawaria). Pisarz, działacz i duszpasterz opozycji, organizator spotkań intelektualistów i młodzieży, jeden z założycieli chrześcijańskiej emigracyjnej organizacji kulturalnej Opus Bonum.

*Przełożyła z języka czeskiego i notą o autorze opatrzyła
Katarzyna Boruń-Jagodzińska*

Z przekładów Zbigniewa Zbikowskiego

Huo Junming

Pagoda białego ptaka albo Du Fu na letnim przylądku

Na północnym wybrzeżu cieśniny
 Pozostały jedynie dźwięki wiatru i wody
 Nie słyhać już chrzęstu ślimaków miażdżonych kołami
 Ogromna spalona czarna skała leży odsłonięta
 Twarze biegnących letnią ścieżką są pociemniałe
 Każdą chwilę pokrywa bujna wiecznie zielona roślinność
 [południowej góry
 Du Fu musiałby użyć fotografii aby je zachować w pamięci i wrócić
 [tam duchem
 W tej chwili skała jest ciepła
 Jak czoło matki w minionych latach
 Morski wiatr dmie bezlitośnie
 Niczym podszept doczesnego świata
 Głębokie błękitne echo
 Niemal równocześnie przebija lewe i prawe ucho
 Biały ptak wodny
 Stoi nieruchomo na kawałku drewna wyrzuconego przez morze
 Podobna do transu chwila jest jak objawienie – ni to wyraźne
 [ni zamglone –
 Jego białe skrzydła rozpostarte
 Prostopadły strumień światła
 Przypomina nieruchomą pagodę w cieśninie
 Przypomina sierotę zostawioną przez Du Fu
 Przypomina morską bryzę poruszającą nie tylko jego piórami

Huo Junming – poeta, krytyk, badacz literatury, autor kilkunastu książek literaturoznawczych, biograficznych i zbiorów poezji. Du Fu, pojawiający się jako podmiot w całym cyklu jego wierszy, to jeden z największych poetów chińskich okresu klasycznego, tworzący w okresie dynastii Tang (VIII w.).

Mu Bai

Myślę że tam jest mój dom

Wiatr wieje przez moją wioskę
Liść opada na wodę
Myślę że tam jest mój dom
Na jego progu przesiedzę do późna

Wieje wiatr z południa
Wieje wiatr z północy
Wieje wiatr z zachodu
Wieje wiatr ze wschodu
Wieje bardzo mocno
Myślę że tam jest mój dom
Na jego progu przesiedzę do późna

Do głębokiej nocy wiatr przewiewa mój dom
Nadchodzi różowy świt
Wiatr nie zostawia nawet śladu woni w kurzu
Myślę że tam jest mój dom
Przesiedzę na jego progu do późna

Mu Bai – poeta chiński młodego pokolenia, autor kilku zbiorów wierszy. Był wielokrotnie wyróżniany za swoją twórczość, otrzymał m.in. Nagrodę Chińskiego Młodego Poety. Stale publikuje w chińskiej prasie literackiej.

Yang Ke

Zmiana czasu z letniego na zimowy

Pociągi wyruszają w trasę przed czasem
Dziewczyny osiagające pełnoletność
Przed czasem zdmuchują świece
Na urodzinowych tortach

W starannie zaplanowanym morderstwie
 Nóż wchodzi biały
 A wychodzi czerwony
 Przed czasem

Piskłeta w wylęgarni nie wylęgają się w porę
 Księżyc nie rozświetla nieba
 O zmroku

Pisarza realistę biegnącego o świcie ulicą
 Bez jednego samochodu
 Potrąca pierwszy tego dnia autobus
 Rozumie — w jednym momencie
 Dopada go czarny humor i absurd

Młodzieniec idący na randkę zawsze o tej samej porze
 Spotyka na miejscu inną dziewczynę
 A zmarłemu — właśnie skremowanemu —
 Wpisują niewłaściwy czas do protokołu

Godzina słońca i powietrza skradziona bez powodu
 Sprawia mnóstwo zamieszania
 – Czy czas jest sprawiedliwy?

Yang Ke – zaliczany jest do czołowych poetów chińskich. Wydał 13 zbiorów wierszy. W latach 1998-2019 był redaktorem naczelnym „Rocznika Nowej Poezji Chińskiej”, obecnie jest prezesem Chińskiego Towarzystwa Poezji i członkiem władz Stowarzyszenia Pisarzy Chińskich. Laureat licznych nagród literackich chińskich, tajwańskich i innych krajów. Pracownik naukowy na Uniwersytecie Pekijskim.

Przekłady i noty o autorach: Zbigniew Zbikowski

Krzysztof Beśka

TANGO Z GWIAZDĄ



Seria: Kolekcja Literacka 4 – Tom I**Krzysztof Beśka – Tango z gwiazdą**

Autor: Krzysztof Beśka

Tytuł: Tango z gwiazdą

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: październik 2023

nr wydania: I

liczba stron: 236

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-965523-7-2

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Joanna Jagiełło

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt typograficzny i skład: TUNIA

Projekt okładki: TUNIA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

No... popatrzcie, kobitki, na świat z męskiej perspektywy. Z perspektywy Ławskiego albo Krzysztofa Beśki. Wiecie, że oni też są zdolni do uczuć wyższych? Może następnym razem nie zapytacie, jakim jeździ autem. Albo dlaczego nie zapłacił rachunku. Gwiazda? To zła kobieta była... A ja świetnie się bawiłam!

Joanna Jagiełło

Miłośnicy kryminałów Krzysztofa Beśki mogą poczuć się zawiedzeni tą książką, bo zamiast kolejnej sensacyjnej fabuły otrzymują powieść o miłości. Jej bohater, tzw. korpoludek, próbuje jakoś urządzić się w stolicy i zmaterializować śmiały sen o szczerych uczuciach, lecz marzenia swoją drogą, a życie swoją. Aż po ostatni fajerwerk – ale nie tylko dla niego przeczytać warto.

Zbigniew Zbikowski

O autorze:

Krzysztof Beśka – ur. 2.04.1972 w Mrągowie. Prozaik, dziennikarz, autor tekstów piosenek i słuchowisk radiowych, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jego pierwsze powieści krytyka zaliczyła do nurtu polskiej prozy, która ukazuje w krzywym zwierciadle nową, wolnorynkową rzeczywistość. Za *Fabrykę frajerów*, wspomnienia ze szkoły wojskowej, otrzymał w 2010 roku dwie nagrody: Wawrzyn – Literacką Nagrodę Warmii i Mazur oraz Wawrzyn Czytelników. Od 2012 roku opublikował kilkanaście powieści sensacyjnohistorycznych oraz kryminalnych. *Tango z gwiazdą* to powrót twórcy do literatury obyczajowej.

Fragment

Ławski znów spojrzał na swoje pytania. A potem podniósł wzrok na Gwiazdę. Zauważył, że jej powieki dziwnie wolno opadają. Może się nie wyspała. Tak naprawdę to od tamtej chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy na żywo na Pradze, zastanawiał się, czy ma męża albo przynajmniej oficjalnego narzeczonego. Czy zwyczajny facet może w ogóle dzielić życie z aktorką albo piosenkarką? – zastanawiał się. Aktorka na towarzysza gehenny najczęściej wybiera sobie innego aktora, często kolegę ze studiów. Piękna, wzruszająca historia do wywiadu albo artykułu w kolorowym tygodniku z ploteczkami. Albo jeszcze lepiej: aktorka wybiera na życie reżysera. Żeby miała gdzie grać (...)

Paweł Bitka Zapendowski

KANTOR W PARYŻU

I INNE DRAMATY



Seria: Kolekcja Literacka 4 – Tom II**Paweł Bitka Zapendowski – Kantor w Paryżu**

Autor: Paweł Bitka Zapendowski

Tytuł: Kantor w Paryżu

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2023

nr wydania: I

liczba stron: 232

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-965523-3-4

cena: 30,00 zł

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt okładki: TUNIA

Projekt typograficzny i skład: TUNIA

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Z dramatami Pawła Bitki Zapendowskiego widzowie mieli okazję zetknąć się podczas czytań performatywnych na scenie Domu Literatury w Warszawie w 2023 roku. Czytania te odsłoniły ich potencjał, wzmocniony przez grę aktorów, interpretację i drobne zabiegi reżyserskie. Wraz z książką dajemy trzy inne sztuki krakowskiego dramaturga, z przekonaniem, że wybrzmiały one z równą siłą w głowach odbiorców jak te, czytane przez artystów scen teatralnych.

Anna Nasiłowska

Trzy dramaty z różnych okresów twórczości autora, które on sam zalicza do komedii. Łączy je wyrazisty styl prowadzenia dialogów i akcji scenicznej, który charakteryzuje się dużymi skrótami i wolną przestrzenią zostawioną czytelniczej wyobraźni na wypełnienie jej niewypowiedzianą treścią, choć bywa, że jej odbiór wymaga pewnej dozy erudycji. Pokazane w teatrze, skłaniają widza do cichej umysłowej interakcji. A pokazania na scenie są na pewno warte.

Zbigniew Zbikowski

O autorze:

Paweł Bitka Zapendowski - dramaturg, reżyser, scenograf, kompozytor. Ukończył Akademię Muzyczną i scenografię na ASP w Krakowie. W latach 90. związany z Piwnicą pod Baranami. Autor sztuk: *Jak z Almodovara*, *Jestem jaka jestem*, *Kantor w Paryżu*, *Noc Trakla*, *Trakl Nieskończony*, *Trakl Blok X*, monodramu *Miałem Wielkie Szczęście* – o Andrzeju Wajdzie, słuchowiska *Leo Lipski Story – Miłość na Miodowej*, a także e-booków, m.in. *Monique Stalens et son Theatre I i jej teatr* oraz *Kurs dramaturgii*. Nagrodzony w konkursie na komedię X Talia '06. Wystawiał swoje sztuki w Espace Beaujon w Paryżu, Instytucie Teatralnym w Warszawie, Teatrze Bagatela i Off-Groteska w Krakowie, w domach i centrach kultury. Należy do SPP, ZASP, ZPAP i SDP.

FRAGMENT

PAN WOJTEK: Pan skąd pochodzi?

KANTOR: Z Wielopola.

PAN WOJTEK: Nie słyszałem. Mieszka tam?

KANTOR: W Krakowie. A teraz niech pan mi coś powie.

PAN WOJTEK: Proszę.

KANTOR: Bo to bardzo ciekawe pytanie. Co mogło urodzić się w takim nędznym miasteczku jak Betlejem?

PAN WOJTEK: Że jak?

KANTOR: Albo, albo... co mogło powstać w takim Krakowie? Aby miało swoją rangę i było docenione?

PAN WOJTEK: Nie mam pojęcia. W sztuce?

KANTOR: W sztuce, w sztuce.

PAN WOJTEK: Lajkonik? Matejko?

KANTOR: A znają tutaj Matejkę?

PAN WOJTEK: W Paryżu? Skąd! Oni nie znają tu nic. Sami siebie hołubią.

KANTOR: No więc właśnie.

Anna Onichimowska

ŚWIT jednorożców



Seria: Kolekcja Literacka 4 – Tom III**Anna Onichimowska – Świt jednorożców**

Autor: Anna Onichimowska

Tytuł: Świt jednorożców

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: październik 2023

nr wydania: I

liczba stron: 208

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-962200-8-0

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Joanna Jagiełło

Projekt okładki: TUNIA

Projekt typograficzny i skład: TUNIA

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Onichimowska umie pisać o życiu zagadkowo, metaforycznie i zaskakująco. Gdy w niej, przewidywalne życie małżeństwa Hugona i Lucii wkracza kobieta pachnąca siarką, która namiętnie opowiada o jednorożcach, z niedowierzaniem przyglądamy się, jak to, co nierzeczywiste, odsłania rzeczywistość. Ale jednocześnie rzeczywistość zostaje zabarwiona taką dawką baśniowości, że nie wiemy, ku czemu to zmierza. Puenta nas zaskoczy – jestem tego pewna.

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Przypadkowe spotkanie w samolocie z Tuulą zmienia uporządkowane życie Hugo. Już nic nie będzie takie jak przedtem. A tytułowe jednorożce? Istnieją czy też nie? By się przekonać, trzeba przeczytać do samego końca. To książka o nas, o naszych skrywanych lękach, ukrytych marzeniach i zapomnianych sprawach, napisana przez wrażliwą autorkę, która pokazuje, że wszystko w życiu jest po coś.

Małgorzata Karolina Piekarska

O autorce:

Anna Onichimowska, autorka ponad pięćdziesięciu książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych, wielu sztuk teatralnych, słuchowisk radiowych i scenariuszy filmowych.

Skończyła filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim i pracowała przez szereg lat jako wydawca. Zadebiutowała w 1980 roku zbiorem wierszy *Gdybym miał konia*.

Otrzymała wiele prestiżowych nagród w kraju i za granicą. Jej utwory wydawane są również po słoweńsku, francusku, niemiecku, szwedzku, węgiersku, rosyjsku, litewsku, włosku i koreańsku.

W latach 1995-2003 pełniła funkcję prezesa Polskiej Sekcji IBBY.

Od 2014 roku mieszka w Lund (Szwecja).

FRAGMENT

Latał zwykle służbowo, a instytut, w którym pracował, z trudem pokrywał koszty trzy- gwiazdkowych hoteli i miejsca w klasie ekonomicznej. Nie musiał się jednak z tego wszystkiego zwierzać. Zdecydowanie. Pokręcił głową, upijając łyk ciemnego płynu określonego tutaj jako kawa.

– No właśnie. – Ucieszyła się. – Gdyby udało nam się z jednorożcem, byłoby inaczej.

– Nam?! – Mimowolnie podniósł głos. Napięcie opadło, koszula jednak wciąż była nieprzyjemnie wilgotna. – Już mówiłem, że to mnie nie interesuje. – Nie wierzę panu. – Schowała ostatnią z kanapek, wyciągając z torby wizytówkę. – Proszę ją dobrze schować.

Wcisnął karteczkę do kieszeni.

– Nie odwzajemni mi się pan?

– Nie.

– Ma pan zazdrosną żonę?

Cóż za babsko, jęknął w duchu, zakładając ostentacyjnie maskę na oczy. Zanim zapewnił sobie izolację dźwiękową, usłyszał jeszcze:

– Rozumiem ją lepiej, niż pan sądzi.

Jan Strękowski

CHORÓBKA

kronika pewnego złudzenia



Seria: Kolekcja Literacka 4 – Tom IV**Jan Strękowski – Choróbka, kronika pewnego złudzenia**

Autor: Jan Strękowski

Tytuł: Choróbka, kronika pewnego złudzenia

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: październik 2023

nr wydania: I

liczba stron: 208

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-962200-9-7

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Projekt okładki: TUNIA

Projekt typograficzny i skład: TUNIA

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Choróbka to tytuł wieloznaczny. Na wskroś realistyczny obraz, dokument wręcz, a jednocześnie metafora. Kojarzyć się może z chorobą ustroju, słusznie minionego. Ślady jak po ospie nosi Polska i jej mieszkańcy uwiecznieni, jeszcze w fazie ostrej, na kartach prozy Strękowskiego. Dziś czytelnik nieznający historii, realiów lub niepamiętający tych czasów odbiera taką prozę jako fantazję, przerysowanie czy absurdalny utwór humorystyczny, a tak przecież było naprawdę. To nie jest zwierciadło „krzywe”, lecz wiernie

odbijające. Trzeba tylko oka i ucha pisarza o nerwie dokumentalisty, aby to uwiecznić.

Ale, choróbka, co z tą ręką?

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Słodko-gorzki jest ten zbiór opowiadań: jednych nigdy niepublikowanych, innych wyjętych z czasopism literackich – tych nielegalnych z czasów PRL, i tych legalnych, publikujących współcześnie rzeczy napisane przed laty. Słodki, bo Jan Strękowski potrafi pisać z ciepłym dystansem o sprawach niekiedy wręcz lodowatych. Gorzki, gdyż spod tego ciepłego opisu – po zamknięciu ostatniej strony – wyłania się obraz lat niby minionych, a naprawdę ciągle żywych. Jakby czasy się zmieniały, a ludzie nie nadążali za zmianami.

Zbigniew Zbikowski

O autorze:

Jan Strękowski, dziennikarz, pisarz, krytyk, scenarzysta i reżyser.

Autor książek literackich, m.in. *Nauka jazdy* (opowiadania, w podziemiu – 1985), *Wizytacja* (opowiadania – 1986), *Dziewczyny z miasta nigdy nie odmawiają* (powieść – 2011).

Autor słuchowisk radiowych oraz sztuki telewizyjnej *Dzikuska* (I TVP – 2006).

Redaktor pisma „Bibuła”, poświęconego wydawnictwom i kulturze niezależnej w czasach PRL. Autor lub współautor kilkunastu książek publicystycznych, historycznych i reportaży literackich, ostatnio *Sześć tapczanów Lwowa* (2020).

Scenarzysta i reżyser ponad 20 filmów dokumentalnych oraz współscenarzysta serialu *Złotopolscy*. Najnowszy jego film to – *Jak grzech na duszy*.

FRAGMENT

Pan Sławek długo pary z gęby nie puszczał. Rozbieramy, żeby budować – mówił tylko tajemniczo. Przelatywało to mimo uszu, wiadomo, że przeważnie się coś rozbiera po to, żeby z tego albo na tym powstało coś nowego. Pan Sławek przyjeżdżał codziennie i jak prawdziwy gospodarz doglądał postępu robót. Tu, gdzie przygotowywano materiał na budowę i u siebie na działce, gdzie majstrzy zwijali się jak w ukropie, by zdążyć z otwarciem na 22 lipca, co już dawno powinno było dać im do myślenia. Pamiętali przecież coroczny obłęd towarzyszący obchodom tego tak zwanego lipcowego święta w czasach komuny. Ten 22 lipca to była idée fixe pana Sławka. I wszystkich poganiał, jakby chodziło o wykonanie zobowiązania. A tym, którzy nie kojarzyli daty, tłumaczył: – Święto Odrodzenia, 22 lipca, dawniej E. Wedel.

Elżbieta Wojnarowska

ŚWIATOCZUŁOŚĆ



Seria: Kolekcja Literacka 4 – Tom V**Elżbieta Wojnarowska – Światłoczułość**

Autor: Elżbieta Wojnarowska

Tytuł: Światłoczułość

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: październik 2023

nr wydania: I

liczba stron: 102

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-965523-0-3

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Piotr Müldner-Nieckowski

Projekt okładki: TUNIA

Projekt typograficzny i skład: TUNIA

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Tom zaczyna się serią maksym tak zaskakujących, że budzą nas z nieprzytomności codziennego krzątania. A w kręgach literackich mówi się, że sentencje już dawno wszystkie powstały i teraz mamy do czynienia jedynie z wariantami. Nieprawda. Jest wielu poetów, którzy je tworzą ex nihilo, z próżni pełnej znaczeń, a Elżbieta Wojnarowska stoi na czele tej grupy. Dalej miniatury, wciąż do bólu oryginalne, rozrastają się, dostają oczu,

rąk i nóg, wreszcie w sposób już jawny reprezentują autorkę. Nie możesz przerwać ich poznawania. Nieraz zmuszają do odłożenia książki na bok i patrzenia w sufit, bo tam się wtedy kręcą myśli, które ta książka nagoniła niczym chmury.

Piotr Müldner-Nieckowski

Utwory Elżbiety Wojnarowskiej są uderzająco krótkie – z naciskiem na słowo „uderzająco”. Mówią wszystko. Oto ulotność życia. My, „zakładnicy rzeczy” jesteśmy „uwięzieni między przedtem a potem”. Życie zdaje się „drobną przynależnością”. Z precyzją szpilki czy igły, rekwizytów pojawiających się w „Światoczułości”, autorka dotyka tego, co ważne. Pociąga subtelność obrazu „przynależności”. Życie, drobiazg, jest znośne. Inne być nie może. Wystarczy „kochać poranki”. Piękno jest nieśmiertelne. To przynależność absolutna. „Czy można pisać wiersze?” – pyta poetka. Trzeba, należą do Pani! – odpowiadam Pani Elżbiecie Wojnarowskiej.

Krzysztof Bielecki

O autorce:

Elżbieta Wojnarowska – poetka, pisarka, scenarzystka, dziennikarka, animatorka kultury, dr nauk przyrodniczych. Autorka m.in. zrealizowanej dla Teatru TVP sztuki *Urodziny*, tomików poezji, książek dla dzieci, młodzieży oraz wielu powieści dla dorosłych. Laureatka m.in. Nagrody Fundacji Młodego Kina oraz „Dialogu”, zdobywczyni I miejsca w polskiej edycji międzynarodowego konkursu na scenariusz filmowy Hartley-Merrill, a także Nagrody Literackiej Kraków Miasto Literatury UNESCO w 2020 i 2023 r. Stypendystka MKiDN w 2008 i 2013 r. oraz UM Krakowa w 2020 i 2021 r. Drukowała w wielu czasopismach literackich. Należy do SPP.

FRAGMENT

Świat
To cztery ściany
Otwarte na zewnątrz
Furtka
I droga w lewo
Idąca nad rzekę
Stu czterdziestu krokami

Marta Zelwan

NIEMIEJSCE



Seria: Kolekcja Literacka 4 – Tom VI**Marta Zelwan – Niemiejsce**

Autor: Marta Zelwan

Tytuł: Niemiejsce

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: październik 2023

nr wydania: I

liczba stron: 234

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-965523-0-3

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Joanna Sendłak

Projekt okładki: TUNIA

Projekt typograficzny i skład: TUNIA

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Nigdy nie spotkałam Marty Zelwan, ale wiem, że jest niezwykle twórczą osobą. Swoją kreatywnością obdarzyła dwie twórcze osoby. Najpierw jako Krystyna Sakowicz zajmowała się snami, teraz jako Marta Zelwan pokazuje, że właściwie całe współczesne życie jest rodzajem snu. Niemiejsce to termin w humanistyce, wprowadzony przez francuskiego antropologa Marca Augé i stosowany do opisu przestrzeni zdepersonalizowanych

(lotniska, super- markety, autostrady). Ta książka pokazuje, że życie współczesnego człowieka toczy się w niemiejskach – w internecie, w autobusie, w dziwnej magmie, która niczym nie różni się od snu.

Anna Nasiłowska

Bohaterka dziennika Marty Zelwan, w której rozpoznajemy samą autorkę, zatopiona w świecie kultury, zdaje się prowadzić w wielkim mieście życie półpastelnicze. Żeby uczestniczyć w kulturze, nie musi już „bywać”, wystarczy biblioteka i dostęp do internetu. Jej kontakty społeczne to grono kilkorga zaledwie bliskich jej – w różnym stopniu – osób. Z biegiem czasu zauważa, że otaczająca ją rzeczywistość, cały świat zewnętrzny, powoli upodabnia się do jej samotni z wyboru. Sprawia to pandemia i wynikające z niej obostrzenia. Bardzo ciekawa obserwacja.

Zbigniew Zbikowski

O autorce:

Marta Zelwan – jako Krystyna Sakowicz debiutowała tomem opowiadań *Zbrodnie kobiet* (nagroda Wydawnictwa „Iskry” 1984), jest autorką powieści *Sceny miłosne, sceny miłosne* (nagroda Funduszu Literatury 1986), *Jaśmiornicy* (nagroda im. Stanisława Piętaka 1988), *Po bólu* (1995), *Śnieżnia* (2000), *Praobrazy* (2012). Za *Księgę ocalonych snów* otrzymała nagrodę Fundacji Kultury (2008), dwukrotnie nominowana do Nagrody Literackiej Nike (2001, 2009). Jako Marta Zelwan wydała tomik poezji *Graffiti* (2017) i powieść *Miejsce na rzeczywistość* (2020). Opowiadania publikowała m.in. w „Twórczości”, „Akcencie”, „EleWatorze” i antologiach współczesnych polskich opowiadań Wydawnictwa Forma.

FRAGMENT

Wreszcie widzę księżyc ogromny. Dopiero wypływa.

Woda nocy jeszcze niegłęboka. Płyną godziny.

Wrzucona do ciemnego morza z pokładu dryfującego statku, widzę zagubiony świat.

Jest w tym świecie stara kobieta, która nie umiera. Ja widzę, mówi.

Zawsze mogłaś widzieć. Istnieć albo nie istnieć. Istnienie nie jest sprawiedliwe. Połknęła ptaka światła.

Wtedy jej życie się zmieniło. Czy w ogóle o nią chodzi?

O tę bardzo starą kobietę, uwięzioną w niezbyt zrozumiałym dla niej życiu?

Mijały epoki. Każda inna. Kobieta była Królową Śniegu. Teraz się boi. Pojawili się na świecie ludzie silniejsi i bardziej od niej agresywni. Jest bardzo stara. Chce żyć. Ale teraz już inni jej grożą, ciskają przedmiotami, złymi słowami, głos jej drży.

Powiem, zamieszkać ze mną.

Przeraża mnie możliwość, że zechce. Chcę, żeby zechciała.

wybór wierszy poetek ukraińskich

NIE ZABRAŁAM z sobą radości



Seria: Kolecja Literacka 4 – Tom VII**Wybór wierszy****poetek ukraińskich – Nie zabrałam z sobą radości**

Autorki: Ołena Rybka, Dzwinka Matijas, Julia Bereżko-Kamińska,

Mariana Sawka, Olha Olchowa, Jordana Dranczuk

Tłumaczenie: Bogdan Baran, Zbigniew Zbikowski

Tytuł: Nie zabrałam z sobą radości

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2023

nr wydania: I

liczba stron: 140

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-965523-4-1

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Piotr Wojciechowski

Projekt okładki: TUNIA

Projekt typograficzny i skład: TUNIA

Eedakcja tomu: Viktoria Szymczak, Andrzej Appel

Korekta: Viktoria Szymczak, Małgorzata Strękowska-Zaremba

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Kontakt z wydawcą: biuro@sppwarszawa.pl

O książce:

Spilnomowa, czyli wspólna mowa to projekt, którego owocem jest tomik dwujęzyczny stwarzający rzadką okazję do porównań translatorskich.

Oto czytając krótkie teksty poetyckie (jakże aktualne, bo pisane często teraz przy okazji dramatycznych wydarzeń za wschodnią granicą), możemy przekonać się, jak bardzo nasze języki są podobne, a jedyną barierą może być i czasem jest... alfabet. 75% wyrazów w obu językach jest wspólnych, stąd łatwo zrozumieć, że ukraińskie „І пульсує країна маками” to polskie „I pulsuje kraj makami”. Brzmi to w obu językach niemal tak samo. Można zresztą zostawić słowo „kraina”, które jest obecne i w polszczyźnie, i języku ukraińskim. Podobną mamy kuchnię, historię, kulturę, a co z poezją? Prezentowany tomik wierszy w oryginale i tłumaczeniu daje na to odpowiedź.

Małgorzata Karolina Piekarska

Zasadne wydaje się pytanie, czy można wiarygodnie – i czy w ogóle można – pisać o wojnie, nie będąc jej uczestnikiem. W takim wypadku bardzo łatwo o niezamierzony fałsz, dramatyczne rozminięcie się z prawdą – zwłaszcza emocjonalną. W niniejszym tomie głos zabierają poetki ukraińskie, które doświadczyły wojny na własnej skórze. Wsłuchajmy się w ten głos, który nie jest lamentem (choć trochę jest) i nie jest oskarżeniem wobec oprawców (choć trochę jest). To przede wszystkim artystyczna, nie pozbawiona nadziei odpowiedź na nieakceptowalną rzeczywistość.

Andrzej Appel

O tłumaczach:

Bogdan Baran (ur. 1952 w Krakowie) – polski pisarz, eseista, autor książek i tłumacz ponad stu tytułów z humanistyki i literatury pięknej, wydawca, doktor filozofii UJ. Ukończył filozofię i matematykę na UJ (1976). Członek PEN Clubu, ZG SPP, prezes Zarządu Fundacji Domu Literatury w Warszawie.

Zbigniew Zbikowski (ur. 1952) – jako prozaik zadebiutował w 1977 r., rok później jako poeta. W latach 1978-2002 dziennikarz w prasie krajowej i emigracyjnej. W latach 2002-2012 nauczyciel akademicki w Instytucie Dziennikarstwa UW. Autor 21 książek, publikuje w prasie literackiej prozę, poezję i przekłady z języka ukraińskiego.

FRAGMENT

* * *

I teraz,
Kiedy milczę
Jak ściana płaczu,
Jak wyrwa,
Której osuwanie się słyszał cały świat,
Jak krzyż,
Przesiąknięty łzą i krwią –
Wwierca się we mnie:
„To było.
Wszystko to było!”
(...)

Julia Berezko-Kamińska

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Fala i piach

wodozbiór

wyłowione, odcedzone wiersze własne

i przekłady z języka czeskiego



Autorka

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Tytuł

Fala i piach

Fotografie

Piotr Życieński

Obok wierszy Autorki także w Jej w przekładzie utwory poetów czeskich:

**Karel Hlaváček, Jakub Deml,
Ivan Diviš, Jan Anastáz Opasek,
Antonín Brousek, Oldřich
Janota, Jan Vladislav, Ivan
Schneedorfer**

Typografia i skład Wyd. AULA

Format A5, stron 92

ISBN 978-83-965523-8-9

**Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy
Polskich Oddział Warszawski
Warszawa 2025**